MARSZAŁEK ELŻBIETA WITEK:

TUSK SZYDZI Z WŁASNYCH WYBORCÓW. WSZYSTKO MU SIĘ SYPIE

ROKITA: O SOCJALNEJ OFENSYWIE KACZYŃSKIEGO

CO NAM SZYKUJE TRZASKOWSKI?

„NAD NIEMNEM" WIECZNIE ŻYWE

BUDZISZ: CO PO ŁUKASZENCE?

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE

Nr 21 (547) 2023
22–28 maja 2023
CENA: 8,90 zł
(w tym 8% VAT)

UJAWNIAMY:

MILIONY PRZECIW PiS

WIELKI BIZNES WCHODZI W POLITYKĘ.
CHCE POMÓC OPOZYCJI OBALIĆ RZĄD

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694

Już 29 maja

w tygodniku SIECI

dodatek z okazji Dnia Dziecka

fot. Shutterstock

Świętujemy Dzień Dziecka!

- Planszówka „Wycieczka z okazji Dnia Dziecka”
- Pomysły na rodzinne zabawy
- Zapomniane gry podwórkowe
- Sekretny przepis na bańki mydlane
- Wszystkie zabawy bez prądu – bez komórek, tabletów, laptopów

Partner dodatku:

ORLEN

eprasa.pl 70b088b833

Polska przyjechała, Polska pamiętała

Państwo polskie nie szczędzi środków i sił, by odnaleźć szczątki bohaterów pomordowanych przez Sowietów, Niemców i innych wrogów naszego narodu. I co ważne, nie ma u nas właściwie debaty, czy warto, czy nie za drogo, czy nie lepiej wydać na coś innego. Z tej postawy, ciężko wywalczonej przez pokolenia patriotów, możemy być naprawdę dumni. To coś, co nas mocno odróżnia od naszych bliskich sąsiadów, również doświadczonych komunizmem. Ale pamiętamy też o żyjących, tych rozrzuconych o świecie. Pamiętamy nie tylko o Polakach z urodzenia, lecz także o tych, którzy Polskę i polskość wybrali z własnej woli i dochowali wierności naszej sprawie w najtrudniejszych, najcięższych czasach.

Kilka dni temu w ambasadzie RP w Madrycie mieliśmy piękny przykład. Ministrowie Andrzej Dera z Kancelarii Prezydenta oraz pełnomocnik rządu ds. Polonii i Polaków za granicą Jan Dziedziczak wręczyli Renacie Habsburg Lorena de Zulueta wysokie odznaczenia przyznane jej rodzicom. Karol Olbracht otrzymał Krzyż Wielki Orderu Odrodzenia Polski, a jego żona Alicja Ankarcrona, Szwedka z urodzenia, Krzyż Komandorski. „Polska nie zapomniała! Polska przyjechała!" – powiedziała córka wyróżnionych, nie kryjąc wzruszenia. Z namaszczeniem ucałowała oba wręczone krzyże, po czym podkreśliła: „To jest bardzo polskie". I zapewniła: „Zawsze będę pamiętała Polskę i nigdy jej nie zapomnę".

Historia Habsburgów żywieckich jest bardzo ciekawa, ale skomplikowana i nie da się jej opowiedzieć w paru słowach. Dla nas ważne jest to, że na przełomie XIX i XX w. rodzina wybrała polskość. W czasie I wojny światowej ówczesny dziedzic dóbr, Karol Stefan, był najpoważniejszą kandydaturą do polskiego tronu w projektowanym państewku polskim pod kuratelą państw centralnych. Miał w sobie krew Piastów i Jagiellonów. Gdy sprawa upadła, rodzina z pełnym zaangażowaniem wsparła budowę niepodległej Rzeczypospolitej.

Najtrudniejszy egzamin zdała w czasie II wojny światowej. Karol Olbracht przyjął pierwszych Niemców w Żywcu w mundurze oficera Wojska Polskiego. Kilkukrotnie odmówił podpisania volkslisty. Niemcom miał powiedzieć: „Moje pochodzenie jest niemieckie, moim macierzystym jest język niemiecki, ale mam obywatelstwo polskie i czuję się Polakiem". Majątek zajęło więc gestapo, głowę rodu aresztowano, więziono, torturowano, prześladowano. Jego losem osobiście interesował się Himmler. Przed egzekucją uratowały go interwencje Habsburgów, zwłaszcza w Rzymie. Ale cena i tak była wysoka: utrata zdrowia, w tym oka. Alicja współpracowała z ZWZ i AK, prowadziła nasłuch zagranicznych stacji radiowych. Została odznaczona Krzyżem Walecznych przez państwo podziemne. Obaj synowie walczyli w Polskich Siłach Zbrojnych na Zachodzie. Kazimierz Badeni już po wojnie przyjmie święcenia i imię Joachim. Po wojnie Karol i Alicja zdołali uciec z komunistycznej Polski do Szwecji. Tam zmarli w 1951 r. Dzieci rozjechały się po świecie, Renata wyszła za syna hiszpańskiego dyplomaty.

W liście, który do uczestników madryckiej ceremonii skierował Andrzej Duda, prezydent podkreślił, że odznaczenia są wyrazem wdzięczności za dzieje Habsburgów żywieckich – „pisane miłością do Polski". A premier Mateusz Morawiecki stwierdził: „Swoim życiem Karol i Alicja pokazali, że ojczyzna z wyboru zobowiązuje bardziej niż ojczyzna z urodzenia". Habsburgowie z Żywca wypełnili to zobowiązanie do końca, nie wahając się ryzykować własnym życiem. I dlatego dobrze, że Polska też wywiązała się ze swoich obowiązków, za co szczególne podziękowania należą się prof. Andrzejowi Nowakowi oraz mec. Krzysztofowi Góralczykowi, którzy uruchomili całe przedsięwzięcie.

Jacek Karnowski

Autopromocja

eprasa.pl 70b088b833

SIECI

spis treści

42 Z Janem Śpiewakiem *rozmawia Goran Andrijanić*

48 W co gra Meloni *Aleksandra Rybińska*

65 Z Olafem Lubaszenką *rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna*

NA POCZĄTEK

6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 **800 GWIAZDEK**
Krzysztof Feusette

10 **ROBIĆ, NIE GADAĆ!**
Dorota Łosiewicz

12 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski

14 **HASŁO WYBORCZE: PIS NA BIIIIIISSSS!**
Jan Pietrzak

14 **PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort

15 **PANI MOKRA ZAGROŻONA**
Bronisław Wildstein

16 **WALIZKA ALDONY ORMAN**
Michał Korsun

18 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

19 **NASTOLETNI PRZEDSIĘBIORCY**
Marta Kaczyńska-Zielińska

20 **MĄDRE WYDAWANIE PIENIĘDZY I SZCZERE WYZNANIE GRASIA**
Samuel Pereira

TEMAT TYGODNIA

22 **PLATFORMA BOGACZY**
Marek Pyza, Marcin Wikło

KRAJ

28 **Z ELŻBIETĄ WITEK**
rozmawia Michał Karnowski

33 **SOCJALNA OFENSYWA KACZYŃSKIEGO**
Jan Rokita

36 **RAKIETA NIESPODZIANKA**
Stanisław Janecki

39 **CO NAM MÓWI JAJO TRZASKOWSKIEGO?**
Konrad Kołodziejski

42 **Z JANEM ŚPIEWAKIEM**
rozmawia Goran Andrijanić

ŚWIAT

45 **CZEKAJĄC NA DRUGĄ FALĘ REWOLUCYJNĄ NA BIAŁORUSI**
Marek Budzisz

48 **W CO GRA MELONI**
Aleksandra Rybińska

50 **NOWY WSPANIAŁY ŚWIAT WEDŁUG HARARIEGO**
Grzegorz Górny

OPINIE

53 **SOJUSZNICY PREZYDENTA POLSKIEJ STOLICY**
Małgorzata Wołczyk

56 **TRUMP IDZIE PO BIAŁY DOM**
Dariusz Matuszak

58 **GDY UKRAINIEC SPOTYKA POLSKIEGO LEMINGA**
Jakub Augustyn Maciejewski

60 **KOMU PRZESZKADZA PAŁAC SASKI?**
Jerzy Biernacki

SIECI KULTURY

63 **ZMIANY NA KRÓLEWSKIM DWORZE**
Jolanta Gajda-Zadworna

65 **Z OLAFEM LUBASZENKĄ**
rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

66 **Z IWONĄ KATARZYNĄ PAWLAK**
rozmawia Dorota Łosiewicz

70 **KUPA GNOJU**
Robert Tekieli

71 **WOJNA CYWILIZACJI**
Robert Tekieli

72 **CZYTANIE JAKO SPORT EKSTREMALNY**
Wojciech Stanisławski

GOSPODARKA

90 **Z PROF. WŁADYSŁAWEM MIELCZARSKIM**
rozmawia Agnieszka Łakoma

PODRÓŻE

92 **MOJE SZLAKI: KS. WITOLD KAWECKI**
Jolanta Gajda-Zadworna

KUCHNIA

93 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

94 **POLSKI MAJ**
Alina Czerniakowska

95 **KREW I BROKAT**
Piotr Cywiński

95 **AMADEUS Z MOZARTEM NA ZAMKU KRÓLEWSKIM**
Adam Ciesielski

96 **NÓŻ W BAŃCE**
Wiktor Świetlik

96 **UE – UTOPIA EUROPEJSKA**
Lech Makowiecki

97 **MAJOWA OPOWIEŚĆ**
Leszek Długosz

98 **O ŚLĄSKU, CZYLI O ŻYCIU**
Katarzyna Zybertowicz

eprasa.pl 70b088b833

Polska Fundacja Narodowa upamiętnia Radę Pomocy Żydom „Żegota”

Polska Fundacja Narodowa, mając na względzie pamięć o tych, którzy mimo braku szans na powodzenie zrywu chwycili za broń, i tych, którzy ich wspierali, stworzyła wystawę będącą kontynuacją projektu PFN poświęconego fenomenowi Rady Pomocy Żydom „Żegota”. Projekt ten jest realizowany w kooperacji z Archiwum Akt Nowych. Rada Pomocy Żydom przy Delegaturze Rządu RP na Kraj stanowiła jedyny w okupowanej Europie przykład organizacji rządowej poświęconej tylko i wyłącznie pomocy i ratowaniu Żydów.

„Okupacyjne prawo niemieckie w Polsce penalizowało pomoc udzielaną osobom narodowości żydowskiej i przewidywało karę śmierci dla osób ukrywających Żydów. Rada Pomocy Żydom »Żegota« prowadziła pięć rodzajów pomocy: legalizacyjną (ponad 50 tys. zdobytych metryk chrztu), finansową, mieszkaniową, lekarską lub dziecięcą, czyli pomoc dzieciom żydowskim. W Warszawie referat dziecięcy Żegoty był kierowany przez Irenę Sendlerową (ok. 2,5 tys. uratowanych żydowskich dzieci). Polska Fundacja Narodowa dzięki wystawie realizowanej wraz z Archiwum Akt Nowych pragnie przybliżyć bohaterów wydarzeń, twórców Żegoty i osoby, które ryzykowały życiem, udzielając pomocy współobywatelom pochodzenia żydowskiego. To kontynuacja naszych działań związanych ze wsparciem konserwacji dokumentów Rady Pomocy Żydom ze zbiorów AAN, wydania źródeł w pracy zbiorowej w języku angielskim i dystrybuowania ich do kilkunastu tysięcy bibliotek oraz do kluczowych historyków z Europy Zachodniej, USA i Izraela. To nasze zobowiązanie moralne, by pamiętać i upowszechniać pamięć o Polakach ratujących swoich żydowskich sąsiadów i współobywateli niezależnie od zagrożenia życia swego i rodzin” – tak o działaniach PFN z okazji 80. rocznicy powstania w getcie warszawskim mówił prezes Zarządu Polskiej Fundacji Narodowej dr Marcin Zarzecki.

Wystawa, której otwarcie nastąpiło 18 kwietnia, jest eksponowana na frontowym ogrodzeniu Archiwum Akt Nowych przy ul. Hankiewicza 1 w Warszawie. Jej ekspozycja w przestrzeni publicznej w przystępny sposób przybliża odbiorcom podstawowe informacje na temat organizacji, przedstawia ludzi, którzy ją tworzyli, zapoznaje ze sposobami pomocy udzielanej Żydom pod niemiecką okupacją, a także pozwala zapamiętać najważniejsze informacje dotyczące Żegoty. Ponadto ważną część wystawy stanowi prezentacja procesu konserwacji unikatowych dokumentów wytworzonych przez Żegotę w okresie jej działania. Polska Fundacja Narodowa sfinansowała również proces konserwacji tychże dokumentów, a także anglojęzyczną wersję publikacji „Żegota. Dokumenty 1942–1944”, która jest wyjątkowym zestawem źródeł. Pozycja jest dystrybuowana do zagranicznych ośrodków akademickich.

19 kwietnia 1943 r. w warszawskim getcie wybuchło zbrojne powstanie przeciw Niemcom. Było ono odpowiedzią na ostateczną likwidację żydowskiej dzielnicy przez okupanta. Do walki stanęły Żydowska Organizacja Bojowa, Żydowski Związek Wojskowy wspierane przez Polskie Państwo Podziemne. Niemcy brutalnie stłumili powstanie, topiąc je we krwi. W rocznicę wybuchu zrywu obchodzimy w Polsce Dzień Pamięci Ofiar Holocaustu i Powstania w Getcie Warszawskim

„Polska Fundacja Narodowa aktywnie włącza się w projekty edukacyjno-oświatowe, kinematograficzne produkcje historyczno-narodowe oraz realizuje zróżnicowane spektrum działań zgodnie z celami statutowymi oraz nadrzędną misją, którą jest podtrzymywanie polskiej pamięci zbiorowej i kultury historycznej. Projekt zakładał przetłumaczenie na język angielski książki »Żegota. Dokumenty 1942–1944”, która jest unikatowym zestawieniem źródeł, większości do tej pory niepublikowanych. Inicjatywa wydania w języku angielskim oryginalnych źródeł może stać się istotnym impulsem do dalszych badań nad dokumentowaniem pomocy udzielanej przez Polaków ludności żydowskiej w trakcie II wojny światowej. Ponadto prezentujemy wystawę plenerową, która ukazuje metody konserwacji i zabezpieczenia niezwykłych archiwalnych dokumentów Żegoty” – powiedział wiceprezes Polskiej Fundacji Narodowej Michał Góras.

Otwarcie ekspozycji plenerowej, zrealizowanej dzięki współpracy Archiwum Akt Nowych i Polskiej Fundacji Narodowej, było połączone z pokazem materiałów archiwalnych Rady Pomocy Żydom „Żegota” przy Delegaturze Rządu RP na Kraj.

W ten sposób Polska Fundacja Narodowa czynnie uczestniczy w obronie dobrego imienia Polaków, którzy stanowią najliczniejszą grupę nagrodzonych medalem Sprawiedliwy wśród Narodów Świata przyznawanym przez Instytut Yad Vashem za pomoc udzielaną Żydom w czasie II wojny światowej.

Wydarzenia prezentujące proces zabezpieczenia i konserwacji archiwalnych dokumentów dotyczących powstania w getcie warszawskim oraz ich ekspozycja stanowi część obchodów 80. rocznicy powstania w getcie warszawskim.

Artykuł sponsorowany | 16/0223/F

eprasa.pl 70b088b833

Sygnalista nadaje

Książę Harry z małżonką Meghan Markle, mieszkający na co dzień w Los Angeles, udali się na galę do Nowego Jorku. Ich rzecznik ogłosił, że wracając z wydarzenia, para była rzekomo przez ponad dwie godziny ścigana przez paparazzich, co niemal nie doprowadziło do katastrofy, kilku „prawie kolizji" z „udziałem innych kierowców, pieszych i dwóch policjantów". Kłopot w tym, że policja tego nie potwierdziła poza normalną obecnością fotografów. Co więcej, dwugodzinny pościg po Nowym Jorku zdaniem ekspertów i mieszkańców jest niemożliwy z powodu potężnych i stałych korków. Wygląda, jakby chodziło o wywołanie tą dramatyczną opowieścią medialnego skojarzenia z tragedią księżnej Diany. Zawstydzające.

Dowód podwójnych standardów dał też Arnold Schwarzenegger, aktor, były gubernator Kalifornii, obecnie bojownik o klimat. Wyszło na jaw, że na konferencję klimatyczną do Wiednia pofrunął luksusowym, prywatnym odrzutowcem. Na zdjęciu widać, jak siedzi wygodnie rozparty w dużym saloniku odrzutowca. Ludzie się oburzyli, ale aktor spokojnie wyjaśnił, że lot był może i luksusowy, ale komercyjny, na regularnej linii, więc sprawy nie ma. W Wiedniu pewnie się zastanawiali, jakie jeszcze restrykcje nałożyć na maluczkich, by za dużo nie latali.

Wystarczy pozmieniać nazwiska, a podobne historie znajdujemy w Polsce. Urzędnicy Rafała Trzaskowskiego masowo zwężają ulice, kasują miejsca parkingowe, spowalniają ruch i ogólnie przeganiają ludzi z samochodów do komunikacji miejskiej, na rowery i hulajnogi. Sama idea, by mniej jeździć, więcej się ruszać nie jest zła, a najlepsza dla młodszych singli. Potem robi się trudniej, bo jak w naszym klimacie rowerem zawieźć żonę do lekarza, a dzieci do przedszkola? W każdym razie przydałby się tu dobry przykład i warszawscy radni PiS apelują do urzędników stołecznego ratusza, by sami zrezygnowali z aut, skasowali parkingi. Wierzymy, że się zgodzą. Na pewno nie chcą w życiu mieszkańców takich zmian, których sami by w swoim nie wdrożyli.

Grupa rosyjskich hakerów zaatakowała w ubiegłym tygodniu kilka polskich portali, w tym wPolityce.pl. Jak twierdzą znawcy, w to medium uderzono szczególnie zaciekle, powtarzając działanie wielokrotnie, w skali dotąd niespotykanej. Krótkie i dosadne potwierdzenie, które środowisko i jakie medium Putin uważa w Polsce za szczególnie groźne dla realizacji swoich celów.

„Fakt", jak to tabloid, sprawdził wydatki władzy i wyszło mu, że w ministerstwach kupują kanapeczki dla gości. Z wędliną i jajkiem. „To już jest jawne i dosłowne przeżeranie publicznych pieniędzy" – zagrzmiała posłanka Hanna Gill-Piątek (pogubiliśmy się co do tego, w jakiej obecnie jest partii). Uświadommy sobie skalę tej zbrodni, tego przeżerania: kanapeczki! W ósmym roku rządów obozu Jarosława Kaczyńskiego skandalem podnoszonym przez tabloidy jest to, że władza i jej goście zjedzą czasami kanapeczkę. Czują to państwo? Duży komplement.

Kanapeczkami wyborów się nie wygra, ruszyła więc nagonka na ministra obrony narodowej Mariusza Błaszczaka. To polityk, który wspólnie z Kaczyńskim, Morawieckim i Dudą radykalnie przełamał śmiertelnie groźną dla Polski niemoc w obszarze wzmacniania armii, zbrojeń, przygotowania rezerw. Ta skuteczność jest problemem dla Rosji, a w Polsce kompromituje wielu

eprasa.pl 70b088b833

ludzi, którzy twierdzili, że się nie da, a jedyną drogą zbudowania bezpieczeństwa jest trzymanie się nogawki Angeli Merkel i poddańcze hołdy składane Moskwie. W tej sprawie podział jest jasny: kto przykłada rękę do tego ataku – bierze udział w próbie ponownego rozbrojenia Polski. Warto mieć tego świadomość.

Tych nagonek nie należy lekceważyć. Potęga mediów III RP jest tak wielka, że potrafią niszczyć ludzi bez żadnej konkretnej podstawy, samymi tylko powielanymi w nieskończoność sugestiami. Tak było z posłem Łukaszem Mejzą. Rząd stracił wtedy ministra, ale poseł Mejza zaczął częściej komentować politykę, co wychodzi mu całkiem, całkiem. „Politycy PO są jak skorpiony z afrykańskiej przypowieści. W tej opowiastce żaba zgodziła się przewieźć na grzbiecie skorpiona na drugi brzeg rzeki, ale w trakcie przeprawy skorpion śmiertelnie ukąsił żabę i razem utonęli, bo skorpion prędzej czy później ujawnia prawdziwą naturę. W naturze totalnej opozycji leży głęboka pogarda dla zwykłych Polaków" – stwierdził w rozmowie z portalem wPolityce.pl, dodając, że „wybór jest prosty: osiem stówek dla rodziny, albo osiem gwiazdek Tuska".

To oczywiście w świecie, gdzie panują jakieś zasady, ludzie trzymają się jakichś wartości. W TVN wychodzi to najwyraźniej inaczej. „Na pomysły PiS złożą się podatnicy. Ci sami, którym inflacja za rządów PiS drenuje portfele. Jak łatwo sypie się pieniędzmi bliżej wyborów, o tym Maciej Knapik" – zapowiadała materiał na temat 800+ prowadząca „Fakty" Anita Werner. A kilka dni później, jak zwodu w tej sprawie dokonał Tusk, już się cieszyła: „Będzie waloryzacja i to na Dzień Dziecka, przed wyborami. Opozycja do pomysłu prezesa dorzuca swoje". Radosław Fogiel z PiS skomentował: „Zapnijcie pasy, bo to niezły rollercoaster. Od stycznia – dramat, od czerwca – wspaniale". My radzimy jednak trzymać się za portfele. Skoro tak cynicznie gra TVN, to jak cyniczne myśli ma w głowie Tusk?

Tak, tam musi się kotłować od bardzo złych emocji. Prezydent Białegostoku Tadeusz Truskolaski, wybrany z rekomendacją KO, podał dalej wpis internetowego trolla, w którym w odrażający sposób szydzono z postury dziennikarzy – Michała Kolanki, Piotra Semki i Tomasza Sakiewicza. „Waga ciężka" – dodał od siebie Truskolaski. Potem tłumaczył, że miał na myśli „ważność" dziennikarzy. Nas zastanawia bezczelność, z jaką twierdzą, że ich grubaski są piękne, prowadzą przecież programy, występują w reklamach, a te z drugiej strony są paskudne. Opozycja w Polsce to stan umysłu.

Potwierdzenie tej teorii znaleźliśmy w Krakowie na spotkaniu z ***Donaldem Tuskiem*** i ***Rafałem Trzaskowskim***. Starsza kobieta porównała tam lidera PO do... św. Jana Pawła II. „Papieża Polaka pan nie przebije. Ale po papieżu Polaku pan jest najmądrzejszy, najrozsądniejszy i jeden jedyny polityk!" – podkreśliła uczestniczka spotkania. Niestety, Tusk nie miał akurat przy sobie paszkwilanckiej książki wydanej przez zaprzyjaźnione z nim wydawnictwo i filmu zmontowanego w esbeckim stylu przez bliską mu stację telewizyjną, w których dowodzi się, że wielki Polak był w rzeczywistości obrońcą pedofilów. Pani by się ucieszyła.

Z religią ma też problemy pismo Adama Michnika. „Nie znoszę kleru, a tu komunia" – martwi się redakcja w cyklu „dylematy apostatów i niewierzących". W kolejnym odcinku zaproponują pewnie pierwszą komunię świętą bez księży, a Kościół bez Pana Boga. Tam czuli by się dobrze. Choć biorąc pod uwagę, że równocześnie podpowiadają młodym, by zamiast dzieci mieli psa („psiecko") i założyli z nim „rodzinę międzygatunkową", to dopiero początek szaleństwa.

Trudnych dylematów jest tam więcej. Seria artykułów poświęconych problemom prawnym brata jednego z liderów Konfederacji Sławomira Mentzena (brat ma zarzut kierowania grupą przestępczą działającą w obszarze hazardu) pozostaje w wyraźnym rozpięciu między chęcią przyłożenia Mentzenowi a obawami, że to „hak", który PiS ma na Konfederację. Stare, dobre dziennikarstwo, które starało się opisywać świat obiektywnie, nie ma na Czerskiej już nawet cmentarza, to zjawisko tam zapomniane.

W tle niepojęty cynizm. ***Tomasz Lis*** w swojej książce ujawnił, co po stronie opozycji myślą o tak promowanej u Michnika twórczości Tomasza Piątka. „Osiąga imponujące rezultaty, stosując trochę wątpliwe metody. To znaczy – ponieważ znam Kowalskiego, Kowalski zna Malinowskiego, Malinowski był na wakacjach z Piprztyckim, a Piprztycki był w knajpie w Moskwie i widział doradcę Putina, to ja jestem agentem Putina. Sorry, to tak nie działa. To jest ryzykowna metoda, ale na końcu podają go do sądu i przegrywają. Przy tym wszystkim Tomek opisuje realny moskiewski co do genezy charakter rządów PiS. Wykonuje dobrą robotę". Innymi słowy – według Lisa – manipulant, ale nasz. A komu z Rosją było naprawdę po drodze, kto jej czapkował, a kogo zamordowała, każdy wie.

Fot. Andrzej Skwarczyński, Andrzej Wiktor, Mateusz Zelnik

eprasa.pl 70b088b833

800 gwiazdek

KRZYSZTOF FEUSETTE

Tusk: Zebrałem was, bo sytuacja jest krytyczna. Mówiliśmy od początku, konkretnie ja, ale ja to wy, więc my: że cokolwiek zrobi PiS, jest złe...
Budka: Pan przewodniczący to nawet krzyczał, że jak usłyszy, że PiS coś robi dobrze, to go szlag trafi...
Tusk: No i trafia! Nie widać? Przecież mówiłem, że mam szajbę! Propozycje?
Budka: Może lekarz? To znaczy, nie wiem, na co...
Tusk: Na jajco! Głuchy jesteś czy internetu nie masz? Kierwiński: 800 plus.
Budka: No i co?
Tusk: I drugie jajco! Jesteśmy w czarnej dziurze!
Trzaskowski: Apeluję o więcej kultury.
Tusk: Słucham?
Trzaskowski: No, powinno się... to znaczy zgodnie z kodeksem postępowania członków partii, jaki odnajdujemy w statucie na stronie 13, należy wyciągnąć konsekwencje z sytuacji, w której się znaleźliśmy.
Tusk: Czyli?
Trzaskowski: No, przecież ktoś nas w to wpakował. Ktoś mówił, że nawet na 500 plus pieniędzy nie ma i nie będzie.
Tusk: Kto?
Kierwiński: Rostowski.
Tusk: Dawać go.
Kierwiński: Szukamy, ale Nitras zgubił trop.
Tusk: I naprawdę byliśmy przeciwni?
Budka: Gospodarka miała się zawalić. I mieli przepijać ci, co kobiety biją...
Tusk: Oj tam. To teraz trzeba dać im więcej. Jak więcej wychleją, to trafią do więzienia, a my tam zawsze mamy blisko 90 proc. Musimy trzymać się tego, co powtarzamy: nic, co zabrane, nie będzie nie oddane. To znaczy, nic, co zaorane, nie będzie niesprzedane... Nic, co zababrane, nie będzie oderwane... No, nie wytrzymam z wami! Słyszycie, że przewodniczący ma problemy językowe i żaden nie podpowie!
Trzaskowski: No, że... utrzymamy 500 plus?
Tusk: 800! I mieliśmy je schowane w szufladzie Kopaczowej te 500, za którym byliśmy od początku...
Schetyna: To czemu głosowaliśmy przeciw?
Tusk: Grzesiu, ty chcesz być na liście? A wrzuciłeś list do skrzynki? 500 miała dać Kopaczowa, a Kosiniak 300, co razem daje ile, koleżanko Leszczyna?
Leszczyna: Chwileczkę, hola hola, to trzeba oszacować. 500, mówi pan, plus 300, tak? A co w nawiasie?
Tusk: W jakim nawiasie? Kobieto, ty umiesz do ośmiu liczyć?
Leszczyna: Wypraszam sobie, ja się za ekspertkę od makroekonomii nie uważam, ja skończyłam audyty. A liczenie do ośmiu nie ma nic do rzeczy. Proszę dać mi chwilę, mam kalkulator...
Trzaskowski: Pani była wiceministrem finansów? To ja się nie dziwię, że „piniendzy" nie było.
Tusk: Młody, wstrzymaj konia. Bo to, że ja publicznie mówię, że dla mnie jesteś prezydentem, nie oznacza, że ktoś tutaj potrzebuje twoich analiz. Wodę z Wisły daj do analizy.
Budka: Ja mam pomysł! Ogłośmy, że damy 801. Oni 805? To my 810. Ważne, żeby na końcu stanęło na naszym. A i tak nie wprowadzimy tej rewela... lewaro... rewalo...
Tusk: Klepnijcie go w plecy. Ktoś jeszcze?
Trzaskowski: A gdybyśmy dali?
Tusk: Grodzkiemu?
Trzaskowski: Ludziom. Te 800. Ale od razu, natychmiast...
Tusk: A budżet?
Trzaskowski: I o to chodzi. Wyjdą na opóźniaczy. A my powiemy, że jak wygramy, to to przyspieszymy.
Tomczyk: Ja już nawet powiedziałem w radiu.
Tusk: Co?
Tomczyk: Że jak najbardziej jesteśmy za 800 plus. A jak dojdziemy do władzy, to to rozważymy.
Tusk: Co rozważymy?!
Tomczyk: No, czy... czy...
Tusk: Czy jesteście bęcwałem?! Oficjalnie „natychmiast za", ale tak naprawdę, to „rozważymy"?
Tomczyk: Oj tam, nic się nie stało. J...bać PiS!
Tusk: – Masz, synku, szlaban na telewizję, radio, internet, nawet na wychodzenie z domu. Jak cię na swoim marszu zobaczę, to do Mazurka na urodziny wszyscy pójdą, a ty nie, rozumiesz?! I kończymy z tym hasłem. Oni osiem stówek, a my osiem gwiazdek? Dość tego.
Kierwiński: Ale jak to? Przecież to jest nasze credo. Przez osiem lat nie wymyśliliśmy lepszego.
Leszczyna: Jakie credo? To cały program! Sam przewodniczący mówił, że innego nie trzeba, a nawet nie wolno. Dla posła Zembaczyńskiego te osiem gwiazdek to była cała jego myśl polityczna...
Budka: Ja taki tort nawet dostałem. To co, za rok nie jeść?
Sikorski: Ja mam wycieraczkę.
Tusk: Wszystko spalić. Nie możemy pozwolić sobie na słabości. Po storpedowanym przez środowiska pisowskie projekcie jednej listy tworzę obecnie listę cywilów, którzy będą chcieli tworzyć wyborczą drużynę. Potrzebujemy przede wszystkim ludzi z płotami. Nie chodzi o walenie się dechą, tylko miejsca na banery. A teraz najlepsze: jak ma nazywać się moja drużyna?
Schetyna: Banery i Bajery?
Tusk: Nie! Drużyna Tuska!
Trzaskowski: Ładnie. Przynajmniej wiadomo, kto za to wszystko odpowiada.
Tusk: Choć jak mawiają na szerokich wodach: kapitan jest jeden, ale na dno idą wszyscy. Na razie idziemy po złoto.
Kierwiński: Jak agronauty.

Reklama | 7/0523/F

eprasa.pl 70b088b833

eprasa.pl 70b088b833

WIEŻA BAB

Robić, nie gadać!

Gdy lider PO dopiero zapowiada równouprawnienie, partia konserwatywna obsadza najwyższe stanowiska kobietami

Podczas jednego z ostatnich prekampanijnych spotkań z wyborcami w terenie, dla zmyłki nazywanych wyjazdowym posiedzeniem klubu Koalicji Obywatelskiej, Donald Tusk obiecał, że postara się, by kobiety w polityce były traktowane na równi z mężczyznami. Faktycznie najwięcej do zrobienia w tej sprawie jest w samej Platformie.

„Dla mnie jest rzeczą ważną, także w tym wymiarze symbolicznym, żeby kobiety także w polityce były traktowane na równi z mężczyznami. Stąd idea, której osobiście przypilnuję, także tutaj, w Krakowie, w Małopolsce, by na listach do parlamentu było tyle samo pań, tyle samo panów, z tzw. suwakiem. Jeśli pierwsza będzie pani, drugi będzie pan. Żeby to miało praktyczny wyraz, a nie tylko, żeby o tym gadać" – zapowiedział Tusk. Faktycznie w tej sprawie PO nie ma czystego sumienia i jest nad czym pracować.

W Zarządzie Krajowym Platformy Obywatelskiej jest tylko 7 kobiet na 20 mężczyzn. Gdy Tusk wrócił do Polski z Brukseli, to żeby mógł wrócić na stanowisko szefa partii, ze swojej funkcji musiała ustąpić Ewa Kopacz. Inaczej Tusk nie mógłby objąć stanowiska p.o. szefa Platformy. Przed wyborami prezydenckimi w 2020 r. Małgorzata Kidawa-Błońska musiała ustąpić na rzecz Rafała Trzaskowskiego.

I tak, gdy lider PO dopiero zapowiada równouprawnienie, partia konserwatywna obsadza najwyższe stanowiska kobietami. Kobieta, Beata Szydło, była premierem oraz szefową kampanii prezydenta Andrzeja Dudy. Szefem Kancelarii Prezydenta RP jest kobieta – Grażyna Ignaczak-Bandych. Druga osoba w państwie, czyli marszałek Sejmu – Elżbieta Witek – pochodzi z nominacji PiS. Sztandarowy program rządu Zjednoczonej Prawicy Rodzina 500+ wprowadzała kobieta – Elżbieta Rafalska, dziś także kobieta – Marlena Maląg – tę pracę kontynuuje, a jeszcze inna kobieta – Barbara Socha – przygotowała strategię demograficzną dla Polski. Ministrem finansów była Teresa Czerwińska, a jest Magdalena Rzeczkowska. Szefową BGK jest kobieta – Beata Daszyńska-Muzyczka, szefową ZUS – Gertruda Uścińska, ARiMR – Halina Szymańska. W rządzie mamy jeszcze Annę Moskwę, Annę Schmidt, Annę Krupkę, Izabelę Antos, Annę Łukaszewską-Trzeciakowską, Olgę Semeniuk-Patkowską, Jadwigę Emilewicz i wiele innych.

To może rzućmy jeszcze okiem na działania rządu. Tylko w 2022 r. na działania związane ze wsparciem rodzin, a więc także ułatwiające życie kobietom, w ramach różnego rodzaju programów wydatki budżetu państwa wyniosły ok. 86 mld zł. Od uruchomienia programu Rodzina 500+ w kwietniu 2016 r. na wsparcie rodzin wydano już 202,3 mld zł. Ten program ma także znaczenie emancypacyjne. Od lutego 2019 r. o specjalną emeryturę mogą się starać kobiety, które urodziły i wychowały minimum czworo dzieci. Rząd wprowadził także Rodzinny Kapitał Opiekuńczy, czyli dofinansowanie w kwocie nawet 12 tys. zł na drugie i każde kolejne dziecko w wieku od ukończenia 12. do 35. miesiąca życia. W 2022 r. z Rodzinnego Kapitału Opiekuńczego skorzystało ok. 615 tys. dzieci, a kwota wsparcia to ok. 3,1 mld zł. Na te dzieci, które nie są objęte RKO, przysługuje dofinansowanie do pobytu w żłobku, klubie dziecięcym lub u dziennego opiekuna. Maluch+ to wsparcie w tworzeniu nowych miejsc opieki nad dziećmi, tak by mamy mogły wrócić do pracy. Dobry Start zaś to wsparcie dla rodziców na zakup wyprawki. Są jeszcze bezpłatne leki dla kobiet w ciąży. Na liście leków refundowanych jest obecnie 397 pozycji, najczęściej stosowanych przez kobiety spodziewające się dziecka.

Polska jest np. na piątym miejscu wśród 27 krajów UE, jeśli chodzi o równość wynagrodzeń kobiet i mężczyzn. Jeśli chodzi o odsetek kobiet w zarządach spółek giełdowych – to też jest on wyższy niż w wielu krajach Unii. A w Parlamencie Europejskim sama Sylwia Spurek chwaliła rząd za walkę z przemocą.

Fakty są więc takie, że gdy jedni tylko gadają, inni działają. Tu Donald Tusk ma jeszcze trochę do nadrobienia.

Dorota Łosiewicz

Reklama | 7/0523/F

ORLEN

My inwestujemy w czystą i tanią energię z małego atomu

eprasa.pl 70b088b833

Na ratunek kawie

Arabiki, najpopularniejszego gatunku kawy na świecie może wkrótce zabraknąć albo stanie się ona drogim rarytasem. Ta odmiana, uprawiana na wysokości od 1200 do 2000 m n.p.m., gdzie powietrze jest rzadsze, temperatury niższe oraz jest mniej insektów i chorobotwórczych grzybów, źle znosi wahania związane z perturbacjami klimatycznymi. W 2021 r. niespotykane w Brazylii mrozy zniszczyły 200 tys. ha upraw arabiki, w Hondurasie spustoszenie spowodowały powtarzające się huragany, a w Kolumbii wahania opadów. W efekcie doszło do spadku produkcji i skoku cen.

Ale to, co jest czarnym scenariuszem dla jednych producentów, cieszy innych. Tak jest w przypadku Wietnamu, głównego światowego producenta robusty, mniej cenionej (używanej przeważnie w kawach rozpuszczalnych i mieszankach) odmiany tej rośliny. Wskutek problemów Brazylii wartość eksportu wietnamskiej robusty znacząco wzrosła, a rząd w Hanoi chciałby przejąć większą część kawowego rynku.

Thuan Sarzynski, francuski agronom o polsko-wietnamskich korzeniach, od pewnego czasu pracuje nad nowymi krzyżówkami kawy, łączącymi łagodność i smak arabiki z odpornością robusty. *Coffea canephora*, znana jako robusta, zawdzięcza większą tolerancję na zmiany temperatury, insekty i choroby przede wszystkim wyższej zawartości kofeiny. W jej przypadku jest to 2,5 proc., podczas gdy w arabice jest to średnio 1,5 proc. Testowane krzyżówki są nie tylko odporniejsze, lecz także znacznie bardziej wydajne. Dają średnio dwa razy więcej owoców niż dotychczasowe odmiany.

Wietnam, który startował w 1984 r. z poziomu 0,5 proc. udziału w światowym rynku, do 18 proc. w 2020 r., jest dziś drugim na świecie producentem kawy. Ten spektakularny wzrost, który jest wynikiem systematycznej, prowadzonej przez ostatnie 30 lat polityki wspierania rolników specjalizujących się w uprawie kawy, powoduje, że obecne starania władz w Hanoi, subsydiujących wyhodowanie nowych odmian, wszyscy traktują bardzo poważnie. Bo jeżeli Wietnam osiągnie sukces, to z pewnością stanie się nowym liderem na kawowym rynku.

Marek Budzisz

Fot. shutterstock

Francja

Zielona pauza Macrona

„Staniemy się wielkim narodem ekologii. Dziękuję, że mi zaufaliście i wybraliście projekt humanistyczny, europejski, republikański, socjalny i ekologiczny" – oświadczył Emmanuel Macron w swoim przemówieniu po reelekcji na prezydenta Francji.

Teraz, niecały rok później, apeluje o pauzę we wprowadzaniu ekologicznych rozwiązań w UE. „Nie należy dorzucać kolejnych norm środowiskowych do tych już istniejących w ramach Europejskiego Zielonego Ładu" – zaznaczył. „Wolę fabryki, które spełniają europejskie standardy, niż ryzyko, że nie będzie już fabryk" – zadeklarował podczas szczytu „Wybierz Francję" w Wersalu z udziałem przedstawicieli francuskiego i europejskiego przemysłu.

Wypowiedzi Macrona wywołały zamieszanie w Brukseli oraz oburzenie wśród ekologów. Francuscy Zieloni (EÉLV) oskarżyli go o hipokryzję. „Chciał być najbardziej zielonym na całej planecie, ale rzeczywistość jest taka, że gdy Francuzi poprosili go o cofnięcie reformy emerytalnej, on wziął się za środowisko i to w bardzo brzydki sposób" – stwierdziła liderka ugrupowania Marine Tondelier. Nie da się ukryć, że Macron uczynił z reindustrializacji jedną z głównych osi swojej polityki po przepchnięciu reformy emerytalnej. Francja ma stać się znowu atrakcyjna dla inwestorów oraz przodować w innowacjach. Także w dziedzinie zielonych technologii. „Neutralność klimatyczna do 2050 r. to już bardzo ambitny cel. Skupmy się na wprowadzaniu go w życie" – zaproponowała premier Élisabeth Borne.

Tymczasem prezydent przedstawił główne założenia ustawy o zielonym przemyśle. Celem planu jest przyspieszenie budowy nowych fabryk. Pierwsza już powstaje – jest to megafabryka akumulatorów elektrycznych w Dunkierce. Dzięki niej tysiące ludzi w tym dotkniętym wysokim bezrobociem regionie znajdzie pracę. Inne fabryki we Francji powstaną w regionie Hauts-de-France. Macron obiecał również ulgi dla przedsiębiorstw oraz dla właścicieli samochodów elektrycznych oraz ułatwienia w tworzeniu studiów środowiskowych dla inwestycji.

Silny przemysł to jeden z filarów forsowanej przez francuskiego prezydenta suwerenności gospodarczej Europy. Francuzi obawiają się bowiem, że inwestorzy odpłyną za ocean. Macron jest przy tym przekonany, że krytyczne technologie potrzebne do realizacji europejskich celów klimatycznych powinny być produkowane w Unii. Pauza w regulacjach klimatycznych, która powinna potrwać – jak podkreślił minister ds. przemysłu Roland Lescure – pięć, a może nawet 10 lat, miałaby pozwolić Europie skupić się na budowaniu tej suwerenności. Ale czy rzeczywiście chodzi tu o Europę? Czy może raczej o konkurencyjność francuskiej gospodarki?

Aleksandra Rybińska

Fot. Frederic Legrand - COMEO/Shutterstock.com
Fot. Anuragfotoz/Shutterstock.com

eprasa.pl 70b088b833

Nowe mocarstwo

Według najnowszych szacunków Indie liczą obecnie 1425 775 850 mieszkańców. Oznacza to, że po raz pierwszy od 1950 r., odkąd ONZ prowadzi rejestry globalnej populacji, Chiny spadły na drugie miejsce pod względem liczby ludności.

Detronizacja Chin jest m.in. skutkiem wprowadzenia w 1977 r. polityki jednego dziecka. Obejmowała one grzywny za posiadanie dodatkowych dzieci, przymusowe aborcje i sterylizacje. Restrykcje okazały się na tyle skuteczne, że mimo liberalizacji tej polityki w 2015 r., gdy wyrażono zgodę na drugie dziecko, a od 2021 r. – również na trzecie, Chiny zmagają się teraz z coraz mniejszą i coraz bardziej starzejącą się populacją.

Wskaźnik dzietności w Chinach wynosi dziś 1,2 dziecka na kobietę, a według prognoz liczba mieszkańców ma spaść o prawie 10 proc. w ciągu następnych dwóch dekad, a przed końcem tego stulecia zejdzie poniżej miliarda. Co więcej, zmienia się także profil wiekowy Chińczyków. Liczba osób powyżej 65. roku życia wzrośnie do 2050 r. ponad dwukrotnie – ze 150 mln do 330 mln, przy jednoczesnym spadku liczby osób w wieku produkcyjnym. Trudno będzie w takiej sytuacji demograficznej utrzymać dotychczasowy szybki rozwój kraju.

Indie są w innej sytuacji. Bo choć wzrost liczby ludności również tam przyhamował, to Indie nie osiągnęły jeszcze najwyższego pułapu, który – według szacunków – wyniesie 1,7 mld mieszkańców w 2064 r.

Obecnie w Indiach rodzi się średnio 86 tys. dzieci dziennie, w porównaniu z zaledwie 49 tys. w Chinach. Społeczeństwo indyjskie jest młode (średnia wieku wynosi 29 lat) i pozostanie takie przynajmniej przez najbliższe dwie dekady. To daje potencjalne możliwości rozwoju, o ile gospodarka Indii zdoła wchłonąć tak dużą liczbę pracowników. Na razie bowiem mniej niż połowa Hindusów w wieku produkcyjnym ma pracę (w przypadku kobiet to zaledwie 20 proc.).

Indie od dawna starają się kontrolować liczbę ludności – również tu stosowano brutalne metody w rodzaju przymusowych sterylizacji. W efekcie wskaźnik dzietności spadł z poziomu 5,7 urodzeń na kobietę w 1950 r. do dwóch urodzeń obecnie. Istotne są także czynniki ekonomiczne. W bogatych stanach południa dzietność jest znacznie niższa niż na ubogiej północy. Ma to swoje skutki polityczne, południe traci swoich reprezentantów we władzach centralnych, a głos zyskuje uboga większość głosująca na rządzącą Partię Ludową premiera Modiego.

Jeśli Indie podobnie jak wcześniej Chiny zdołają przekuć swoją przewagę demograficzną na sukces gospodarczy, to już wkrótce staną się graczem, z którym wszyscy pozostali będą musieli się liczyć. A to, niestety, może oznaczać kolejne wstrząsy w światowej polityce.

Konrad Kołodziejski

Indie

Salwador

Fake news przed trybunałem

W większości państw Ameryki Środkowej aborcja na życzenie jest zakazana. Jednym z nich jest także Salwador, który podlega obecnie silnej presji, by zmienić ustawodawstwo w tej sprawie. Szczególnie duży nacisk wywierają na niego międzynarodowe koncerny aborcyjne, które liczą na to, że legalizacja zabójczego procederu przyniesie im krociowe zyski. Oczywiście jak zwykle posługują się one różnymi organizacjami pozarządowymi, które hojnie wspierają finansowo. Te ostatnie z kolei odwołują się do swoiście rozumianych praw człowieka, zwłaszcza tzw. praw reprodukcyjnych.

W tej walce dużą rolę odgrywa też Międzyamerykański Trybunał Praw Człowieka, do którego trafiła niedawno sprawa niejakiej Beatriz Garcíi, która miała umrzeć w 2013 r. z powodu odmowy wykonania aborcji. Okazało się jednak, że w rzeczywistości kobieta zginęła w 2017 r. w wypadku samochodowym. Jest prawdą, że chorowała na toczeń i domagała się aborcji. Lekarze orzekli jednak, że choroba nawet w stanie brzemiennym nie zagraża jej życiu. Zgodnie z ich diagnozą ciąża przebiegła bez powikłań i matka urodziła córeczkę, która niestety zmarła później z powodu wrodzonej i nieuleczalnej choroby.

Przypadek Beatriz Garcíi pokazuje sposób działania organizacji proaborcyjnych, które bardzo często opierają się na zafałszowanych historiach. Na analogicznym kłamstwie była przecież oparta sprawa Roe vs Wade, która w 1973 r. doprowadziła do legalizacji aborcji w USA. W Polsce w 2008 r. zakłamany został przypadek 14-letniej Agaty z Lublina, który posłużył lobbystom proaborcyjnym w ich medialnej kampanii. Można powiedzieć, że kłamstwo jest wręcz wpisane w DNA tych środowisk. Ich cała działalność opiera się bowiem na kłamstwie założycielskim, czyli twierdzeniu, że dziecko w prenatalnej fazie rozwoju nie jest istotą ludzką, choć zaprzeczają temu nauki biologiczne i medyczne. Nawet przegrana Salwadoru przed wspomnianym trybunałem nie może zmusić tego państwa do zmiany prawa, jest jednak silnym narzędziem presji.

Grzegorz Górny

Fot. Carolina Jaramillo/Shutterstock.com

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Hasło wyborcze: PiS na biiiiiissss!

Jan Pietrzak

Może być pisane krócej: PiS na Bis! Istotą dobrego hasła jest maksymalny skrót maksymalnie ważnej treści. Przed wojną Melchior Wańkowicz, który był w kabarecie Hybrydy w 1964 r. i opowiadał o tym, otrzymał legendarne honorarium za dwa słowa „Cukier krzepi". Była to reklama handlowa, więc suma była natury komercyjnej. Ja jedynie nieskromnie zauważam, że trafiające w sedno hasło bywa bezcenne. Wiem to z własnego doświadczenia. Słowa „Żeby Polska była Polską" zawarte w refrenie z lat 70. zyskały taki odzew społeczny w roku 80, że do dzisiaj są znienawidzone przez wrogów Polski. Hasła „PiS na Bis" też nasi wrogowie nie polubią.

Totalna nienawiść do polskości bijąca od Tuska et consortes uniemożliwia im racjonalne podejście do realnych spraw. A polityka jest dziedziną nadzwyczaj realną. Wrzaski nerwusów, gaworzenie pięknoduchów, tyrady ideologów przegrywają z konkretami pragmatyków. Ostatnie zgromadzenia Prawa i Sprawiedliwości zwane ulami pokazują pracowitych ludzi rzetelnie definiujących polskie problemy i zagrożenia. A wokół tego ula hula żywioł wszelaki. Trutnie, szerszenie, bąki, pająki, muchy plujki... itd. Jeżeli to tałatajstwo dobierze się do naszego ula, to miód diabli wezmą, a pasieka przepadnie.

Jest sprawą wielkiej wagi kontynuacja obecnych rządów, by olbrzymia praca nad rozwojem kraju nie poszła na marne. PiS musi bisować! By nie zasypano kanału na Mierzei Wiślanej, nie wyrzucono ze szkół świetnej książki prof. Roszkowskiego, nie odesłano HIMARS i Abramsów do USA, nie rozpędzono WOT, nie przewalono zapory na granicy z Białorusią, nie odebrano wsparcia socjalnego tym, którzy tego potrzebują... itd.

Usłyszałem właśnie zarzut, że PiS stara się przypodobać społeczeństwu. No właśnie, inne partie robią wszystko, by się podobać Niemcom i razem z nimi okradać Polaków. To kogo mamy wybierać? Inne partie nie ujawniają programu, bo jest okryty tajemnicą wojskową. Planują po wojnie reset z Rosją „taką, jaka ona jest" pod nieodzownym patronatem „błogosławionych rządów niemieckich".

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Walka o seks (w szkołach)

Dominik Zdort

To był temat dnia w najbardziej wpływowym polskim dzienniku. „Co zmieni ustawa zwalczająca »seksualizację dzieci«?" Bite dwie kolumny, a na nich tekst mający udawać informację (w rzeczywistości czysto propagandowa jednostronna agitka), komentarz oburzonej radykalnej felietonistki wspomnianej gazety (nie wiem, czym im jeszcze zostały jakieś nieradykalne), a na koniec dwa głosy działaczy ideologicznych organizacji – nie dwugłos, ale dwa głosy, wyrażające ten sam jedynie słuszny pogląd. Jednego z nich udzielił – uwaga, to nie przypadek – znany działacz gejowski.

Wszyscy oni rżną głupa, udając, że nie wiedzą, co to takiego ta seksualizacja, i utrzymują, że tak naprawdę chodzi im „tylko" o edukację seksualną. Napiszę wprost: edukacja seksualna na poziomie podstawówki to właśnie seksualizacja. Ci sami, którzy grzmią przeciw księżom pedofilom, równocześnie występują z gorącą obroną rozbudzania dziecięcej seksualności. Łatwo się domyślić, że będą też chcieli wmawiać dzieciakom, że seks homoseksualny jest czymś równie wartościowym co ten normalny. Tak jakby chcieli przekształcić szkoły podstawowe w farmy hodujące ofiary dla zboczeńców czy tych w sutannach, czy tych w dresach nauczycieli WF-u, czy tych w wykwintnych garniturach.

Kto chce się dowiedzieć, jakie są skutki seksualizacji dzieci, niech zapozna się z historiami Daniela Cohna-Bendita, francusko-niemieckiego intelektualisty i polityka, czy francuskiego pisarza Gabriela Matzneffa, którzy już w latach 60. ub.w. za przyzwoleniem (a może i ku zazdrości) swoich środowisk zabawiali się z dziećmi, a nawet szczycili się tym w swoich publikacjach (a nie tylko ci dwaj byli zaangażowani w ten obrzydliwy proceder). Pisaliśmy o tym w Tygodniku TVP, odsyłam do tekstów m.in. Beaty Modrzejewskiej.

To, że są ludzie, którzy wprost i otwarcie, pod własnymi nazwiskami, domagają się swobody działania w szkołach organizacji zajmujących się opowiadaniem małym dzieciom o seksie, jest dla mnie – jeszcze raz napiszę, w czasach, gdy mamy realny problem z pedofilią – niepojęte. Jak trzeba być bezmyślnym i niefrasobliwym, jak bardzo trzeba mieć w pogardzie dzieci, jak bardzo trzeba nie mieć szacunku dla rodziców?

No i ostatnie, chyba najważniejsze pytanie: dlaczego walka o swobodę seksualizacji to tak ważna sprawa, że warto ją uznać za temat dnia w wysokonakładowej gazecie?

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl

eprasa.pl 70b088b833

BRONISŁAW WILDSTEIN

Pani mokra zagrożona

Kolejny zamach PiS na kulturę. Czy warto go odnotowywać po całej serii podobnych poczynań zainicjowanych zamachem tej partii na demokrację, czyli powołaniem rządu w efekcie wygranych wyborów? I to bez uzgodnienia z Holland i Stuhrem, szefem KE i kanclerzem Niemiec, Michnikiem i Lisem, Tuleyą i Żurkiem. Ale to jeszcze mało, bo – proszę sobie wyobrazić – rząd ten podjął się rządzenia. Mimo protestów obrońców demokracji. Obsadzał podległe sobie instytucje. Również kulturalne. Czy może być większy skandal? Ostatnio, po odejściu na emeryturę naczelnego miesięcznika „Dialog", dyrektor Instytutu Książki, któremu pismo podlega, powołał nowego naczelnego. Jest nim pisarz, eseista i redaktor, dr Antoni Winch. Został powołany bez uzgodnienia z „GW", dotychczasową redakcją „Dialogu" czy wojującymi feministkami, które uwiły sobie tam gniazdko. I rozpoczęła się kampania taka sama jak w przypadku Instytutu Teatralnego, Centrum Sztuki Współczesnej, Zachęty oraz każdego ośrodka kultury, który państwo finansuje.

Tytuł modelowego artykułu w „GW": „PiS-owski układ kulturalny".

„Konserwatywny literat Antoni Winch został redaktorem naczelnym zasłużonego pisma »Dialog«. Winch został, by tak rzec, przyniesiony w teczce przez dyrektora podległego Glińskiemu Instytutu Książki". Konserwatywny to co najwyżej „literat". Zgodne z procedurą mianowanie to „przyniesienie w teczce". Ale lista grzechów Wincha się na tym nie wyczerpuje. „Pracuje też jako kierownik literacki w Teatrze im. Jaracza w Łodzi, gdzie PiS-owski zarząd województwa powołał na dyrektora Michała Chorosińskiego, męża aktorki i posłanki PiS Dominiki Chorosińskiej-Figurskiej. Tenże Chorosiński jest z kolei reżyserem i »koordynatorem teatru« w upaństwowionym właśnie przez Glińskiego i wspartym 10 mln rocznie Teatrze Klasyki Polskiej, kierowanym przez Jarosława Gajewskiego".

W Polsce, w której wybory wygrywa PiS, instytucje państwowe stają się „PiS-owskie", finansowanie kultury staje się „wspieraniem" swoich, bo mianowanych przecież przez niewłaściwy rząd, a praca dla państwa to „fucha" i wejście do „układu". Demokratyczne procedury są przedstawiane jako działalność mafijna, a słowo „pisss", którym krztuszą się autorytety moralne i luminarze kultury III RP, przybiera charakter obsesyjnej obelgi, chorobliwej perseweracji. Jakiekolwiek zbliżenie się do „pisssu" zaraża.

Mianowani przez „pisss" zajmują miejsca należne „właściwym" i dlatego po „wygranych" wyborach – jak prostodusznie wyznaje wyborczy autor – „cała ta czeladka będzie musiała zmieścić się w TV Republika, mediach braci Karnowskich, na katolickich uczelniach czy marszałkowskich instytucjach kultury w tych województwach, gdzie PiS zachowa władzę". Oto wizja pluralizmu ze strony jego żarliwych obrońców. Bez pozoru odwoływania się do talentów czy kompetencji. Państwo można akceptować, jeśli władza należy do nas – wprost mówią obrońcy porządku III RP. To samo dotyczy kultury.

„Dlaczego Winchowi nie jest wstyd?" – pyta w tytule swojego artykułu „profesorka" od gender i feminizmu Agnieszka Graff. To, że sama powinna wstydzić się swojego tekstu i całej kariery, nie przyjdzie jej do głowy. Chociaż należałoby się z nią zgodzić, kiedy pisze: „A zatem, droga redakcjo [»Dialogu«], czas obudzić się z egzystencjalnego stuporu. Mniej równości, więcej metafizyki. Mniej feminizmu, więcej tragizmu". To, zdaje się, ma ośmieszyć nowego redaktora teatralnego pisma.

„W radykalnym konserwatyzmie Wincha dominuje nuta buntownicza, wręcz kontrkulturowa. Jest to bunt przeciw demokracji. Przeciw dyskursom równościowym, tu uznanym za obmierzłą opresję. Jest w tym myśleniu głęboka pogarda dla liberalizmu jako systemu wartości i demokracji liberalnej jako systemu politycznego. Feminizm, ekologia, antyrasizm, namysł nad etyką pracy w teatrze?

To duchowa martwota, stupor i »duchowy szit«. Winch chce te głupstwa zastąpić metafizyką i tragizmem".

Demokrację autorka postrzega wyłącznie w jej liberalnym wcieleniu, które ma z nią tyle wspólnego, co jej „ludowa" wersja. Nie wymagajmy jednak od Graff zbyt wiele. Jest przecież specjalistką od gender. Nie zdaje sobie sprawy, że podpisuje się pod apologią nowego redaktora. Przy okazji przeprowadza wiwisekcję swojego środowiska. Metafizyka, tragiczność to dla niego nudne starocie, to, co ważne, to „pani mokra", której pomnik wystawiła doskonała jego reprezentantka, Monika Strzępka. Zastąpi ona fallokratów w rodzaju Gustawa Holoubka, Zbigniewa Zapasiewicza czy Tadeusza Słobodzianka na stanowisku dyrektora, przepraszam: dyrektorki Teatru Dramatycznego. Zarówno tym, że widzowie teatralni zredukowani zostali do ideologicznej jaczejki, postępowcy się nie przejmują, jak i tym, że czytelnicy „Dialogu" to dziś paręset osób. Ważne, by zachować monopol.

Co będzie jednak, jeśli „pani mokra" wyschnie? Na skutek emisji dwutlenku węgla – naturalnie.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 70b088b833

Walizka Aldony Orman

aktorki

Uwielbiam podróże dalekie i bliskie, wakacyjne z rodziną i zawodowe. Odwiedziłam 54 kraje, ale najbardziej jestem zakochana w Azji. Ta część świata jest po prostu magiczna. Przepiękne krajobrazy, ciekawe miejsca, przemili ludzie, smaczna orientalna kuchnia, porywająca kultura i tradycja. Urocze są Malediwy, Wietnam, Chiny, Japonia, wyspy w Tajlandii czy Bali. Na jednej z tajskich wysp Phi Phi zaczęłam się zastanawiać, czy krajobraz, który mnie otacza, to natura czy może scenografia filmowa – notabene był tam kręcony film z Leonardo DiCaprio „Niebiańska plaża". Człowiek w takich miejscach uświadamia sobie, że Boża kreatywność przy tworzeniu natury nie ma końca. Polska jest też pełna przepięknych krajobrazów, które mogą zauroczyć niejednego człowieka, dlatego ciągle odkrywam nowe, urocze miejsca. Lubię też krótkie wyjazdy o charakterze zawodowym. Oczywiście wtedy mniej zwiedzam, ponieważ prym wiedzie praca, np. udział w spektaklach, festiwalach czy planach zdjęciowych.

OKULARY

Mam je przy sobie, nawet gdy nie ma słońca. Bardzo lubię nosić twarzowe okulary. Zakładam je czasem, zamiast robić makijaż. Podczas zakupów poświęcam sporo czasu na ich wybór, kieruję się nie tylko kształtem oprawek, ale przede wszystkim jakością szkieł, czyli ich najważniejszą częścią.

SZPILKI

Na wyjazdy zawodowe elegancja jest jak najbardziej wskazana. Te szpilki, mimo że są wysokie, nie tracą na komforcie noszenia.

eprasa.pl 70b088b833

KAPELUSZ
Nie wyobrażam sobie pobytu nad morzem bez kapelusza, ochrania przed ostrym słońcem i dodaje uroku.

ZAPACH
Lubię zapachy z nutką tajemnicy, często są to zapachy orientalne. Nie kupuję przypadkowych zapachów, wybieram je zawsze z uwagą.

PUZDERKO
Przywiezione z Fatimy. Przypomina kształt korony Matki Bożej Fatimskiej. Córka trzyma w nim swoje cenne drobiazgi.

PERŁY
Biżuteria dodaje szyku i elegancji, dlatego nie zapominam o niej, pakując się na wyjazd zawodowy czy wakacyjny.

MISA
Z Bali. Wydaje przepiękne dźwięki, które służą do relaksacji. Uderzając lekko w naczynie, można masować ciało dźwiękiem.

MASKA
Jest z Wenecji. Byliśmy tam całą rodziną podczas karnawału, który organizowany na przełomie stycznia i lutego, ściąga tłumy turystów. Ten zimowy festiwal jest pełen kostiumów, parad, muzyki, no i lokalnych przysmaków.

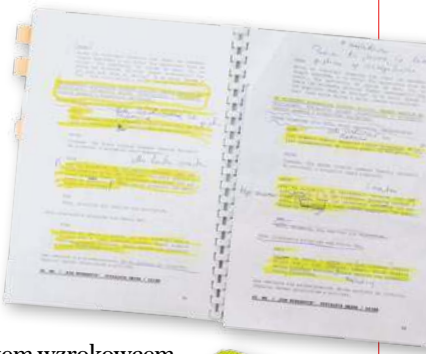

SCENARIUSZ
Gdy gdzieś wyjeżdżam, nie zapominam o tekście scenariusza, by w wolnej chwili na leżaku czy w pokoju hotelowym się pouczyć. W pracy zawsze jestem przygotowana, umiem tekst, który muszę zagrać. Nigdy nie przychodzę na plan nienauczona. Ponieważ jestem wzrokowcem, swoje dialogi podkreślam markerem.

KSIĄŻKA
W podróż zawsze zabieram coś do czytania. W życiu dostajemy nie tyle, na ile zasługujemy, lecz to, co wynegocjujemy! Więc „Negocjuj, kobieto" – w pracy, w domu i w relacjach z bliskimi. Książkę o tym właśnie tytule zamierzam teraz przeczytać.

SŁUCHAWKI
Uwielbiam muzykę. Słucham różnej, od klasyki, przez jazz, do popu. Ale przesłuchuję też nagrania swojej córki, które nagrywa w wytwórni fonograficznej. Idalia pisze również swoje piosenki, nagrywa w studiu. Mam nadzieję, że niedługo będzie można usłyszeć jej prace.

MASAJOWIE
Figurki z Zanzibaru. Ze spotkaniem Masajów wiąże się zabawna sytuacja, gdyż naszej wówczas siedmioletniej córce wypadły dwa dolne mleczaki. Dla lokalnych plemion brak dolnego zęba należy do kanonu urody, dlatego je wybijają. Ale tradycja tego zwyczaju pochodzi z zachorowań na tężec, by chorego można było karmić przez słomkę.

TOREBKA
Mam ich całkiem sporą kolekcję. Dobieram do koloru ubrania, pogody i nastroju. Ten model jest bardzo wygodny i często go noszę.

Wysłuchał i zapisał Michał Korsun

Fot. Andrzej Wiktor

epresa.pl 70b088b833

OGNIEM NA WPROST

HIMARS Orchestra

Ukraińska obrona przeciwlotnicza wykazała się ostatnio 100-proc. skutecznością. W nocy z 15 na 16 maja Ruski uderzył w Kijów prawie wszystkim, co lata, w tym Kindżałami. Ta „cudowna", reklamowana przez Kreml jako hipersoniczna, broń miała być ponoć nie do strącenia. Rozwijała tak wielką prędkość, że nawet sam Władimir P. mimo swojego sokolego wzroku nie mógł jej zauważyć na manewrach, jak przecina nieboskłon. I tak się nakręcali przez pięć lat, robiąc to, co lubią najbardziej – straszyć Zachód. Aż wreszcie wypuścili z samolotu na stolicę Ukrainy najpierw jedną rakietę. I szok! Trafiona Patriotem spadła na ziemię niczym dojrzała ulęgałka. To nocą wypuścili sześć sztuk naraz. Wszystkie trafione! Żadna nie doleciała do celu. Ponoć odłamki jednej z nich uszkodziły system Patriot. I to wystarczyło Moskwie, żeby odtrąbić sukces. Ale jak się nie ma co się lubi, to się lubi co się ma. W rzeczywistości mit o śmiercionośnym Kindżale upadł dość szybko i z dużym hukiem – raptem pięć lat po premierze, rok po debiucie bojowym i dzień po pierwszym zderzeniu z nowoczesnym zachodnim systemem.

Siły ukraińskie zepchnęły pod Bachmutem Moskali prawie do samej wsi Kleszczówka na południu, zajmując na powrót górujące nad nią wzgórza. Na północy idą do przodu całą szerokością od rogatek miasta do drogi na Słowiańsk. W tejże Kleszczówce zagrały swoją ulubioną melodię tryzubowe HIMARS. Tym razem trafiono kacapski punkt dowodzenia. Wśród ofiar znalazło się czterech wysokich oficerów, w tym dowódca 4. Samodzielnej Brygady Strzelców Zmotoryzowanych, płk Wiaczesław Makarow, jego zastępca, szef sztabu oraz zastępca dowódcy 2. Korpusu Armii. Cała czwórka została wystawiona na strzał, a Ukraińcy doskonale wiedzieli, na kogo polują. Makarow był jednym z lepszych rosyjskich dowódców, a 4. Brygada jedną z lepszych jednostek. Do tej pory całe to towarzystwo słuchało na koncertach chóru Aleksandrowa pieśni „Katiusza", ale ostatnią nutę tym razem zagrał dla nich amerykański jazz-band – HIMARS Orchestra.

W samej Kacapii ludzie ukrywają się przed mobilizacją, jak tylko mogą. Teoretycznie potencjał państwa moskiewskiego był szacowany przed najazdem na 2–2,5 mln bojców, a *de facto* nie jest w stanie przekroczyć pułapu 1 mln ludzi. Jednym z popularnych ostatnio sposobów – jak czytamy w sieci – na wymiganie się z kamaszy jest formalna zmiany płci (bez tranzycji) i wyjście za mąż za kolegów. Niedługo Wschód będzie mógł się poszczycić największą liczbą tranzycji i małżeństw jednopłciowych (choć formalnie dwupłciowych) w całej Europie i Azji. Wręcz wymarzona sytuacja dla rodzimych i europejskich aktywistów gender i LGBT+. Po co latać po szkołach i demoralizować dzieci, skoro wystarczy wywołać wojnę, a dewiacyjne postulaty same się zrealizują.

Minister spraw wewnętrznych bantustanu Ługandy (Ługańskiej Republiki Ludowej) Igor Hornet doszedł do wniosku, że czas odwiedzić fryzjera. Nie zauważył, że każdy jego ruch jest śledzony przez lokalny, ukraiński ruch oporu. Po udaniu się do zakładu w Ługańsku i zajęciu miejsca w fotelu eksplodował ładunek wybuchowy, który zmiótł z powierzchni ziemi zarówno lokal, jak i nieszczęsnego klienta. Tym razem strzyżenie wraz z goleniem wyszło gratis.

Na koniec, jak od kilku tygodni, Ruscy o sobie: „Rosjanie to lud, który nienawidzi wolności. Kocha niewolnictwo, kocha kajdany na swoich rękach i nogach, brudny fizycznie i moralnie. Gotowy w dowolnej chwili stłamsić wszystkich i wszystko" – Iwan Szmielow, tamtejszy pisarz.

Andrzej Rafał Potocki

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 70b088b833

Nastoletni przedsiębiorcy

Marta Kaczyńska-Zielińska

Zgodnie z obecnie obowiązującymi przepisami osoby, które skończyły 13 lat, ale nie są jeszcze pełnoletnie, chcąc prowadzić własny biznes, muszą to robić za pośrednictwem i zgodą rodziców. Począwszy od uzyskania wpisu w Centralnej Ewidencji i Informacji o Działalności Gospodarczej aż po zawieranie umów z kontrahentami, sprzedaży towarów lub usług. 13-latkowie i starsza młodzież może prowadzić działalność nierejestrowaną, ale miesięczne przychody z takiej działalności nie mogą przekroczyć połowy wysokości minimalnego wynagrodzenia.

Obowiązujące obecnie uwarunkowania prawne pozwalają także w praktyce na nadużycia polegające na wykorzystywaniu dzieci jako podmioty, na które można rejestrować działalność gospodarczą, choć w istocie nie są one w nią zaangażowane. Temu zjawisku trzeba przeciwdziałać.

Dane statystyczne wskazują, że od okresu pandemii i narzuconych przez nią ograniczeń młodzież coraz bardziej interesuje się możliwościami samodzielnego prowadzenia działalności gospodarczej, szczególnie w obszarze nowych technologii. Wirtualne usługi stworzyły nową przestrzeń na rynku pracy, w której najswobodniej i najsprawniej radzą sobie kreatywni młodzi ludzie, nierzadko w świetle prawa pozostający jeszcze dziećmi.

Ministerstwo Rozwoju i Technologii postanowiło wyjść naprzeciw oczekiwaniom najmłodszych przedsiębiorców uzyskujących dochody w szczególności z działalności online w social mediach, e-sportu, branży artystycznej, sportowej, a także tym, którzy udzielają korepetycji lub zamierzają samodzielnie podjąć się np. sezonowej sprzedaży. Propozycje otwierające drogę do pierwszych samodzielnych kroków w biznesie zostały zawarte w przepisach projektu ustawy o zmianie niektórych ustaw w celu ulepszenia środowiska prawnego i instytucjonalnego dla przedsiębiorców. Osoby nieposiadające pełnej zdolności do czynności prawnych obecnie muszą być reprezentowane przez przedstawiciela ustawowego w każdej sprawie z wyjątkiem zawierania umów powszechnie zawieranych w drobnych bieżących sprawach życia codziennego, a więc związanych np. z zakupami żywności czy niewielkimi wydatkami. Na podstawie projektowanych przepisów osoba pozostająca pod władzą rodzicielską albo opieką, niemająca pełnej zdolności do czynności prawnych, będzie miała zdolność do podejmowania czynności w postępowaniu dotyczącym jej osoby w sprawie z obszaru działalności gospodarczej, chyba że sąd opiekuńczy postanowi inaczej.

Zezwolenie na podjęcie lub wykonywanie działalności gospodarczej będzie mogło być wydane, o ile nie sprzeciwia się to dobru małoletniego oraz stopień rozwoju umysłowego, a jego stan zdrowia i stopień dojrzałości będzie pozwalał na wykonanie działalności osobiście.

Młodzi przedsiębiorcy nie będą podlegać obowiązkowi uiszczania składek na ubezpieczenie społeczne.

Prowadzenie działalności gospodarczej przez osoby niepełnoletnie może być nie tylko źródłem dochodu, lecz także cennym doświadczeniem. Ważne jednak, by nie zaniedbywali swoich obowiązków szkolnych. Wielu młodym ludziom imponują np. często doskonale zarabiający influencerzy modowi bardziej niż perspektywa żmudnej nauki. Warto nie zapominać, że w dobie postępu technologicznego konkurencyjne na rynku pracy i w biznesie będą przede wszystkim osoby legitymujące się wysokimi kwalifikacjami w zaawansowanych technologiach i przedstawiciele zawodów wymagających ugruntowanej wiedzy. W Niemczech jednym z wyszczególnionych warunków prowadzenia działalności gospodarczej przez osoby niepełnoletnie jest właśnie niezaniedbywanie obowiązków szkolnych. Młody przedsiębiorca musi regularnie uczęszczać do szkoły i nie może prowadzić działalności gospodarczej w sposób, który negatywnie wpływa na jego obowiązki szkolne. Podobnie jest w Korei Południowej, ustawodawca kładzie tam szczególny nacisk, by niepełnoletni przedsiębiorcy kontynuowali edukację i spełniali obowiązki szkolne zgodnie z obowiązującymi przepisami prawa.

REKLAMA

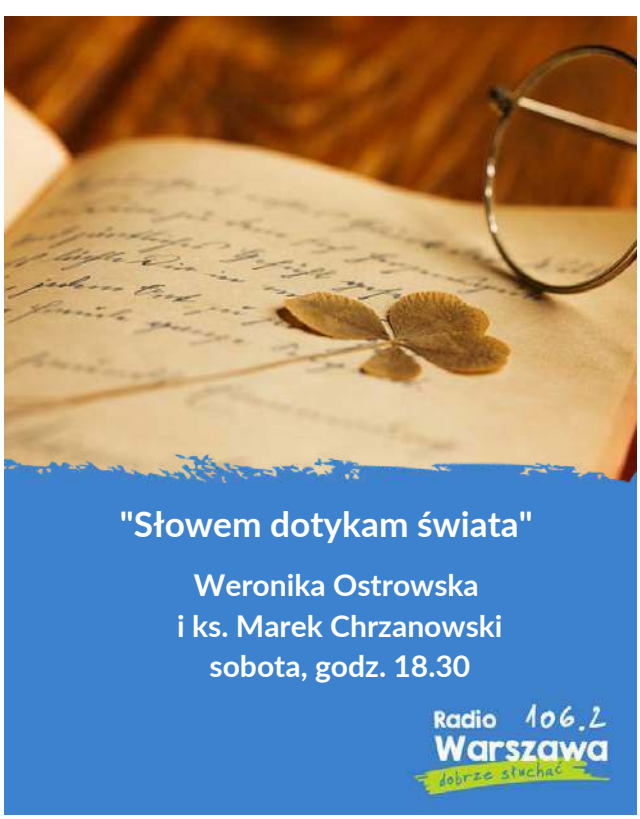

46/0423/F

eprasa.pl 70b088b833

Mądre wydawanie pieniędzy i szczere wyznanie Grasia

Samuel Pereira

Do historii przejdzie krakowski występ Donalda Tuska, który chciał zacytować własną obietnicę z poprzedniego dnia i nie był pewny, jaką kwotę wolną od podatku obiecał. I wiek przewodniczącego Platformy Obywatelskiej nie jest tutaj wytłumaczeniem, ponieważ zwyczajnie Tusk chciał rzucić jakąś dużą liczbą, to rzucił, a czy to było 50, 60, czy 70 tys. zł, to dla niego w walce o władzę dla władzy rzecz drugorzędna.

Są jednak chwile, że lider PO mówi szczerze, a przynajmniej sprawia takie wrażenie. Tak było w 2019 r., gdy jako suty kot z Brukseli przyleciał do Polski, rozsiadł się na kanapie w studiu „Dzień Dobry TVN", a Kinga Rusin spytała go, czy nie żałuje, że to nie on wprowadził program 500+. Polityk zamyślił się i odpowiedział: „To też jest przywilej człowieka – mówię o sobie w tej chwili – który woli mówić naprawdę, jak jest, i naprawdę to, co myśli, bo nie kandyduje. Polityka... Nie, ja nie żałuję, że nie wprowadziłem 500+. Ja bardzo dokładnie liczyłem – znaczy mówię o moim rządzie – na co Polskę stać, a na co Polskę nie stać". Później dodał, że trzeba mądrzej wydawać pieniądze.

Jak konkretnie to mądre wydawanie pieniędzy wyglądało wtedy, najlepiej podsumował w szczerej – bo prywatnej – rozmowie w restauracji Paweł Graś, przyznając, że w czasie ich rządów kradzież podatków opłaca się bardziej niż produkcja narkotyków. Tak to widział ówczesny rzecznik rządu, a jego szef Donald Tusk drwił sobie z sytuacji w państwowym skarbcu, pytając z uśmiechem: „Gdzie są zakopane miliardy?". Najwidoczniej się odkopały, bo dziś sam wszystko obiecuje, jak leci, nawet chce zmieniać budżet polskiego państwa w połowie roku, a inflacja już mu nie przeszkadza.

Można powiedzieć, że nikt Polakom tyle nie da, co Tusk obieca, lub po prostu zacytować jego kumpli Jacka Rostowskiego i Radosława Sikorskiego, którzy żartowali sobie, że „dwa razy obiecać, to jak raz dotrzymać", a w ogóle to „obietnice polityczne wiążą tylko tych, co w nie wierzą".

Autor jest dyrektorem TVP Info

Więcej niż gra

***Jan Englert** aktor, reżyser, dyrektor artystyczny Teatru Narodowego*

Z okazji 80. urodzin (które świętował 11 maja) Stowarzyszenie Filmowców Polskich i Studio Munka zorganizowały uroczyste spotkanie w warszawskim kinie Kultura. Szanowny jubilat nie tylko wspominał i podsumowywał na nim swoje dokonania, lecz także poinformował o najnowszej roli, w której wystąpi.

Po podziękowaniu gościom za przybycie stwierdził:

– Bardzo nie lubię jubileuszy. Imprez, podczas których kogoś się „buduje" tylko dlatego, że np. przeżył 80 lat. Nie moja w tym zasługa, że Pan Bóg jest dla mnie łaskaw. Lakier i blacha jeszcze w porządku, ale z rurą wydechową już gorzej... – żartował.

O doświadczeniach przed kamerą mówił:

– Niedawno byłem podsumowany liczbami: licząc razem z serialami, ale bez Teatru Telewizji, zagrałem sto kilkadziesiąt ról. Spory dorobek, ale wybrałbym z tego może 10 filmów.

Role w „Kanale", „Kolumbach" i „Katyniu" nazwał czymś więcej niż grą:

– Uważam je za swego rodzaju powinność, a jednocześnie nagrodę. Mogłem dzięki tym filmom uczestniczyć w historii, na której się wychowałem.

Dlaczego nie dotarł do Smoleńska:

– Miałem lecieć z prezydentem Lechem Kaczyńskim, ale drażniło mnie, że są dwie delegacje, że przy tak ważnej sprawie dzielimy się na pół. Kiedy przyszedłem do teatru, witał mnie szpaler kolegów, którym się wydawało, że wróciłem z tamtego świata.

O najnowszym projekcie (pełnometrażowym debiucie fabularnym reżyserki Dominiki Montean-Pańków pt. „Skrzyżowanie"):

– Po wielu latach zacząłem zdjęcia do filmu, w którym prawie nie schodzę z ekranu, w roli napisanej dla mnie. Mam wielką frajdę i przyjemność, że zdążyłem jeszcze raz stanąć przed kamerą i coś od siebie powiedzieć.

*Zebrała **Jolanta Gajda-Zadworna***

Fot. Podlewski/AKPA

eprasa.pl 70b088b833

Rysują ***Mr Donk & dr Fish***

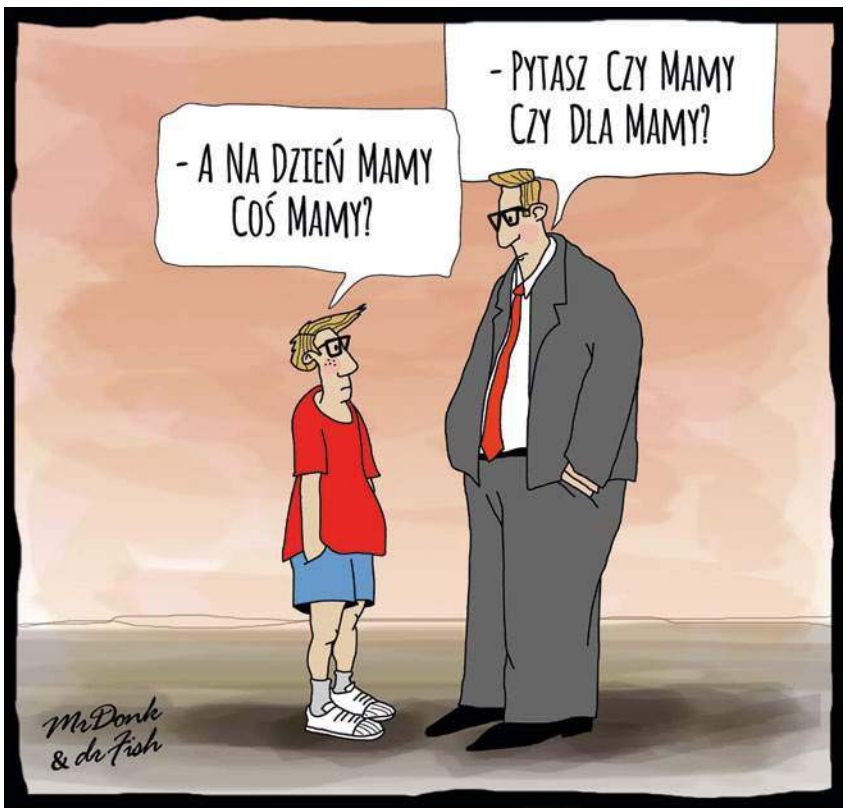

SIECI

ISSN 2544-2694

www.wSIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 616 36 00, (22) 255 93 32; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: ŁUKASZ ADAMSKI, GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWIŃSKI, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, CEZARY KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, JAROMIR KWIATKOWSKI, JAKUB MACIEJEWSKI, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT, MARZENA NYKIEL, SAMUEL PEREIRA, JAN PIETRZAK, JAN POSPIESZALSKI, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, WOJCIECH STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIETLIK, ROBERT TEKIELI, MACIEJ WALASZCZYK, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO

PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCIKOWSKA, MARIOLA.BARCIKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY: MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK), ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL, LIDIA SŁOWIKOWSKA-SMOLIŃSKA, KATARZYNA LASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL,
OBRÓBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00 (GODZ. 9.00 – 17.00), (22) 255 93 32
PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.WSIECIPRAWDY.PL

WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL.

EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL: PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH" POD NUMERAMI: 22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE W GODZINACH 7^{00} – 17^{00}.
KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93
PAULINA KĄKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DABROWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT. NA OKŁADCE: ZBYSZEK KACZMAREK/REPORTER, PAP/LESZEK SZYMAŃSKI, ANDRZEJ WIKTOR, INPLUS/EAST NEWS, SHUTTERSTOCK/ DROP OF LIGHT, TOMASZ WARSZEWSKI, ANDAGRAF, STANDRET

pracownia **Social Changes** dla **wPolityce.pl**

nasz **sondaż**

Na które ugrupowanie polityczne oddałaby Pani/ oddałby Pan głos, gdyby wybory do polskiego parlamentu odbywały się w najbliższą niedzielę? (bez niezdecydowanych)

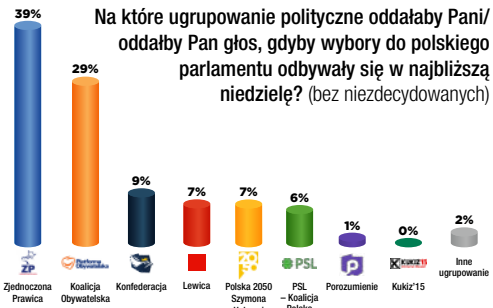

A gdyby Polska 2050 startowała razem z PSL, to na które ugrupowanie zagłosowałaby Pani/zagłosowałby Pan w wyborach parlamentarnych w najbliższą niedzielę? (bez niezdecydowanych)

Jak Pani/Pana zdaniem należy określać sprawców II wojny światowej, którzy 1 września 1939 r. napadli na Polskę?

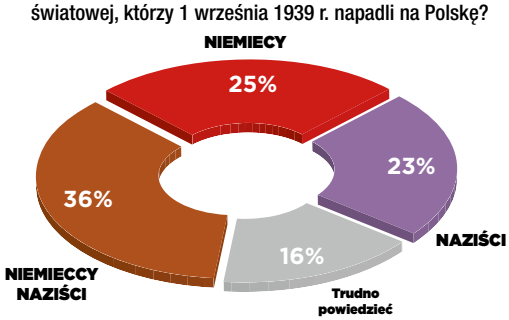

Czy Polska powinna stanowczo sprzeciwiać się propozycji kanclerza Niemiec Olafa Scholza, który proponuje zniesienie prawa weta przysługującego obecnie państwom członkowskim Unii Europejskiej w obszarze polityki zagranicznej i podatkowej?

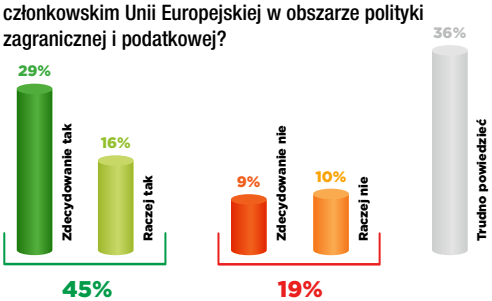

Badania zrealizowane metodą CAWI (Computer Assisted Web Interview) na panelu internetowym. Badania przeprowadzone na ogólnopolskiej, reprezentatywnej (pod względem: płci, wieku, wielkości miejsca zamieszkania) próbie Polaków. W badaniu wzięło udział N=1039.

Zakres czasowy badania 12–15 maja 2023 r.

eprasa.pl 70b088b833

Platforma bogaczy

Partia Donalda Tuska właśnie pokazała, że nie ma pomysłu na polepszenie statusu Polaków, woli więc stawiać na emocje i szkalujące rząd hasła. Czy uda im się wypaczyć rzeczywistość i wygrać wybory? Z pomocą PO ruszył wielki, prywatny biznes. Sypią się miliony, byle tylko odsunąć PiS od władzy

MAREK PYZA MARCIN WIKŁO

Przecież ludzie widzą, że jest drożyzna w Polsce i o tym mówią. A przypięcie inflacji w całości do PiS to jest politycznie zgrabny zabieg – mówi nam jeden z ważnych polityków opozycji (nie z PO). – Oczywiście, że nie do końca uczciwy, ale zgrabny. Politycznie to może być dobra inwestycja – dodaje i odchodzi z szerokim uśmiechem.

Początkowo nie było nawet jasne, czy to rzeczywiście Platforma Obywatelska stoi za tą kampanią, bo billboardy nie były w żaden sposób sygnowane. Charakterystyczne plakaty „PiS = drożyzna", którymi partia Tuska zalała cały kraj, to był przekaz najprostszy z możliwych. To prawda, że nawet nieocierający się o prawdę, bo nawet amatorzy w dziedzinie ekonomii wiedzą, że wysokie

Fot. Tomasz Gzell/PAP, Shutterstock

eprasa.pl 70b088b833

ceny i inflacja to następstwo załamania gospodarki po pandemii, a potem skutek rosyjskiego najazdu na Ukrainę. Ale w polityce, a szczególnie w roku wyborczym, bardzo ważne są emocje. No i końcowy sukces. Politycy PO próbują więc faulować, byle wygrać. Konieczne są do tego pieniądze i to duże.

PO PROŚBIE

Partie polityczne mają na swoją działalność państwowe subwencje. W przypadku PO to aż 20 mln zł rocznie. A jednak 17 marca br. podczas spotkania w Bytomiu Donald Tusk mówił o pustej kasie. Widocznie ogólnopolska kampania billboardowa mocno nadszarpnęła finanse partii. „Na koniec nie pozostanie nic innego, jak poprosić tych wszystkich, którzy mogą dać 10, 20, czy 50 zł i wesprzeć kampanię" – zaapelował były premier. I ruszyła lawina.

– Mamy blisko 3 mln zł wpłacone na konto partii, złożyło się na to ok. 8 tys. naszych sympatyków – z satysfakcją mówił nam w ubiegłym tygodniu Jan Grabiec, skarbnik PO. To największa w historii polskiej polityki kwota zebrana przez partię w tak krótkim czasie (dwóch miesięcy). Wpłat poniżej 10 tys. zł nie trzeba ujmować w rejestrze, zatem zdecydowana większość darczyńców pozostanie anonimowa, ale jest też poszerzające się grono osób, które chcą ofiarować PO o wiele większe kwoty (limit w br. wynosi 52 350 zł od osoby). Bogacze widocznie pokładają swoje nadzieje w Donaldzie Tusku.

Pierwszymi, których PO wykazała w rejestrze wpłat na partię, byli Arkadiusz Muś (wpłacił maksymalną dopuszczalną kwotę), biznesmen spod Częstochowy, i jego córka Maria Muś (wpłaciła 50 tys. zł). Właściciel firmy Press Glass nie ukrywał, że jego zaangażowanie w politykę nie było przypadkowe: „Chciałem dać przykład innym przedsiębiorcom, że sprawa wyborów wymaga zaangażowania. Moje poglądy są proeuropejskie, wolnościowe. Oceniam, że w tej chwili to akurat Platforma Obywatelska i Donald Tusk mają pewną sprawczość w relacjach z Unią Europejską" – mówił w rozmowie z WP.

Firma Musia to obecnie potentat w branży okiennej, ma rozległe kontakty. Być może wystarczyło więc, że prezes zadzwonił po znajomych i posypały się kolejne wpłaty. W rejestrze PO jest także Janusz Jankowiak, szef firmy Q4Glass (także branża okienna) – wpłata 52 350 zł. Najwyższej możliwej donacji dokonali też m.in. Mariusz Gawron (prezes Hossa SA – deweloper), a także założyciele firmy CD Projekt (wydawcy gier komputerowych, m.in. przebojowego Wiedźmina), Marcin Iwiński z rodziną (w sumie cztery osoby) i Adam Kiciński z żoną. Rodzinna wpłata popłynęła również od Krzysztofa Oleksowicza (założyciela i byłego prezesa Inter Cars) oraz jego żony Wandy (po 52 350 zł). Maksymalną kwotę wpłacił Jerzy Szulist, przedsiębiorca budowlany z Gdyni, a Roman Karkosik – inwestor giełdowy i sponsor toruńskiej drużyny żużlowej, który dotychczas unikał rozgłosu – przelał na konto PO 52 tys. zł.

Pierwszymi, których PO wykazała w rejestrze wpłat na partię, byli Arkadiusz Muś (wpłacił maksymalną dopuszczalną kwotę), biznesmen spod Częstochowy, i jego córka Maria Muś (wpłaciła 50 tys. zł).

LIDER WPŁAT

Kim jest Arkadiusz Muś, po którego sygnale popłynęła szerokim strumieniem kasa na partyjne konto Donalda Tuska? Jego biznesowe oblicze jest znane, firma Press Glass jest jedną z czterech wiodących marek na rynku szyb zespolonych na świecie. Ma 15 fabryk: pięć w Polsce, sześć w Wielkiej Brytanii, dwa zakłady w USA, po jednym na Litwie i w Chorwacji. Jak wspominają osoby, które znają go od lat, nigdy nie stronił od polityki, choć zazwyczaj poruszał się na jej marginesie. W latach 1995–2000 należał do Ruchu Stu, zaangażował się w prezydencką kampanię wyborczą Andrzeja Olechowskiego.

– Był zawsze skrajnie antypisowski. Pamiętam rozmowę sprzed lat, gdy w Sejmie V kadencji (2005–2007) zaczynała pracę komisja śledcza ds. banków i nadzoru bankowego. Muś chodził wściekły i opowiadał, jak bardzo jest wkurzony, bo „taki chłystek i prostak jak Artur Zawisza śmiał wezwać i przesłuchiwać pana prof. Balcerowicza". Ulewała się z niego żółć i potworna nienawiść do środowiska Jarosława Kaczyńskiego, chociaż to właśnie ci działacze próbowali mu pomóc, gdy miał spór z prezydentem Częstochowy, a jego biznes był w zasadzie wypychany z miasta – opowiada nam jeden ze śląskich polityków.

Muś z ulgą przyjął skrócenie kadencji w 2007 r. i późniejsze zwycięstwo Tuska. Ta partyjna sympatia trwa, biznesmen konsekwentnie pomaga w przedsięwzięciach, które firmują politycy obecnej opozycji: wspierał Komitet Obrony Demokracji, wspomógł organizację Campusu Rafała Trzaskowskiego (za pośrednictwem założonej przez siebie liberalnej Fundacji Wolności Gospodarczej), a od 2020 r. jest członkiem zespołu doradców ds. gospodarczych przy marszałku Senatu RP Tomaszu Grodzkim.

„W moim geście nie ma nastawienia anty-PiS. Uważam, że po dwóch kadencjach rządów Zjednoczonej Prawicy Polsce należy się odnowa. Po pewnym czasie każda władza się dewaluuje i dla przejrzystości życia publicznego lepiej jest ją zmienić" – wyjaśniał Muś, próbując dystansować się od bieżącego sporu politycznego. Wpłacone wraz z córką na cel polityczny ponad 100 tys. zł może nie być dla nich bardzo odczuwalne, bowiem według zestawienia „Forbesa" majątek Musia wart jest ponad 4,5 mld zł. Patrząc nieco szerzej, wspomniany ranking to element łączący niemal wszystkich wpłacających znaczne kwoty na konto partii Tuska.

eprasa.pl 70b088b833

ASPIRACJE BIZNESU

Miesięcznik „Forbes" jest wydawany – podobnie jak m.in. tygodnik „Newsweek" czy portal Onet – przez Ringier Axel Springer Polska. I linię polityczną ma dokładnie taką samą, konsekwentnie antypisowską. Dorocznym wydarzeniem jest publikowany zawsze wiosną ranking 100 najbogatszych Polaków, obecność na liście to oczywista nobilitacja. W towarzystwie nieco mniej zamożnym, które można nazwać aspirującym, w dobrym tonie jest zestawienie komentować i się nim emocjonować – tworzy się swego rodzaju społeczność ludzi podobnie myślących i zmierzających w jednym kierunku, na szczyt. Przy okazji krajowy establishment biznesowy chłonie treści, które serwuje „Forbes". Z jednej strony to blask światowego blichtru, piękne rezydencje, ekskluzywne samochody, opis nowatorskich przedsięwzięć, czyli model świata elitarnego, który mają przecież w zasięgu reki. A z drugiej – pełne pretensji do obecnej władzy opinie nasycone pogardą do biedniejszych, którym państwo rozdaje pieniądze. To jest coś, co ma wkurzać i dzielić. I tak się dzieje.

Wystarczy przejrzeć tylko kilka stron magazynu, by spomiędzy drogich reklam wyskoczyła na czytelnika nachalna polityczna propaganda. „Ekonomiści o 800+. Najgorszy moment na takie decyzje". I w formie zarzutu passus o tym, że „program rozdawania pieniędzy sprawia, że zwiększają się dochody rodzin o najniższych zarobkach". Biedniejsi się nieco wzbogacą, a to dla biznesowej elity trudne do zniesienia. Mechanizm dokładnie taki sam, jaki obserwowaliśmy, gdy w 2015 r. ogłaszano start programu Rodzina 500+. Wtedy też uwierało ich, że w wakacje na plażach pojawiają się mniej zamożni Polacy.

O kolejnej propozycji PiS, czyli darmowych lekach dla szerszej niż dotychczas grupy, czytamy, że to w sumie dobry pomysł, bo „może to przyczynić się do ogólnej poprawy zdrowia społeczeństwa i obniżenia kosztów leczenia w dłuższej perspektywie, a dobre zdrowie populacji może też wpływać na wydajność gospodarki". Puenta jednak musi być przeciwna: „Darmowe leki mogą jednak prowadzić do zwiększonego ich zużycia [...]. To z kolei może prowadzić do większego zużycia zasobów medycznych, nadużywania leków lub nadmiernej zależności od farmakoterapii, co może generować niepotrzebne koszty dla systemu opieki zdrowotnej".

I tak po kolei. Każda aktywność rządowa może być niby dobra, ale dziennikarze „Forbesa" potrafią obrócić rzeczywistość o 180 st. Redaktor naczelny pisze o polskich realiach w słowie wstępnym, że „biznes naprawdę zaczyna tracić nerwy, chociaż robi to z klasą. Jeszcze nie pada wprost deklaracja: »w tych warunkach tutaj już nie warto«, ale łatwo ją dostrzec między wierszami. [...] Przedsiębiorcy są naprawdę przytłoczeni liczbą patologii i zaniechań na wszystkich poziomach, a przecież w depresji trudno jest robić rozsądny biznes".

Wróćmy jeszcze do Arkadiusza Musia. W 2015 r. po pierwszej turze wyborów prezydenckich mówił w portalu Tomasza Lisa: „Jestem zdruzgotany tym, co się wydarzyło, bo ostatnie kilka lat poświęciłem na walkę z populizmem. Ponad 50 proc. dla Dudy i Kukiza to jakiś absurd, najczarniejszy koszmar. Będę jednak musiał pomyśleć nad uzasadnieniem pozostania tutaj". Jednak został. We wspomnianym rankingu „Forbesa" znajdujemy wykres, który pokazuje zmianę wartości majątku Musia od 2017 r. Fortuna ciągle rośnie: 2017 – 1,6 mld; 2018 – 2 mld; 2019 – 2,3 mld. 2020 r. to lekki spadek – 2,1 mld. Potem już ostro do góry, 2021 – 2,8 mld; 2022 – 4,3 mld; wreszcie 2023 r. – 4,5 mld i dziewiąte miejsce w rankingu. Gołym okiem widać, że biznesmen nie powinien narzekać na czasy z PiS u władzy. A jednak narzeka, chce zmiany i namawia do tego innych.

Wie, że kontynuacja rządów Zjednoczonej Prawicy to dalsze wzmacnianie najsłabszych według zasad solidaryzmu społecznego, a więc np. przy dalszym uszczelnianiu i reformowaniu systemu podatkowego – większe obciążenia dla najbogatszych.

> Oczekiwaną przez Musia i jemu podobnych zmianę władzy ma dać najprostszy zabieg – przekonanie wyborców, że wyłącznie partia rządząca odpowiada za drożyznę. Choć to przecież nieprawda

Arkadiusz Muś

Fot. Grzegorz Michałowski/PAP

eprasa.pl 70b088b833

Fot. Andrzej Wiktor

POLACY SWOJE WIEDZĄ

Oczekiwaną przez Musia i jemu podobnych zmianę ma dać najprostszy zabieg – przekonanie wyborców, że wyłącznie partia rządząca odpowiada za drożyznę. Choć to przecież nieprawda.

– Na początku trochę się wystraszyłem tej ich kampanii, bo wreszcie wpadli na coś niesztampowego i potencjalnie skutecznego – mówi nam jeden ze sztabowców Prawa i Sprawiedliwości. Opowiada o prowadzonych na zlecenie obozu władzy badaniach, które wskazują, iż Polaków najbardziej niepokoją rosnące ceny. – Im z focusów musiało wyjść to samo. W naszych okazało się, że aż 84 proc. badanych obawia się inflacji (55 proc. – bardzo, a 29 proc. – raczej). Kolejne miejsca na liście lęków zajmują: brak należytej opieki zdrowotnej (w sumie 74 proc. wskazań) i patologia w wymiarze sprawiedliwości (72 proc.). Mogli więc w nas uderzyć wyłącznie inflacją i dlatego cały ten wysiłek Tuska oraz zaangażowane miliony złotych w jeden tylko temat.

Jednocześnie nasz rozmówca cieszy się, że PR-owcy Platformy zaspali. – Zaczęli za późno. Gdyby wystartowali w grudniu, byłoby po nas. A że ruszyli kilka miesięcy później, to tak się złożyło, że dokładnie w dniu startu ich kampanii pojawiła się pierwsza informacja o spadku inflacji. Chcieli game changera, ale im nie wyszło.

Dopytujemy o skuteczność przekazu PO – czy ludzie uwierzą, że za drożyznę odpowiada PiS? – To mało prawdopodobne. Drobiazgowo przebadaliśmy nastroje społeczne. Pytaliśmy ludzi zarówno w dużych miastach, jak i na prowincji, jak tłumaczą sobie rosnące ceny. We wszystkich ośrodkach malował się ten sam obraz. Na pierwszym miejscu wymieniany jest Putin i rosyjska inwazja na Ukrainę, dalej: rosnące z powodu wojny ceny paliw, później pandemia. Rząd pojawia się zdecydowanie rzadziej i tylko w przypadku, gdy można go połączyć w tej sprawie z prezesem NBP i Orlenem. Widać więc, że jakiś skutek przynosi długotrwała kampania wymierzona personalnie w Adama Glapińskiego i Daniela Obajtka. Ale ankietowani wymieniają też np. spekulantów cenowych. Rozumieją, że wiele podmiotów sztucznie podnosi ceny, wykorzystując inflację jako pretekst.

> Gdyby wystartowali w grudniu, byłoby po nas. A że ruszyli kilka miesięcy później, to tak się złożyło, że dokładnie w dniu startu ich kampanii pojawiła się pierwsza informacja o spadku inflacji. Chcieli game changera, ale im nie wyszło – mówi jeden ze sztabowców PiS

Ciekawe odpowiedzi przynosi pytanie o ocenę działań rządu wobec drożyzny. – Badani uznają je za niewystarczające, choć przytakują, że są zauważalne. Najlepsze pojawia się, gdy dopytujemy, czy inflacja się skończy, jeśli się zmieni władza. Nie znalazła się ani jedna osoba, która w to wierzy. W dodatku niekorzystnie dla PO wypadają odpowiedzi na pytanie, czego Polacy najbardziej obawiają się po ewentualnym zwycięstwie partii Tuska. Na czele listy są: wyprzedaż majątku narodowego, podniesienie wieku emerytalnego, donoszenie na Polskę do Brukseli, ataki na Jana Pawła II, likwidacja programów społecznych, a nawet kwestia niemiecka. Umiarkowana część elektoratu PO obawia się, że Platforma oznacza uzależnienie naszego kraju od Niemiec.

Rozmawiamy jeszcze przed konwencją PiS, na której Jarosław Kaczyński zapowiedział waloryzację 500+ do kwoty 800 zł miesięcznie. Jak się okazuje, dosłownie na kilka dni przed tym wydarzeniem w obozie władzy nie było jeszcze decyzji w tej sprawie. Dużo bardziej prawdopodobne było wprowadzenie 13. i 14. świadczenia, podobnie do emerytur. – Donald Tusk, wchodząc w zapowiedzi pakietów socjalnych (np. „babciowe"), zbagatelizował fakt, że jego elektorat w ten sposób straci jeden ze swoich najważniejszych argumentów, bo Platforma miała skończyć z „rozdawnictwem". Wobec tego my możemy rozszerzyć nasze programy. Badania pokazują, że dla kluczowego w naszym przypadku elektoratu centrowego obojętne jest, kto da mu pieniądze, lecz PiS jawi się jako wiarygodny w tej kwestii. A socjalny Tusk jest odbierany jako udający kogoś kim, nie jest. Uznał jednak, że jego wyborcy się nie zniechęcą, bo dla niego nie ma alternatywy.

Czy tak jest faktycznie? Z badań ma wynikać, że aż 53 proc. elektoratu PiS jest na 100 proc. przekonanych, że mają „swoją" partię. Wśród wyborców Platformy takie przekonanie ma ledwie 21 proc. badanych.

eprasa.pl 70b088b833

Pytamy w sztabie Prawa i Sprawiedliwości o kwestię, która do niedawna była tematem numer jeden na opozycji – wspólną listę wyborczą. Czy w formacji Kaczyńskiego jej brak przyjęto z ulgą? – Oczywiście. Wszystkie nasze badania pokazują, że opozycja jest w stanie wygrać wyłącznie wtedy, gdy się dogada i stworzy jedną listę. W każdym innym scenariuszu przegrywają. A jednej listy nie zlepią, bo to może się okazać zabójcze dla małych partii. One wolą przetrwać, niż oddać życie za odsunięcie nas od władzy.

JAK W USA

Platforma zostawia więc już za sobą apele o porozumienie na opozycji i gra tylko na siebie. Najprostszymi metodami i najbardziej zuchwałymi. Kilka tygodni temu na przykładzie jednego spotkania w Żywcu dowiedliśmy, jak szeroko Donald Tusk stosuje kłamstwo w swojej kampanii. Na fałszu jest też oparta główna część ofensywy PO, czyli wmówienie Polakom, że PiS = drożyzna.

„Chcemy pokazać, jakie są związki PiS z inflacją, która jest jedną z najwyższych w Europie" – mówił w grudniu 2021 r. rzecznik Platformy Jan Grabiec. Ale przez kolejne długie miesiące PO wcale nie chciała tego pokazać. Konsekwentnie pomijała podstawowe czynniki wpływające na wzrost cen, a skupiła się na wdrukowaniu Polakom do głów prostej zbitki: PiS to drożyzna. Wymyślono to właśnie w 2021 r. (pierwotnie posłowie Platformy utworzyli na sejmowej sali kartoniadę z tym hasłem, przypominającą kibicowskie oprawy stadionowe). Wtedy nie poskutkowało (sondaże nie drgnęły), więc teraz postanowiono zrobić to samo, tylko bardziej. Stąd zalanie w ostatnich tygodniach polskich miast i miasteczek billboardami zawierającymi nic więcej poza partyjnym sloganem.

Cel – Polacy mają się nie zastanawiać, skąd rosnące ceny, ale kojarzyć je wyłącznie z polityką obozu rządzącego.

W ub.r. tą metodą amerykańscy republikanie próbowali odzyskać większość w Kongresie. Ich kampania była bliźniacza. Winą za inflację obarczali Joe Bidena i politykę demokratów. Sieć zalewały grafiki pokazujące, o ile zdrożały różnorakie produkty, a zdobił je wizerunek uśmiechniętego prezydenta z hasłem „I did that!" (Ja tego dokonałem!). Powszechnie używano też zwrotu „inflacja Bidena".

Jak to opisywały polskie lewicowo-liberalne media, które pomagają Platformie upowszechniać jej przekaz uderzający w PiS? W przypadku Stanów Zjednoczonych potrafiły odróżnić prawdę od tanich politycznych sztuczek i zwracały uwagę, że drożyzna w USA ma źródło gdzie indziej niż w Waszyngtonie. OKO.press 6 listopada wskazywał: „Warto zauważyć, że te problemy nie zależą tylko od Bidena. Ceny energii poszybowały przez rosyjską inwazję na Ukrainę i europejskie poszukiwania alternatywy wobec rosyjskich dostaw gazu".

> W ub.r. tą metodą amerykańscy republikanie próbowali odzyskać większość w Kongresie. Ich kampania była bliźniacza do tej PO. Winą za inflację obarczali Joe Bidena i politykę demokratów

„Gazeta Wyborcza" dzień wcześniej wydrukowała alfabet amerykańskiej kampanii. Pod literą „E" czytelnicy poznali hasło „ekonomia": „Stan portfela jest najistotniejszą kwestią dla Amerykanów w tych wyborach. Aborcja i inne tematy tracą na znaczeniu, gdy inflacja dobija do 9 proc. W ostatnim roku rosła najszybciej od ponad 40 lat. Przyczyny są globalne: wzrost cen surowców i produktów rolnych spowodowany m.in. wojną w Ukrainie; oraz wewnętrzne: wysoki popyt napędzany przez bezpośrednie wypłaty pomocowe dla gospodarstw domowych w czasie pandemii". I tyle. Żadnych złych decyzji Bidena, żadnych błędów amerykańskiego banku centralnego. Tylko obiektywne, globalne przyczyny. A u nas? Wiadomo: Morawiecki, Kaczyński, Glapiński... I tak w kółko.

Republikanie boleśnie się przekonali, że inflacja nie rozstrzyga wszystkiego. O ile bowiem odzyskali większość (nieznaczną) w Izbie Reprezentantów, to Senatu wbrew sondażom nie odwojowali.

TAJEMNICA PLATFORMY

PO wierzy, że jej kampania będzie skuteczniejsza od amerykańskiej. I stawia wszystko na jedną kartę. Warszawa, Jaworzno, Gryfino, Szczecinek, Rzeszów, Pułtusk, Inowrocław, Lubartów, Jarocin, Konin, Kartuzy, Bolesławiec, Krosno, Gdynia, Stalowa Wola, Gostyń – w każdym województwie, w dużych miastach i małych miasteczkach, na drogach międzymiastowych, przystankach komunikacji miejskiej, słupach ogłoszeniowych, autobusach rzucały się w oczy plakaty z hasłem „PiS = drożyzna". Zaczęły się pojawiać pod koniec marca, akurat przed czasem wielkanocnych zakupów.

Platforma się pod nimi nie podpisała, bo nie musiała. Poza kampanią wyborczą nie ma takiego obowiązku – informuje nas Państwowa Komisja Wyborcza. Jednocześnie PKW przypomina, że jesteśmy w tzw. czasie prekampanii, którego precyzyjnego opisu brakuje w polskim prawie, ale nie znaczy to, że Komisja ignoruje partyjną aktywność. W przesłanym nam oświadczeniu czytamy: „Podejmowanie przez podmioty lub osoby, także te, które zamierzają uczestniczyć w zbliżających się, lecz jeszcze niezarządzonych wyborach, takich działań, które noszą cechy kampanii wyborczej, jest niezgodne z przepisami prawa wyborczego. Podmioty te powinny zatem przed zarządzeniem wyborów powstrzymać się od takich działań".

Obraz akcji billboardowej zaciemniała sama PO takimi wpisami jak ten na Twitterze zamieszczony 20 kwietnia przez profil warmińsko-mazurskiego regionu partii. Zdjęcie plakatu opatrzono komentarzem: „W Tolkmicku wiedzą, kto jest odpowiedzialny za drożyznę!". Można go zrozumieć tak, że billboard

Reklama | 26/0523/F

eprasa.pl 70b088b833

wywiesił jakiś zwykły mieszkaniec miasteczka nad Zalewem Wiślanym.

Nie pomagały też lokalne media. „Kartuzy. Drożyzna krzyczy nawet z banerów na ulicach" – donosił „Express Kaszubski". „Na ulicach Lwówka Śląskiego pojawił się baner z hasłem »PiS = drożyzna«. Tym samym stolica powiatu lwóweckiego dołączyła do ogólnopolskiej akcji" – czytaliśmy w serwisie lwowecki.info, gdzie co prawda poinformowano, że to przedsięwzięcie PO, ale zdefiniowano je jako „kampanię outdoorową mającą na celu zwrócenie uwagi na problem drożyzny w kraju".

Do biura Platformy Obywatelskiej wysłaliśmy wiele pytań (dotyczących m.in. liczby wykorzystanych nośników reklamowych czy dokładnych kosztów akcji) dziewięć dni przed zamknięciem tego numeru „Sieci". Odpowiedzi nie otrzymaliśmy, bo – jak wytłumaczył nam w ubiegłym tygodniu Jan Grabiec – nasz e-mail trafił do prawników, którzy pochylają się nad tym, czy interesujące nas kwestie stanowią informację publiczną i czy można je ujawnić.

Sam rzecznik (a jednocześnie skarbnik) PO nie potrafił podać nam szczegółowych informacji, ale zapewnił, że wszystko opisuje umowa zawarta przez Platformę Obywatelską ze spółką True Media Story. Chodzi o dokument z 20 marca, który w partyjnym rejestrze opiewa na kwotę niespełna 1,8 mln zł. Zawierać się mają w nim wszelkie wydatki – wynajęcie nośników, druk i rozklejenie plakatów, a także wynagrodzenie dla agencji.

Musimy więc przyjąć, że największa kampania reklamowa, jaką widzieliśmy w polskiej polityce w ostatnich latach, kosztowała jedynie niecałe 2 mln zł. Dlaczego „jedynie"? Bo przy takiej skali – rozsiania plakatów po absolutnie całej Polsce – to nieduże koszty, nawet uwzględniwszy potężne rabaty, jakie zwyczajowo przyznają firmy outdoorowe.

– Kilka miesięcy wcześniej przeprowadziliśmy kampanię billboardową o czterokrotnie mniejszym zasięgu niż ta Platformy. Kosztowała ponad 1 mln zł. Aż nie chce mi się wierzyć, że nasi konkurenci nie wydali na swoją co najmniej 4 mln – mówi nam jeden z doradców premiera.

Może Platforma znalazła lepszego kontrahenta, który wynegocjował jej jeszcze lepsze rabaty? True Media Story to spółka prowadzona przez Pawła Szkutę i Annę Gościniak, parę nie tylko w biznesie, lecz także w życiu prywatnym. Ich firmę śmiało można nazwać niewielką. Siedzibę mają w mieszkaniu na warszawskim Wilanowie, ale są tak skromni, że nie znajdziemy ani ich strony internetowej, ani nawet numeru telefonu. Nie dowiemy się więc np., jakie mają doświadczenie w branży i czy warto im powierzyć 2 mln zł na arcyważną akcję polityczną.

Dopóki PO nie zechce podać szczegółowych danych o swojej kampanii, trudno precyzyjnie oszacować jej rynkową wartość. Nie każdemu to oczywiście jest potrzebne. Są przecież tacy, dla których cena nie gra roli. Mają z czego, więc zapłacą. A potem to się jakoś wyrówna. Zasada wzajemności musi obowiązywać. Bogacze dla Platformy, Platforma dla bogaczy.

NAJWIĘKSZY Z RODU POLAKÓW!

Św. Jan Paweł II, zwany Wielkim, był dumnym Polakiem bez jakiegokolwiek kompleksu niższości wobec innych narodów. Takiego zachowania uczył też nas – zarówno głoszonym słowem, jak i własną postawą, którą prezentował, nie popadając przy tym w pychę czy pogardę wobec innych. Postawę swą zaś wykształcił w sobie i opierał na umiłowaniu Ojczyzny, na gruntownej wiedzy historycznej i oczywiście na głębokiej wierze w Boga i szacunku wobec bliźnich. Miejsce Polski – państwa i narodu – w Europie widział jako równoprawne pośród innych.

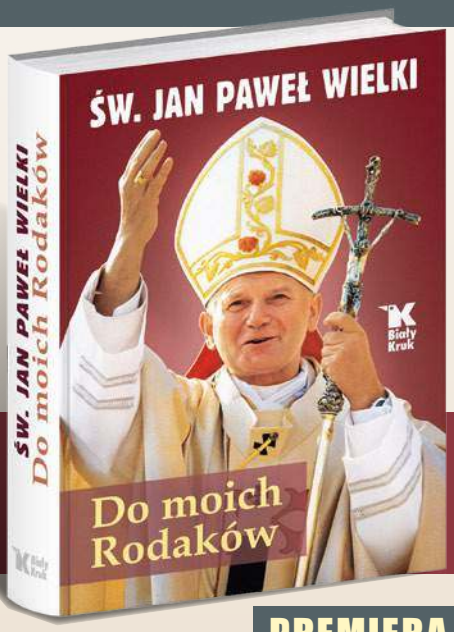

Dla czytelników tygodnika „Sieci" 35% taniej!
Wejdź na stronę bialykruk.pl
i wykorzystaj kod rabatowy SIECI35

ZAMÓWIENIA: Biały Kruk Sp. z o.o., ul. Szwedzka 38, 30-324 Kraków, tel.: 12/254 56 02, 12/254 56 04, 12/254 56 31, faks: 12/254 56 00, e-mail: dystrybucja@bialykruk.pl, www.bialykruk.pl
Przy zamówieniu na kwotę powyżej 200 zł koszty przesyłki (17 zł) ponosi wydawnictwo.

PREMIERA

174 zdjęcia, 448 str., 16,5 x 23,5 cm, twarda oprawa.

eprasa.pl 70b088b833

Możemy bez obaw spojrzeć ludziom w oczy

Słusznie Jarosław Kaczyński podczas wystąpienia na ostatniej konwencji po prostu machnął ręką na agresję Donalda Tuska. Niech zostanie sam z tą nienawiścią. Naszą odpowiedzią powinna być i będzie postawa odwrotna: skupienie na pozytywnym programie, duma z tego, co udało się zrobić, uczciwa rozmowa z Polakami

eprasa.pl 70b088b833

Marszałek Sejmu Elżbieta Witek podczas ubiegłotygodniowej wizyty na Cyprze odwiedziła wraz z przewodniczącą cypryjskiego parlamentu Annitą Demetriou (z lewej) przedszkole dla ukraińskich dzieci w miejscowości Pyli

Fot. Anna Strzyżak/Kancelaria Sejmu

Michał Karnowski rozmawia z marszałek Sejmu, polityk Prawa i Sprawiedliwości,
Elżbietą Witek

Pani marszałek, czy poznaliśmy już całą, pełną wyborczą propozycję PiS?

Elżbieta Witek: Nie, w miarę trwania kampanii będą odsłaniane kolejne elementy. W Polsce wciąż jest dużo do zrobienia. Działamy w sprawdzonym modelu: gdy zbliża się koniec kadencji, przedstawiamy Polakom na tysiącach spotkań sprawozdanie z tego, co zrobiliśmy, i pytamy, co dla nich jest najważniejsze teraz, co należy zmienić, poprawić, na czym mamy skupić się w kolejnych latach, jeżeli oczywiście nasz mandat zostanie przedłużony.

Tak mówią wszystkie partie.

Ale która poza naszą tak robi? Która jeszcze traktuje Polaków i ich potrzeby naprawdę poważnie, a własny program i zapowiedzi jako święte zobowiązania? To podczas rozmów z Polakami wybrzmiały postulaty waloryzacji, a *de facto* podniesienia świadczenia rodzinnego z 500 na 800 zł, zniesienia opłat za przejazdy autostradami i darmowe leki dla osób do 18. roku życia i powyżej 65. roku życia. Przypomnę, że już w 2016 r. rząd premier Beaty Szydło, który współtworzyłam, wdrożył darmowe leki dla seniorów powyżej 75. roku życia. Prezes Jarosław Kaczyński często nam przypomina, że to potrzeby, troski, oczekiwania Polaków są dla nas najważniejsze, a nie jakieś polityczne jatki, w które chce nas wciągnąć opozycja. Stąd ostatnia konwencja, ul programowy i przedstawione tam efekty naszych rozmów z Polakami i debat ekspertów.

Kłopot w tym, że oczekiwania i ambicje mogą być sprzeczne albo niemożliwe do zrealizowania.

Kto był na naszej ostatniej konwencji wie, jak działamy. Pierwszym etapem jest zebranie propozycji i postulatów, wśród których pojawia się np. to, że rodzina musi pozostawać w centrum uwagi państwa. Szczególną uwagę kierujemy też na seniorów, którzy przed naszymi rządami byli przez państwo niezauważani, a nawet ignorowani. To nie są łatwe czy lukrowane rozmowy. Krytykę, nawet ostrą, przyjmujemy z pokorą, wyciągamy wnioski. Mam na myśli oczywiście konstruktywną krytykę, czyli wymianę argumentów, dyskusję, a nie inwektywy i obelgi, które rzuca choćby Donald Tusk. Swoją drogą, każdy chyba już wie, gdzie jest ta uśmiechnięta, radosna, otwarta na innych Polska.

Co ma pani marszałek na myśli?

Porównajmy naszą konwencję ze spotkaniami Platformy, a także wystąpienie Jarosława Kaczyńskiego i Donalda Tuska. U nas życzliwość, szacunek dla każdego człowieka, skupienie na pozytywnym programie, ciężka praca i pokora. Tam budowanie na nienawiści z ponurym, posępnym, stojącym z zaciśniętymi pięściami Tuskiem, który napawa siebie i słuchaczy wizją zemsty, siłowego odwetu. Swoją drogą – za co? Za naprawę tak wielu spraw w Polsce przez niego zawalonych, zignorowanych? Ale nie damy się w to wciągnąć. Tusk obraża wszystkich Polaków, bo przecież wśród korzystających z tych programów, doceniających je są także jego wyborcy. Proszę zwrócić uwagę na reakcję sali, gdy mówił, że z programów społecznych korzystają chlejący, bijący żony, niepracujący. Wielkiego aplauzu nie było. Rozumieją, że tak naprawdę Tusk – sam emerytalny bogacz i krezus – szydzi i z nich. Także ich życie zmieniło się wskutek 500+, 300+, 13. i 14. emerytur, a dla niego to nieważne.

To wątek merytoryczny. Ale jest jeszcze kwestia konsekwencji ciągłego wprowadzania języka nienawiści do naszego życia publicznego. Bo co może nastąpić po tak pogardliwych słowach? Przemoc?

Szczególnie boli, że takim językiem posługuje się były premier, były ważny polityk Unii Europejskiej. Wiem, że czują się tym zażenowani także ludzie, którzy nas nie popierają. Często to słyszę osobiście, bo z racji funkcji mam przecież styczność z wieloma ludźmi także spoza grona naszych wyborców.

Dlaczego w pani ocenie Tusk zaostrza język?

Wszystko mu się sypie. Nie ma jednej listy, nie ma programu, za chwilę termin ogłoszenia wyborów i prawdziwej kampanii, a on nie ma dosłownie nic. Sądzę, że nim samym i jego zapleczem rządzą dziś dwie zasadnicze emocje: strachu i kompleksu. Strachu, że to wszystko zmierza do kolejnej porażki wyborczej i kompleksu niższości intelektualnej, bo okazuje się, iż po ośmiu latach w opozycji nadal nie mają Polakom nic do powiedzenia, nie przedstawili żadnego spójnego, przekonującego programu. Patrzymy na to i nie możemy uwierzyć. Pamiętam nasze lata w opozycji i to, jak nasz lider Jarosław Kaczyński organizował pracę, jak uruchomił wielki projekt intelektualnej refleksji nad Polską, kontynuując myśl państwową śp. prezydenta Lecha Kaczyńskiego. Wykorzystał ten czas fenomenalnie, to były spotkania z profesorami, socjologami, ekonomistami, przedstawicielami różnych branż, praca na danych, identyfikowanie problemów i szukanie na nie recepty.

Tusk ostatnio znowu powtórzył, że nie ma programu bardziej pozytywnego

eprasa.pl 70b088b833

niż „antypis". Może politycznie ma rację? To najszerszy wspólny mianownik opozycji, wszystko inne ją dzieli.

Nie ma racji. Po pierwsze, Polacy są mądrzejsi – ostatnie osiem lat, doświadczenie dotrzymania słowa przez Prawo i Sprawiedliwość podniosło poziom oczekiwań wobec partii politycznych. Po drugie, zza tej kotary „antypisizmu" i prób podczepiania się pod nasze działania wyziera widoczny dla wyborców prawdziwy program opozycji. Nigdzie nieopisany, ale przecież oczywisty, co chwilę wybijający w wypowiedziach polityków PO i ich ekspertów. Program likwidacji, wyprzedaży, zwijania państwa, cofnięcia programów społecznych.

Widoczne ostatnio próby podczepiania się przez Donalda Tuska pod działania PiS, zakładanie maski polityka wrażliwego społecznie nie są politycznie groźne dla pani formacji?

Każda manipulacja jest groźna, choć na naszą korzyść przemawia dotrzymywanie słowa, osiem lat realnych zmian na plus, skuteczne przeciwstawienie się kryzysom. Rodziny, seniorzy dostają dziś realne dodatkowe pieniądze, pracujący mają zagwarantowaną minimalną płacę godzinową i miesięczną. Każdy sam może zdecydować, co z tymi środkami zrobi. Wyda na dodatkowe zajęcia, pilne wydatki, odkłada na powiększenie mieszkania czy na przyszłość dziecka. Do tego wiele innych świadczeń oraz bardzo niskie podatki, powiększenie kwoty wolnej od podatku i podniesienie drugiego progu podatkowego. Młode rodziny mające dwójkę, trójkę i więcej dzieci dostają zwroty podatków, o jakich wcześniej nikt nie słyszał. To wszystko, ten dorobek całych ośmiu lat, będzie stawką tych wyborów. Dziś już niektórym wydaje się to pewne, oczywiste, zagwarantowane. Ale wiemy, że zepsuć można wszystko.

Zmierzmy się z krytyką programu 500+. Padają tu głównie dwa argumenty: że to nakręciło inflację i że cel demograficzny nie został osiągnięty. Jak pani na to odpowie?

Jakich to nieszczęść miały nie powodować nasze programy! Straszyli drugą Grecją, kolejną Wenezuelą, katastrofą budżetu. Nic z tego się nie potwierdziło. Odwrotnie – dało to gospodarce dobry impuls rozwojowy. Przypomnę, że programy społeczne funkcjonowały wiele lat i wzrostu inflacji nie powodowały. Ona pojawiła się dopiero, właściwie uderzyła z siłą tornada w cały świat po pandemii i napaści rosyjskiej na Ukrainę. To jest przede wszystkim putinflacja. Nawet udział programów ratunkowych dla gospodarki w czasie pandemii jest w tym niewielki, a przecież bez nich byłaby katastrofa. Po 24 lutego 2022 r. mieliśmy do czynienia z szokiem cenowym na rynku energii, żywności, z celową próbą rozregulowania przez Putina gospodarek i zmęczenia społeczeństw, zmuszenia ich w ten sposób do zaniechania wsparcia dla Ukrainy. Musieliśmy się z tym zmierzyć i na szczęście inflacja spada.

> Podkreślam: każda, absolutnie każda propozycja, którą składamy Polakom, zawsze jest dokładnie policzona, przymierzona odpowiedzialnie, możliwa do realizacji

Opozycja twierdzi, że ona z tym problemem uporałaby się błyskawicznie.

Z wypowiedzi jej ekspertów wiemy, jak to sobie wyobrażają. Błyskawicznie i drakońsko podnieśliby stopy procentowe, gospodarkę zamrozili, inflacja więc nieco by spadła. Ale jakie byłyby skutki dla zwykłych ludzi? Bezrobocie na poziomie pewnie 20 proc., bieda, nędza i emigracja młodych. Poszliśmy inną drogą, słuchaliśmy też analiz prezesa Narodowego Banku Polskiego prof. Adama Glapińskiego. Wdrożyliśmy wiele działań antyinflacyjnych, pamiętając jednak, że ciężaru tej walki nie możemy przerzucić na społeczeństwo. Ono też oczywiście odczuło boleśnie putinflację, stąd m.in. decyzja o waloryzacji 500+ do 800 zł.

I tu wchodzi platformerska opozycja, próbując zadać wam szach-mat, i woła: nie tylko zgoda, ale szybciej, już od czerwca, a nie od Nowego Roku. To jest szach-mat?

Nie, pokazanie różnicy. Widać, kto jest prawdziwym populistą. Oni mogą powiedzieć cokolwiek, do żadnego słowa się nie przywiązują, nic to dla nich nie znaczy. Podkreślam: każda, absolutnie każda propozycja, którą składamy Polakom, zawsze jest dokładnie policzona, przymierzona odpowiedzialnie, możliwa do realizacji. Dlatego najpierw 500+ było tylko na drugie i trzecie dziecko, musieliśmy poczekać, aż zacznie przynosić skutki walka z tzw. luką VAT, czyli z mafiami VAT-owskimi, które za PO-PSL okradały Polaków na setki miliardów przy bierności państwa. Podobnie jest teraz z waloryzacją świadczenia wychowawczego do 800 zł: to poważna sprawa, wyliczona, możliwa do odpowiedzialnej realizacji w nowym roku, z nowym budżetem. Tuskowi mogę powiedzieć jedno: rozliczaj się, człowieku, z własnego programu, a nie z naszego.

Powrócę do pytania o cel demograficzny 500+.

Nikt nie sądził, że odwrócimy takim jednym ruchem wszystkie złe zjawiska demograficzne, ich przyczyny są przecież także cywilizacyjne, ale liczyliśmy, że je nieco zahamujemy, że zawalczymy. To się udało. Gdyby nie 500+, byłoby znacznie gorzej, prognozy urodzeń były dużo bardziej pesymistyczne. Przywróciliśmy tym programem także godność rodzinom wielodzietnym. Kiedyś były prezentowane jako rzekoma patologia, dziś są podziwiane, zapraszane do mediów. Temat

eprasa.pl 70b088b833

Fot. Anna Strzyżak / Kancelaria Sejmu

demografii pozostaje oczywiście wyzwaniem. Młode rodziny muszą mieć zapewnioną stabilność, stąd nowe propozycje w obszarze mieszkaniowym, kredyt na 2 proc., konta oszczędnościowe. Liczymy, że te działania plus wychodzenie z problemów związanych z pandemią i wojną na Ukrainie przyniosą w końcu poprawę, że ludzie nie będą się obawiali mieć więcej dzieci. Bo bez dzieci nie ma przyszłości.

Powiedziała pani, że inflacja spada. To prawda, prognozy i dane za ostatnie dwa miesiące są tu pocieszające. Ale pani też mija te plakaty, którymi opozycja zalała kraj, głoszące „PiS = drożyzna". Ceny żywności bolą każdego, kto robi zakupy. Nie boi się pani takich akcji?

Cóż mogę dodać do tego, co mówiłam wcześniej o inflacji? Może tylko przypomnieć starszym, a młodszych poinformować, że alternatywą wobec programów ratunkowych, tarcz antykryzysowych była kompletna bezczynność. Tak zrobił Tusk w obliczu dużo mniejszego kryzysu w 2008 r. Efektem był skok bezrobocia, bieda, wyjazdy tysięcy rodzin do Anglii. Cofając się jeszcze dalej, do lat 90., możemy zobaczyć, co się dzieje, gdy zaczyna królować ideologia „Człowieku, radź sobie sam, państwa twoje kłopoty nie obchodzą". Bieda wywołana polityką Leszka Balcerowicza do dziś dla wielu Polaków to bolesne i bardzo smutne wspomnienie. Pracowałam wtedy w szkole, pamiętam bezrobocie sięgające w niektórych regionach 25 proc., głodne dzieci, kupowanie na zeszyt, brak butów, słowem – straszliwą nędzę, zwłaszcza na wsi. Wtedy liberałowie jakoś losem ludzi się nie przejmowali, plakatów o drożyźnie nie wieszali. Zasadniczo trudno tych ludzi traktować poważnie. Chleb miał być podobno po 30 zł, węgla miało nie być. Dlaczego tak straszą Polaków?

Może po to, by na marszu 4 czerwca mogli zgromadzić ten 1 mln uczestników, na który liczą? Z jakimi emocjami PiS będzie obserwować tę manifestację?

Z żadnymi. To są problemy Tuska, bo widzi, że do wyborów zostało mało czasu, jednej listy nie zmontował, sondaże ma słabe, programu brak. Szuka więc w kalendarzu czegoś, co by zgromadziło wokół niego ludzi, zbudowało jakieś przesłanie, najlepiej antypisowskie. Wybrał 4 czerwca, bo ta rocznica wyborów 1989 r. jest po drodze. Nie sądzę, by ten dzień nadawał się na jakieś wielkie przesłanie. Wybory były częściowo wolne. Owszem, niosły pewne światełko wolności, ale też dziś wszyscy wiemy dużo więcej o planowanej wtedy transformacji, dzieleniu się władzą i własnością z komunistami. Moim zdaniem nic z tego marszu nie będzie.

> Tusk obraża wszystkich Polaków, bo przecież wśród korzystających z tych programów, doceniających je, są także jego wyborcy. Proszę zwrócić uwagę na reakcję sali, gdy mówił, że z programów społecznych korzystają chlejący, bijący żony, niepracujący. Wielkiego aplauzu nie było

Dlaczego w pani ocenie Tuskowi nie udało się zbudować jednej listy?

Głównym powodem jest to, że nawet jego koleżanki i koledzy z opozycji wyczuwają, iż zawsze postawi własny interes ponad wspólny. Pokazał to wielokrotnie, choćby wtedy, gdy jako premier polskiego rządu zapewniał Polaków, że nigdzie się nie wybiera, że ta funkcja to dla niego zaszczyt, a chwilę potem już celebrował stanowisko w Brukseli. Sądząc po nagraniu, na którym mówi, że myśl o powrocie do Sejmu jest dla niego upiorna, nie zmienił się. Jako marszałka Sejmu zaszokowały mnie te słowa. Mandat posła czy senatora w 38-mln kraju, coraz bardziej liczącym się w Europie i świecie, z piękną historią parlamentaryzmu to zaszczyt, a nie coś upiornego. Nie szanuje nawet głosów swoich wyborców. Wspólnym mianownikiem tej postawy jest brak u niego postawy propaństwowej. To ma niestety złe konsekwencje, powoduje nakierowanie na Niemcy, jakieś tajne umowy z panią Ursulą von der Leyen, iż ma wrócić na stanowisko premiera Polski.

Został tu przysłany, by przydusić polską ambicję? Zawrócić Warszawę do niemieckiego szeregu?

Nie ma na to dowodów bezpośrednich, ale te pośrednie, o których mówię, wskazują, iż przyjechał tu z określonym zadaniem. Od pierwszych dni po powrocie agresja, znieważanie ludzi, straszenie i groźby. Tak się nie zachowuje polityk samodzielny i propolski, taki zaczyna od programu, propozycji dla rodaków.

Polityka nie jest sprawiedliwa. Taką metodę zastosował w 2007 r. i wygrał.

To była inna sytuacja. Rządziliśmy krótko, w bardzo trudnej koalicji, której z powodów moralnych nie mogliśmy już dłużej ciągnąć. Złożyliśmy wniosek o samorozwiązanie Sejmu i ludzie mieli nam to za złe, osłabiło to mobilizację.

Dziś jakiś koalicjant jest na horyzoncie?

Naszym celem jest samodzielna większość, będziemy prosili Polaków o przedłużenie tego mandatu. Konieczność zawiązywania koalicji mogłaby zmniejszyć skuteczność naszych rządów, które się Polakom opłacają. To są trudne czasy, stabilność i przewidywalność rządów jest wielką wartością.

eprasa.pl 70b088b833

Choć warto pamiętać, że Zjednoczona Prawica to też koalicja. Pójdziecie do tych wyborów z Suwerenną Polską, do niedawna Solidarną? Ten układ przetrwa?

Myślę, że przetrwa. Dla nas to wzmocnienie, dla Suwerennej Polski samodzielny start byłby ruchem hazardowym, ciężko by im było wejść do Sejmu.

Możemy się obawiać brudnej kampanii? Pani też kilka tygodni temu doświadczyła brutalnego ataku na życie osobiste.

Na pewno ze strony opozycji nie będzie żadnych granic, wszystkie chwyty będą dozwolone. Ale się nie obawiam, bo taki ostrzał bez żadnych zasad, granic, reguł wobec naszego obozu trwa od wielu lat. To jest język tak straszny, kumulacja kłamstw tak obrzydliwa, że tego się nie da słuchać. Szczególnie mnie boli, gdy biorą w tym udział kobiety. Wystarczy posłuchać takich wypowiedzi, by zrozumieć, że oni nie są żadną elitą. Brak kultury i wiedzy, tak naprawdę to jest jakaś antyelita. Żadna elita by sobie nie pozwoliła na takie poniżanie drugiego człowieka.

Odpowiecie ogniem?

Nie. Nie możemy się dać sprowokować, bo im o to chodzi, byśmy pokazali wykrzywioną, złą twarz. Słusznie Jarosław Kaczyński podczas wystąpienia na ostatniej konwencji po prostu machnął ręką na agresję Donalda Tuska. Niech zostanie sam z tą nienawiścią. Naszą odpowiedzią powinna być i będzie postawa odwrotna: skupienie na pozytywnym programie, duma z tego, co udało się zrobić, uczciwa rozmowa z Polakami. My mamy tę przewagę, że możemy pojechać do każdego zakątka w Polsce i bez obaw spojrzeć ludziom w oczy.

Co jest stawką tych wyborów?

Polacy zdecydują, czy będziemy państwem zdolnym zapewnić dobrą przyszłość kolejnym pokoleniom, niepodległym, w pełni suwerennym, liczącym się na arenie międzynarodowej, będącym liderem w Europie Środkowo-Wschodniej. My się Niemcom kłaniać nie będziemy, nasi przeciwnicy są gotowi na gesty uniżenia. Polska ma potężny potencjał. Wykorzystamy go lub znowu ktoś nas cofnie w rozwoju. Będziemy dumnym narodem lub będzie nas pouczał, kto tylko sobie zechce. Popatrzmy, co opozycja zrobiła Polsce, gdy przegrała wybory: bez wstydu rozpętała na całym świecie kłamliwą kampanię o zagrożeniu demokracji, reżimie, niemal dyktaturze. Trzeba było wojny na Ukrainie, by cały świat zobaczył prawdziwą Polskę, otwartą, solidarną, sprawną w działaniu.

Polacy zdecydują, czy będziemy państwem zdolnym zapewnić dobrą przyszłość kolejnym pokoleniom, w pełni suwerennym, liczącym się na arenie międzynarodowej, będącym liderem w Europie Środkowo-Wschodniej. My się Niemcom kłaniać nie będziemy, nasi przeciwnicy są gotowi na gesty uniżenia

Politycy europejscy już wiedzą, że byli oszukiwani, także przez polskie media, których przekazy kopiowano potem na Zachodzie?

Wielu z nich tak. Niektórzy z polityków, z którymi się spotykam, mówią mi, iż też ulegali temu fałszywemu obrazowi, a dziś Polskę podziwiają. Wzrost pozycji naszego kraju jest ogromny, jesteśmy głównym korytarzem pomocy Ukrainie, szanowanym ośrodkiem politycznym. Podkreślam jednak: nic nie jest przesądzone, do ostatniego dnia musimy dawać z siebie wszystko, spotykać się z Polakami, być w pełni zmobilizowanymi i czujnymi. Po drugiej stronie jest nie tylko opozycja, lecz także potężne media, przekazujące chwilami całkowicie fałszywy obraz rzeczywistości. Musimy też niestety brać pod uwagę próby ingerencji w nasze wybory ze strony Rosji, przed czym tygodnik „Sieci" przestrzegał w poprzednim wydaniu.

Kilka razy bezpośrednio słyszałem wystąpienia pani marszałek za granicą, zwykle są to spotkania na bardzo wysokim szczeblu z szefami parlamentów, także w stworzonym przez panią formacie kobiet-przewodniczących parlamentów. Zawsze mocno podkreśla pani konieczność wytrwania Zachodu w pomocy dla Ukrainy. Na Cyprze mówiła pani, że Rosja to tyrania, która jeśli nie zostanie zatrzymana, sama nigdy się nie zatrzyma, będzie chciała podbijać sąsiadów dalej i dalej. Czy Zachód wytrzyma?

Tak, o ile nie zostawimy spraw swojemu biegowi. Dlatego przy każdej wizycie zagranicznej przypominam o źródłach tej wojny, o tym, kto jest agresorem, jak chce zniszczyć jedność europejską i NATO-wską. To szczególnie ważne w dalszych zakątkach Europy, gdzie ta wojna wydaje się odległa, a rosyjska propaganda pracuje. W niektórych krajach niestety skutecznie, w innych ludzie rozumieją. Na szczęście na Cyprze, gdzie byłam ostatnio i gdzie zostałam przyjęta wspaniale przez przewodniczącą Izby Reprezentantów Anitę Dimitriu, jest pełne wsparcie dla naszej wspólnej sprawy. Bardzo wzruszająca była nasza wspólna wizyta w przedszkolu dla ukraińskich dzieci.

Jako szefowe parlamentów wspólnie mobilizujemy nasze i inne państwa do walki z obrzydliwym procederem handlu ukraińskimi kobietami i dziećmi. Mówimy o konieczności pomocy psychologicznej kobietom i dzieciom, które przeżywają wojnę na Ukrainie lub musiały z niej uciekać.

Jest szansa na zmianę wizerunku Polski także w kwestii rzekomego zagrożenia praworządności?

Tutaj nie wizerunek jest problemem, tam wiedzą, jaka jest prawda. Tu chodzi o to, że ich zdaniem rządzi nie ta frakcja, która powinna. Przecież te wszystkie rezolucje przeciw Polsce pisali ludzie – jak się później okazało – zamieszani w wielkie afery korupcyjne, handel wpływami w Parlamencie Europejskim. Musimy to przetrzymać. I w tym temacie prawda zwycięży.

eprasa.pl 70b088b833

Socjalna ofensywa Kaczyńskiego

Cztery programy ogłoszone przez PiS w ciągu ubiegłego weekendu – to największa od siedmiu lat socjalna ofensywa, z jaką mamy do czynienia we współczesnej Polsce

JAN ROKITA

Najpierw zaskakujące zapowiedzi szefa PiS podczas partyjnego mityngu, wywołujące żywiołowy entuzjazm licznie zgromadzonego aktywu. A cztery dni później – posiedzenie rządu i formalne postanowienia. To nie po raz pierwszy w takim właśnie trybie są ogłaszane te polityczne decyzje, na których rozgłosie i dotarciu pod strzechy szczególnie zależy liderom obozu władzy. No i musi być jeszcze popkulturowy slogan, tym razem o ośmiu setkach złotych i ośmiu gwiazdkach, który będzie do znudzenia powtarzany w rządowej propagandzie przez następne dni, tak by wbił się w każde ucho i zohydził politycznego wroga.

Jednak tym razem operacja z nowym pakietem socjalnymi daleko wykracza poza wymiar przedwyborczej propagandy. Nie będzie przesadą powiedzieć, że cztery programy ogłoszone przez PiS w ciągu ubiegłego weekendu – to największa od siedmiu lat socjalna ofensywa, z jaką mamy do czynienia we współczesnej Polsce. Porównywalna, jeśli chodzi o rozmiar i polityczne znaczenie, tylko z przełomem lat 2015/2016, czyli początkami drugich rządów PiS.

ZASIŁEK 800+

Podwyżka zasiłków na dzieci, i to wyraźnie powyżej skumulowanej inflacji. Zapowiedź rychłego zaprowadzenia darmowej jazdy po wszystkich drogach. Darmowe listy leków dla emerytów, dzieci i młodzieży. A to wszystko uzupełnione przez rząd instytucjonalizacją wypłacanej odtąd na stałe przez budżet tzw. 14. emerytury. Razem układa się to w rozległy plan wzrostu redystrybucji polskiego dochodu narodowego, nakierowany na różnorodne grupy profitentów.

Spektakularna podwyżka zasiłku na dzieci jest formą przywileju dla rodziców małoletnich dzieci, finansowanego pośrednio przez ludzi bezdzietnych i starych. A zważywszy na współczesne przesunięcie wieku, w którym zazwyczaj ludzie mają dzieci, jest to przywilej udzielany przeważnie osobom w wieku od 25–55 lat, czyli kategorii dość rozległej, będącej (mówiąc potocznie) w sile wieku.

Co prawda, ów sławny program zasiłków na dzieci stracił swój walor demograficzny, odkąd świadczenie zostało

Fot. Andrzej Iwanczuk/REPORTER

eprasa.pl 70b088b833

rozszerzone na rodziny z jednym dzieckiem, czyli takie, które społeczeństwu nie zapewniają nawet tzw. reprodukcji prostej (1:1). Jednak mimo to wzrost redystrybucji od bezdzietnych i starych w kierunku rodziców w sile wieku i tak odpowiada naszemu poczuciu sprawiedliwości.

W Europie, od czasów antycznej Grecji, ciągle powracają różne koncepty, mające właśnie w imię sprawiedliwości prowadzić do swoistego karania przez społeczeństwo tych, którzy dzieci nie mają i nagradzania tych, którzy ponoszą trud wychowania przyszłych pokoleń. Nawet zatem jeśli cały ów program nie spełnia pokładanych w nim początkowo nadziei na przełamanie kryzysu demograficznego, to jego finansowe rozwijanie jest sprawiedliwą formą uznania dla tych, którym nadal chce się na przekór dominującym trendom kulturowym wychowywać nowych obywateli.

Jednak każda postać zasiłków na dzieci dyskryminuje starców. Nic dziwnego zatem, że jednocześnie z podwyżką zasiłków obóz władzy ogłasza przywileje dla emerytów. Jedno z drugim tworzy dopiero sprawiedliwościowy balans między pokoleniami. Potrzeba takiego balansu jest zresztą nie tylko wymogiem sprawiedliwości, lecz także polityczną koniecznością dla PiS, którego elektorat jest dużo starszy niż wyborcy opozycyjnego centrolewu. Usankcjonowanie à la longue tzw. 14. emerytury oraz obniżenie do 65 lat (czyli wieku emerytalnego mężczyzn) bariery uprawniającej do korzystania z puli darmowych leków – to odpowiedź PiS na ową podwójną konieczność. O ile więc nie ma wątpliwości, że w obliczu wyborów PiS był zmuszony w jakiś sposób zrównoważyć starcom ich stratę wynikającą z podwyżki zasiłków na dzieci, o tyle forma owego zrównoważenia nie została wybrana najszczęśliwiej.

LEKI I „CZTERNASTKA"

Z perspektywy kształtowania dobrych nawyków społecznych państwo nie powinno promować patologicznego obyczaju lekomanii, rozpowszechnionego nie tylko wśród Polaków, lecz także w całym nowoczesnym świecie (z Ameryką jak zwykle na czele). Fatalną pod tym względem rolę i tak już odgrywa nachalna i wszechobecna reklama koncernów farmaceutycznych, nakłaniająca zdrowych ludzi do zakupu i zażywania lekarstw.

Jest to zjawisko tym bardziej społecznie naganne, że owe koncerny drenują bezkarnie budżety współczesnych państw refundujących leki albo nawet udostępniających je darmowo niektórym grupom społecznym. Mało wiarygodnie brzmią przy tym zapewnienia różnych ekspertów, iż upowszechnianie masowego kupowania i zażywania leków wpływa na poprawę *in gremio* zdrowia publicznego. W tym akurat przypadku tzw. teorie spiskowe, skłonne upatrywać tu raczej interesu wygłaszających takie poglądy, brzmią całkiem racjonalnie.

> Cztery programy ogłoszone przez PiS w ciągu ubiegłego weekendu – to największa od siedmiu lat socjalna ofensywa, z jaką mamy do czynienia we współczesnej Polsce

Roztropna polityka powinna więc raczej udostępniać wszystkim za darmo (albo z wysokim poziomem refundacji) leki ratujące człowieka w najcięższych chorobach, niż marnować miliardy publicznych pieniędzy na upowszechnianie masowej lekomanii w interesie ekspansywnych i brutalnie zachowujących się na rynku koncernów farmaceutycznych. Niestety, rządom brak odwagi, by przeciwstawić się zarówno koncernom, jak i triumfującej społecznie lekomanii.

Z kolei słabością modelu 14. emerytury jest to, iż łamie on przyjęty w Polsce u końca XX w. system emerytalny, oparty na regule zdefiniowanej składki. Czyli taki, w którym na przyszłość każdy sam powinien zebrać przez życie fundusze na emeryturę.

Rozstrzygnięcie podjęte obecnie przez rząd Morawieckiego przesądza, że od 2024 r. owa „czternastka" nie będzie mieć *de facto* nic wspólnego z emeryturą, ale stanie się, podobnie jak zasiłek 800+, stałym świadczeniem wypłacanym z budżetu państwa. Państwo tym samym jasno uznaje, iż składkowy system emerytalny nigdy nie stanie się na tyle wydolny, by nie wymagał dodatkowych wypłat budżetowych dla ludzi starych.

W logice socjalnego państwa dobrobytu oznacza to, że drugą obok rodziców wielką grupą społeczną, na której rzecz ma następować trwała redystrybucja dochodu narodowego, będą starcy. Taka logika otwiera na przyszłość przetarg o to, jak wysoki ma być poziom owej redystrybucji. A zważywszy na nieustanny wzrost liczebności ludzi starych, wolno przypuszczać, iż w demokratycznym przetargu o redystrybucję starzy będą dysponować większą siłą od młodych. Na przyszłość nie wróży to zatem dobrze sprawiedliwemu podziałowi dochodu narodowego.

DARMOWE AUTOSTRADY

Jak widać, w tym szeroko adresowanym pakiecie socjalnym zostają nieuwzględnieni tylko ludzie bezdzietni oraz ci w wieku późnośrednim, gdzieś między 55–65 lat. W tym przedziale wiekowym zazwyczaj już nie ma się pod opieką nieletnich dzieci, a jeszcze nie można czerpać z przywilejów, którymi są obdarzani starcy. Co ciekawe, jeśli spojrzeć na wyniki wyborów 2019 r., to okaże się, że w tej grupie wiekowej PiS dysponował wówczas dwukrotną procentową przewagą głosów nad Platformą. Wygląda więc na to, że tego rodzaju precyzyjne kalkulacje wyborcze nie odegrały decydującej roli przy planowaniu reform. Bezdzietni i ludzie w wieku późnośrednim zostali tym razem uznani za tych, którzy mają ponieść koszty przywilejów dla rodziców i starców. Pozostaje im zatem cieszyć się ostatnią z czterech reform socjalnych: darmowymi drogami. To niedoceniana, a ogromna zmiana, stanowiąca odejście

Autopromocja

eprasa.pl 70b088b833

od przyjętego w Polsce (i niemal w całej Europie) rynkowego kanonu współfinansowania dróg publicznych.

Ideę płatnych autostrad, częściowo budowanych i utrzymywanych w systemie partnerstwa publiczno-prawnego, wprowadził w Polsce minister Syryjczyk (za rządu premier Suchockiej). I obowiązywała ona aż do sobotniej mowy prezesa PiS. Jego zapowiedź darmowej jazdy wszystkimi drogami ma charakter radykalny, gdyż dotyczy nie tylko dróg państwowych, lecz także koncesjonowanych.

W tym pierwszym przypadku państwo będzie musiało odtąd ponosić gros kosztów ich utrzymania, a także zwiększyć fundusze na budowę nowych dróg. W drugim – musi wypłacić odszkodowania, zapewne wysokie, prywatnym koncesjonariuszom, co skończy się przewlekłymi sporami prawnymi. PiS zrywa w ten sposób z ideowym dziedzictwem tak podziwianych w Polsce do niedawna Ronalda Reagana i Margaret Thatcher, wracając do modelu radykalnego etatyzmu. Sam raczej nie dowierzam, by ów odwrót mógł być trwały. To tylko kwestia czasu, kiedy na skutek niedostatków funduszów drogowych wróci debata o nowych podatkach drogowych i autostradowych winietach, skoro tzw. bramki mają zostać zburzone jako znienawidzone pomniki liberalnego kapitalizmu (zapowiada to minister infrastruktury). Tak właśnie było w Niemczech, więc i u nas powtórzy się zapewne ta sama historia.

REAKCJA OPOZYCJI

Swoiste *qui pro quo* zdarzyło się na skutek niespodziewanego entuzjazmu, jaki dla nowego pakietu socjalnego okazała opozycyjna centrolewica. Tusk nie tylko poparł projekty Kaczyńskiego, ale wiedząc, że rząd nie ma w tegorocznym budżecie funduszów na ich natychmiastowe wdrożenie, wniósł do laski marszałkowskiej projekt 800+ z datą wprowadzenia go od 1 czerwca 2023 r. (jak mówił – na Dzień Dziecka). Jak zwykle pogubił się Hołownia, w pierwszej chwili piętnując reformy jako przekupstwo, zaraz potem w ślad za Tuskiem postulując ich przyspieszenie, aż w końcu zgłaszając chęć poprawiania projektu Platformy. Pakiet poparły również Lewica i PSL, choć to ostatnie stronnictwo (zgodnie z rozsądnym konceptem całości polityki społecznej Kosiniaka-Kamysza) chciałoby ograniczyć krąg profitentów do ludzi pracujących i płacących podatki.

W ten sposób załamała się rządowa kampania propagandowa, która miała polegać na sprawdzonej metodzie obśmiania opozycji za to, iż ta nieustannie, wbrew faktom wieszczy załamanie finansów państwa i kryzys fiskalny. Hasło do takiej kampanii dał sam premier, kpiąc na Twitterze: „Znów gra stara płyta. Oni serio nic innego nie mają?... Już mówią, że się nie da, nie ma pieniędzy, zadłużają nas, podniosą podatki. Całkiem to zabawne, słyszałem to już w 2015, 2019...". Rzecz jednak w tym, że tym razem stara płyta nie zagrała. Bo poza Konfederacją nie ma już w Polsce siły politycznej chcącej bronić rynkowych pryncypiów albo oszczędnego budżetu. Swoim wieloletnim uporem w dziedzinie polityki społecznej Jarosław Kaczyński skutecznie odmienił ideowe oblicze całej polskiej polityki.

Jeszcze jedna rzecz przy tej okazji zasługuje na szczególniejszą uwagę. Do niedawna kompetentni (jak się mogło zdawać) politycy PiS deklarowali, że bezpłatne drogi ze względów finansowych w Polsce są wykluczone (minister infrastruktury), a podwyżka zasiłku na dzieci „nie jest w ogóle tematem w kierownictwie partii" (sekretarz generalny PiS). Ten ostatni ciekawie teraz wyjaśnia, jak zatem mogły nagle zapaść decyzje, które były albo „wykluczone", albo w ogóle „nie stanowiły tematu". Po prostu podjął je jednoosobowo prezes PiS. Sekretarz Sobolewski w taki sposób komentuje ów tryb: „Prezes patrzy dalej, widzi dalej i myśli już do przodu". Trudno nie przypomnieć sobie słynnej frazy nieszczęsnego niegdysiejszego ministra transportu, który zapewniał nas, iż szef jego partii (czyli PO) to „geniusz naznaczony przez Boga".

Ale mówiąc już całkiem serio. Pod postacią wielkiego pakietu socjalnego otrzymujemy także przy okazji ważny dowód na to, jak bardzo utrwalił się w Polsce wyzbyty wewnętrznej demokracji, wodzowski model władzy w głównych stronnictwach politycznych.

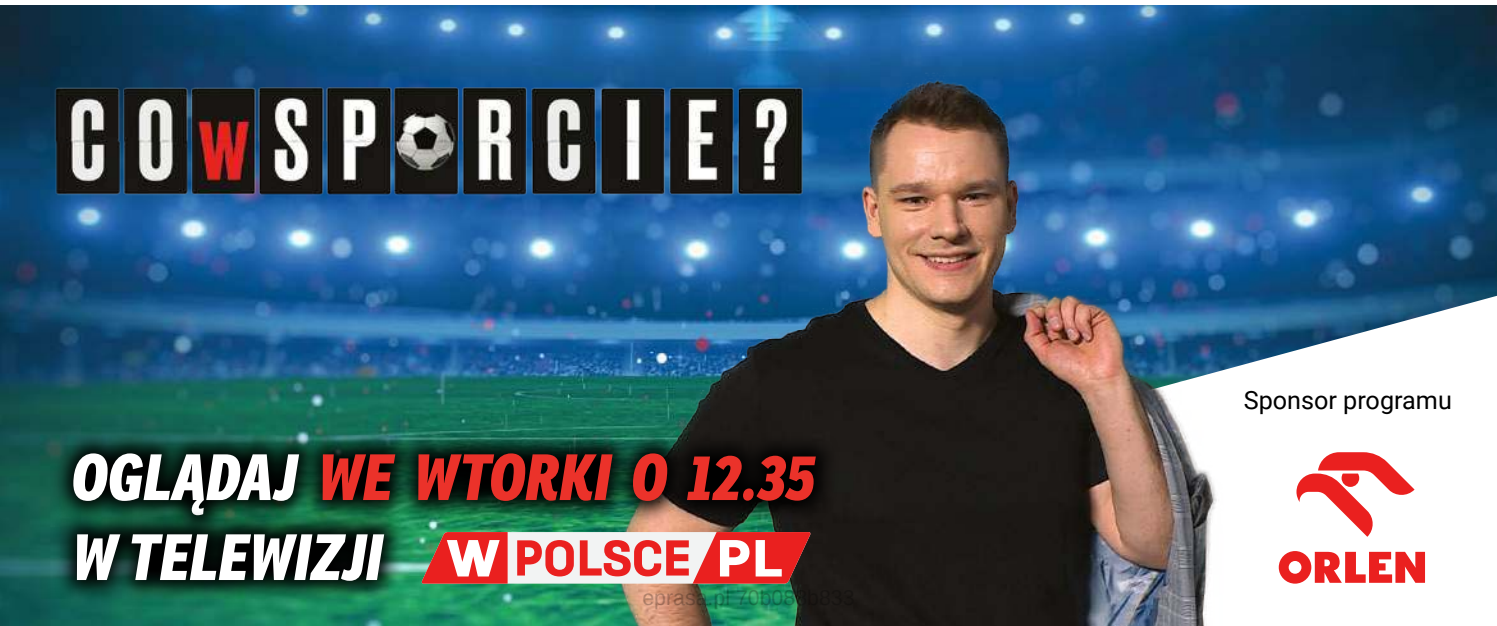

Rakieta niespodzianka

Każde polityczne usamodzielnienie się wojska jest w demokracji niedopuszczalne. Od polityki są minister obrony i zwierzchnik sił zbrojnych

STANISŁAW JANECKI

Choć sprawa jest bardzo poważna, wszystko działo się jak na zwolnionym filmie. 16 grudnia 2022 r. nad polskie terytorium wleciała rosyjska rakieta. Była śledzona, ale zniknęła z radarów. Odnaleziono ją dopiero 22 kwietnia 2023 r. i to przypadkowo – w lesie w miejscowości Zamość, niedaleko Bydgoszczy. Dopiero pod koniec kwietnia 2023 r. o rakiecie dowiedzieli się minister obrony, premier i prezydent. Wojskowi mają i muszą wiedzieć, co należy w takiej sytuacji robić, ale to nie wojskowi podejmują polityczne w istocie decyzje, jak informować o tym opinię publiczną, a tym bardziej – jak i kiedy powiadamiać cywilnych przełożonych. To nie wojskowi decydują, jak mają reagować cywilne organy państwa, co takie wydarzenie oznacza dla państwa. Wojskowi nie mogą polemizować ze swoimi cywilnymi zwierzchnikami tym bardziej publicznie, mogą tylko drogą służbową przekazać odpowiednie raporty. Wojsko to nie jest klub dyskusyjny, tylko służba, i to ściśle zhierarchizowana.

Każde polityczne usamodzielnienie się wojska jest w demokracji niedopuszczalne. Od polityki są w wojsku i dla wojska minister obrony narodowej oraz zwierzchnik sił zbrojnych. Dlatego niedopuszczalne jest publiczne zwracanie się wojskowych do społeczeństwa, tym bardziej czynnych dowódców. Jeszcze gorsze jest podważanie politycznych kompetencji cywilnych zwierzchników. Nic tu nie zmienia subiektywne poczucie niesprawiedliwości czy krzywdy albo traktowanie cywilów jako tych, którzy się nie znają. To się załatwia drogą służbową, a jeśli efekt jest niezadowalający, pozostaje podanie się do dymisji.

W historii III RP doszło już do sytuacji, gdy wojskowi próbowali ustawiać, a nawet dymisjonować swoich cywilnych zwierzchników. Chodzi mi o tzw. obiad drawski z 30 września 1994 r. To najbardziej wstydliwe oraz łamiące wszelkie standardy wydarzenie dotyczące wojska i państwa po 1989 r.

PRZESYŁKA Z ROSJI

27 kwietnia 2023 r. MON poinformowało, że w okolicach miejscowości Zamość, ok. 15 km od Bydgoszczy, znaleziono szczątki niezidentyfikowanego obiektu wojskowego. Dzień później gen. Tomasz Piotrowski, dowódca operacyjny rodzajów sił zbrojnych, przekazał, że „trwają intensywne dochodzenia, sprawdzania, intensywny dialog między różnego rodzaju instytucjami, skąd ten sprzęt mógł się tam znaleźć, jakie jest jego pochodzenie". 28 kwietnia premier Mateusz Morawiecki powiedział, że „można połączyć to znalezisko [...] z informacją, którą powzięły nasze służby już w grudniu ub.r.". Rakieta wleciała do Polski 16 grudnia 2022 r., kiedy to Rosja zaatakowała cele infrastruktury energetycznej Ukrainy. Wystrzelono wtedy 72 rakiety. W Wojsku Polskim wiedziano, że rakieta wleciała w przestrzeń powietrzną RP. Poderwano parę dyżurnych myśliwców. Radary uchwyciły trajektorię jej lotu. Rakieta jednak „urwała się spod kontroli" – jak powiedział w Polsat News gen. Waldemar Skrzypczak, były dowódca Wojsk Lądowych.

Rakieta leciała nisko, a ponieważ wojsko działało w trybie pokojowym, miało do dyspozycji środki radiolokacyjne, radarowe i lotnicze. O lecącym w stronę Polski niezidentyfikowanym obiekcie poinformowała polskie wojsko ukraińska obrona powietrzna. Na ekranach radarów rakieta była widoczna jako plamka, której precyzyjnie nie można było zidentyfikować. Dopiero po znalezieniu jej szczątków okazało się, że była to rakieta manewrująca Ch-55 (powietrze-ziemia) o zasięgu 3 tys. km, odpalana z samolotu. Ponieważ nie stwierdzono śladów materiału wybuchowego, rakieta służyła chyba za wabik dla systemów obrony powietrznej. Prawdopodobnie leciała na wysokości 100–1000 m z prędkością ok. 700 km/godz.

Jak mówią wojskowi eksperci, przy wysokości 100 m radar może wykryć taki obiekt w odległości ok. 50 km, ale przy pułapie 1 tys. m z odległości ok.

eprasa.pl 70b088b833

150 km. Rakieta musiała wlecieć do Polski prawdopodobnie na wysokości Brześcia (licząc od południa). Wysłane samoloty dyżurne nie odszukały lecącej rakiety, więc nie mogły jej zestrzelić. Zresztą od decyzji o podniesieniu maszyn do startu musiało minąć kilkanaście minut, co oznaczało, że rakieta była już głęboko na terytorium Polski.

Siły Zbrojne RP zgodnie z zadaniami w ramach NATO rutynowo kontrolują całą przestrzeń powietrzną od wysokości 3 tys. m. Za pomocą sześciu stacjonarnych radarów dalekiego zasięgu – tzw. Backbone'ów. Cele lecące niżej Backbone'y widzą na odległość nawet dziesięciokrotnie mniejszą niż na wysokim pułapie. Niżej lecące cele mogą być widoczne dla mobilnych radarów, będących na wyposażeniu kompanii i batalionów radiotechnicznych, ale tylko część z nich działa w trybie bojowym i nie pokrywają całego terytorium Polski. Mogło być tak, że rakieta zniknęła z ekranów radarów, gdyż zaczęła spadać.

Obszar poszukiwań szczątków mógł być duży, pewnie dlatego śmigłowiec poszukiwawczy pojawił się dopiero 19 grudnia 2023 r. Poszukiwań później nie kontynuowano. Szczątki rakiety zostały znalezione 22 kwietnia 2023 r. przez kobietę jeżdżącą konno po lesie. Powiadomiła ona o znalezisku policję. Więcej sił, przede wszystkim wojska (w tym funkcjonariuszy kontrwywiadu oraz saperów), policji i straży pożarnej, pojawiło się w Zamościu 26 i 27 kwietnia 2023 r. Zamknięto wtedy obszar ok. 100 ha lasu.

ZANIECHANIA I TŁUMACZENIA

28 kwietnia 2023 r. dowódca operacyjny rodzajów sił zbrojnych gen. Tomasz Piotrowski mówił: „W tamtym czasie, kiedy doszło do takiego zdarzenia, [...] zostały użyte nasze samoloty, [...] w ścisłym współdziałaniu z naszymi zagranicznymi sojusznikami [...] używaliśmy naszych śmigłowców poszukiwawczo-ratowniczych, starając się dojść do tego, co tak *de facto* nasze systemy odnotowały". 28 kwietnia 2023 r. do sprawy odniósł się premier Mateusz Morawiecki: poinformował, że polecił ministrowi obrony narodowej Mariuszowi Błaszczakowi osobisty nadzór nad przebiegiem dochodzenia.

6 maja 2023 r. premier mówił: „Prokuratura prowadzi śledztwo, biegli przystępują do weryfikacji tak, żeby każdy szczegół bardzo dokładnie sprawdzić i dopiero po pewnym czasie, kiedy wnioski z tego postępowania będą przedstawione".

> Wojskowi powinni wiedzieć, co robić w razie naruszenia polskiej przestrzeni powietrznej. I powinni działać. W żadnym przypadku nie mogą jednak zastępować swoich politycznych zwierzchników i z nimi polemizować, tym bardziej gdy ekspercka ocena ich działań wypadła niekorzystnie

11 maja 2023 r. oświadczenie złożył wicepremier i minister obrony narodowej Mariusz Błaszczak. Zapewnił, że „natychmiast po uzyskaniu wiadomości, że znaleziony w Zamościu [...] obiekt może być rosyjskim pociskiem manewrującym, polecił wszczęcie kontroli w Dowództwie Operacyjnym. [...] Właściwie uruchomiono procedury współpracy sojuszniczej. Podwyższono gotowość bojową naszych środków dyżurnych. W powietrze poderwano dyżurne samoloty – polskie i amerykańskie. Obiekt był odnotowany przez polskie naziemne stacje radiolokacyjne". W tym aspekcie działania Centrum Operacji Powietrznych były prawidłowe. Jednak „Dowódca Operacyjny zaniechał swoich instrukcyjnych obowiązków, nie informując mnie o obiekcie, który pojawił się w polskiej przestrzeni powietrznej, ani nie informując Rządowego Centrum Bezpieczeństwa i innych przewidzianych w procedurach służb".

Okazało się, że w „sprawozdaniu operacyjnym Dowództwa Operacyjnego z 16 grudnia, znalazła się informacja, że 16 grudnia nie odnotowano naruszenia ani przekroczenia przestrzeni powietrznej RP, co – jak później się okazało – było nieprawdą". Nie podjęto „wystarczających działań przez dowódcę operacyjnego w zakresie poszukiwania obiektu. [...] Do poszukiwań nie włączono żołnierzy Wojsk Obrony Terytorialnej pełniących dyżury. Po 19 grudnia całkowicie zaniechano poszukiwań". Mariusz Błaszczak zdementował pogłoski, że „odmówił zlecenia poszukiwania obiektu oraz skierowania na miejsce dodatkowych żołnierzy Wojsk Obrony Terytorialnej". Nie odmówił, bo „taka prośba nigdy nie została skierowana. Gdyby tak było, oczywiście wyraziłbym zgodę, co zawsze robię w takiej sytuacji". Poza tym „dowódca operacyjny [...] jest zobowiązany do samodzielnego uruchomienia takiego poszukiwania, co niejednokrotnie było przez niego realizowane".

Wniosek końcowy był taki, że największe uchybienia stwierdzono w zakresie meldowania o zdarzeniu i podjęciu działań poszukiwawczych. Raport przekazano prezydentowi RP i prezesowi Rady Ministrów.

ATAK NA MINISTRA BŁASZCZAKA

12 maja 2023 r. ukazał się komunikat Biura Bezpieczeństwa Narodowego. Okazuje się, że „26 kwietnia 2023 r. ok. godz. 20.15 szef Biura Bezpieczeństwa Narodowego Jacek Siewiera został poinformowany przez wicepremiera, ministra obrony narodowej Mariusza Błaszczaka o znalezieniu w lesie pod Bydgoszczą niezidentyfikowanego obiektu wojskowego". Prezydent Andrzej Duda „został o tym fakcie poinformowany niezwłocznie – ok. godz. 20.30 (godz. 2.30 czasu lokalnego w Mongolii, gdzie prezydent przebywał z wizytą)". Prezydent polecił „w trybie pilnym przygotowanie w BBN spotkania, które odbyło się o godz. 9.00 (27 kwietnia 2023 r.) i miało charakter niejawny". Wedle wiedzy prezydenta nie ma uzasadnienia do „podjęcia decyzji

eprasa.pl 70b088b833

personalnych dotyczących najwyższej kadry dowódczej Wojska Polskiego, a ponadto prezydentowi RP nie przedstawiono żadnego wniosku w tej sprawie".

12 maja 2023 r. pojawił się też apel dowódcy operacyjnego Rodzajów Sił Zbrojnych. Gen. Tomasz Piotrowski przemówił, bo „chciał zwrócić się z apelem o rozsądek, o to, abyśmy w nadchodzących dniach bardzo ważyli emocje, abyśmy byli rozsądni w tym, co robimy, abyśmy bardzo ambitnemu i agresywnemu przeciwnikowi nie dawali pożywki, nie dawali się dzielić na grupy. Bo ten przeciwnik już tylko na to czeka". Generał zapewnił, że „nie ustanie nigdy w dbaniu o bezpieczeństwo naszego narodu, naszego kraju, naszych obywateli". I „wierzy głęboko, że żyjemy w państwie, które jest silne i sprawiedliwe", że „jesteśmy świadomi, że żyjemy w kraju demokratycznym, że wiemy, co to jest wymiar sprawiedliwości i nie ulegniemy złym emocjom".

Takie wystąpienie dowódcy jest w systemie demokratycznym absolutnym kuriozum. Dlaczego? Bo wojskowy zamienia się wtedy w polityka. I do tego w moralizatora.

Dla opozycji incydent w okolicach Zamościa stał się pretekstem do ataku na rząd, a przede wszystkim ministra obrony Mariusza Błaszczaka. Cezary Tomczyk (Koalicja Obywatelska) pytał: „Czy minister obrony narodowej należycie wypełnia swoje obowiązki? Uważam, że nie". Poseł Paweł Kowal (KO) spekulował: „Najwyraźniej premier podaje opinii publicznej nieprawdziwe informacje. Dlaczego?". Szef klubu Lewicy Krzysztof Gawkowski mówił: „Skoro były poszukiwania, to musiał wiedzieć szef resortu obrony, a premier mówi, że nic nie wiedział. To albo premier kłamie, albo premier nie wie. I jedna, i druga sytuacja jest skandaliczna". Radosław Sikorski, europoseł z PO, dramatycznie odnotował, że rakieta spadła ok. 10 km od miejsca jego zamieszkania. Gen. Mirosław Różański, były dowódca generalny Rodzajów Sił Zbrojnych, a obecnie doradca Polski 2050, mówił: „Stawiam pod dużym znakiem zapytania kwestie dotyczące bezpieczeństwa naszego nieba i sprawności systemu, który powinien je zapewnić. [...] Ten pocisk powinien być zniszczony, kiedy jeszcze był w przestrzeni powietrznej".

Fot. Andrzej Skwarczyński

> Dla opozycji incydent z okolic Zamościa stał się pretekstem do ataku na rząd, a przede wszystkim na ministra obrony Mariusza Błaszczaka (na zdj.). A przecież ten minister dokonuje absolutnie przełomowych zmian w armii, czyniąc ją najsilniejszą i najlepiej uzbrojoną formacją lądową w Europie

OBIAD DRAWSKI

Wojskowi powinni wiedzieć, co robić w razie naruszenia polskiej przestrzeni powietrznej. I powinni działać. W żadnym przypadku nie mogą jednak zastępować swoich politycznych zwierzchników i z nimi polemizować, tym bardziej gdy ekspercka ocena ich działań wypadła niekorzystnie. Nie mogą być też uczestnikami, choćby nieświadomymi, działań mających np. obalić ministra obrony. Tym bardziej gdy ten minister (a tak jest w wypadku Mariusza Błaszczaka) dokonuje absolutnie przełomowych zmian w armii, czyniąc ją najsilniejszą i najlepiej uzbrojoną armią lądową w Europie.

Usunięcie Mariusza Błaszczaka to wymarzony cel Rosji i Putina. A jeśli traktować rakietę wysłaną nad Polskę jako element wojny hybrydowej, to atakowanie i podważanie kompetencji ministra obrony mogło zostać w Moskwie przewidziane i zaplanowane. No i należy pamiętać o pierwszym w III RP zamachu na cywilnego ministra obrony.

30 września 1994 r. na poligonie drawskim, podczas kursu metodyczno-szkoleniowego najwyższej kadry dowódczej Sił Zbrojnych RP (dowódców okręgów wojskowych i rodzajów Sił Zbrojnych), ówczesny prezydent Lech Wałęsa podpuścił generałów, żeby krytykowali ministra obrony Piotra Kołodziejczyka. A gdy gen. Tadeusz Wilecki, wtedy szef Sztabu Generalnego, zaproponował, by sprawę rozstrzygnąć na miejscu, Lech Wałęsa zarządził głosowanie, kto jest za ministrem, a kto przeciw. Wszyscy wojskowi poza dwoma byli przeciwko ministrowi. Pod naciskiem prezydenta i wbrew opinii Komisji Obrony Narodowej 12 listopada 1994 r. premier Waldemar Pawlak odwołał ministra Piotra Kołodziejczyka. To był rodzaj puczu generałów. A warto pamiętać, że działo się to jeszcze przed wstąpieniem Polski do NATO, gdy przeciwnicy członkostwa kwestionowali cywilną kontrolę nad armią. Podobne wydarzenie nigdy nie powinno się powtórzyć.

eprasa.pl 70b088b833

Co nam mówi jajo Trzaskowskiego?

Niebieskie jajo dinozaura ustawione w centrum Warszawy może stanowić symbol rządów Platformy. Wyznacza ono bowiem pułap jej osiągnięć. Niestety, wielu mieszkańcom stolicy wcale to nie przeszkadza

KONRAD KOŁODZIEJSKI

Jajo znajduje się na niedawno wyremontowanym pl. Pięciu Rogów w ścisłym centrum Warszawy. Plac to potencjalnie jedno z ładniejszych miejsc w stolicy, obok domu towarowego braci Jabłkowskich, który cudem przetrwał wojenną zagładę Warszawy, oraz przeszklonego gmachu dawnego CDT – architektonicznej perełki okresu tużpowojennego pokazującej nam, jak mogłaby wyglądać odbudowana stolica, gdyby miasto nie zostało odgórnie zainfekowane socrealizmem. Potencjał placu został jednak zmarnowany podczas remontu, z którego wyłonił się betonowy ni to deptak, ni to ulica.

NIELUDZKI POMNIK

Tydzień temu między rachitycznymi drzewkami ustawiono niebieskie jajo. Początkowo nawet go nie zauważyłem. Tyle na warszawskich ulicach jest rozmaitego badziewia, że człowiek niekiedy mimowolnie odwraca wzrok, biorąc taką instalację za kolejną reklamę lub tandetną inwestycję w rodzaju październiowej strefy wypoczynku uruchomionej parę lat temu pod ratuszem. Dopiero w powrotnej drodze jajo ukazało mi się w całej swojej absurdalności. Niebieskie, co najmniej dwumetrowe, leżało na chodniku, przed sporych rozmiarów kałużą, w którą łatwo mógł wdepnąć zaintrygowany przechodzień. Kałuża miała być chyba fontanną, ale najwyraźniej ciśnienie wody było zbyt niskie i zamiast efektownego pióropusza bijącego z chodnika zrobiła się brudna sadzawka.

Wokół jaja kręciło się kilka osób. Podobno po przytknięciu ucha słychać odgłosy pisklęcia. Nie wiem, nie próbowałem przytykać ucha, zresztą dowiedziałem się o tej atrakcji nieco później, gdy postanowiłem sprawdzić w internecie, o co właściwie chodzi z tym jajem. I wtedy dopiero zostałem uświadomiony, że to nie jest byle jakie jajo, ale jajo drozda za 0,25 mln zł, które wypłacono Joannie Rajkowskiej – autorce m.in. słynnej palmy na rondzie de Gaulle'a.

Wiceprezydent Warszawy Aldona Machnowska-Góra wyjaśniła ciemniakom, że jajo mówi nam „o nieludzkich mieszkańcach Warszawy, o pewnej naszej wrażliwości, chęci o tym, żeby mówić, że nieludzcy mieszkańcy Warszawy też są wokół nas". Nie zrozumieli państwo? Nie szkodzi, ja też z początku nie zrozumiałem. Dopiero po chwili uświadomiłem sobie, że pani wiceprezydent mówiącej o nieludzkich mieszkańcach Warszawy nie chodziło o uhonorowanie zwyrodnialców, lecz o zwierzątka. Tak bowiem w postępowym żargonie określa się ptaszki, pieski, kotki, pszczółki i muszki – jako nieludzkich mieszkańców. Niebieskie jajo jest więc symbolem życia, ale nie ludzkiego, bo ono przecież nie zasługuje na szczególną ochronę i pomniki, ale tego nieludzkiego.

Przede wszystkim jednak jajo jest symbolem rządów PO nieprzerwanie sprawującej władzę w Warszawie od blisko 17 lat. Rafał Ziemkiewicz, parafrazując Ryszarda Ochódzkiego z „Misia", napisał na Twitterze, że „to jest jajo na miarę naszych możliwości. Wiecie, co my robimy tym jajem? My nim otwieramy oczy niedowiarkom. Patrzcie, mówimy, to wasze, przez was sfinansowane. I to nie jest wcale nasz ostatni skok na waszą kasę".

BEZPAŃSKIE MIASTO

Wielu mieszkańcom Warszawy wcale to jednak nie przeszkadza, że są od lat robieni w balona. Mało tego, oni to doceniają i nawet czują się z tego powodu perwersyjnie zadowoleni. W tym miejscu muszę zrobić drobną, dyskryminacyjną uwagę: otóż należy odróżnić mieszkańców Warszawy od warszawiaków. Nie chodzi mi wcale o to, że tzw. rdzenni warszawiacy są lepsi od ludności napływowej, bo takie uogólnienia są zwykle nieprawdą, zwłaszcza że w obu grupach znajdą się mądrzejsi i głupsi, lecz o to, że nie wszyscy mieszkańcy Warszawy utożsamiają się z miastem, w którym przyszło im żyć. I niewiele ich ono obchodzi.

Bo gdyby ich obchodziło, to przecież sprzeciwialiby się chyba – przynajmniej w większym stopniu, niż to się dzieje teraz – nieudolnemu zarządzaniu i wyrzucaniu pieniędzy w błoto. Są bowiem środki na jajo, na kupę gruzu na

eprasa.pl 70b088b833

Niebieskie jajo kosztowało stolicę 0,25 mln zł. Wiceprezydent miasta wyjaśniła, że jajo mówi „o nieludzkich mieszkańcach Warszawy". Nie zrozumieli państwo? Nie szkodzi

Ursynowie (nazwaną „lapidarium"), na tęczowe tramwaje i postępowe fundacje zaprzyjaźnione z miastem, ale nie ma ich np. na rozwój komunikacji czy na wsparcie handlu i usług, które z powodu horrendalnych czynszów zostały niemal wyrzucone ze śródmiejskich dzielnic. Miejsce dawnych sklepów, księgarni, punktów usługowych zajęły banki, usługi stomatologiczne (proszę zobaczyć, ile się tego ostatnio pojawiło) oraz wszechobecne Żabki jako namiastki sklepów.

Owszem, można powiedzieć, że to zupełnie naturalny proces związany z gwałtownym wzrostem cen w śródmieściu i ucieczką ludzi na tańsze peryferia. I rzeczywiście tak jest, ale dobry gospodarz miasta starałby się przynajmniej to zahamować. Tymczasem władze Warszawy nie radziły sobie z zarządzaniem miastem i traktowały powierzoną im stolicę jako balast sprawiający ciągłe kłopoty. Nic więc dziwnego, że zachowywały się jak syndyk masy upadłościowej, którą trzeba szybko upłynnić z jak największym zyskiem. A co z nią będzie się działo później, to już nie ich zmartwienie.

Do niedawna sprzedawano spekulantom kamienice wraz z mieszkańcami, których jedyną winą było to, że nie mieli wystarczająco dużo pieniędzy, by wykupić mieszkania, w których często żyli od urodzenia. Ułatwienia dla deweloperki sprawiły, że mimo rzekomo ekologicznej wrażliwości władz Warszawy stawiano apartamentowce na każdym wolnym skrawku zieleni. Z powodu braku planów zagospodarowania miasto rozrastało się w niekontrolowany sposób, co doprowadziło do monstrualnych korków na drogach dojazdowych. Remonty dróg prowadzono i nadal prowadzi się bez sensownej koordynacji, co jeszcze bardziej zaburza funkcjonowanie stolicy.

Jednocześnie stale rosną koszty życia, co tylko częściowo jest związane z ogólną sytuacją gospodarczą. Tylko częściowo, bo jak choćby pokazuje niedawna afera śmieciowa w Warszawie, nie wszystkie opłaty pobierane od mieszkańców trafiają do budżetu stolicy. To wszystko im najwyraźniej nie przeszkadza, skoro ponad połowa z nich przedłuża mandat Platformie w kolejnych wyborach. Właś-

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 70b088b833

nie to mam na myśli, mówiąc, że wielu mieszkańcom Warszawy w ogóle nie zależy na mieście, w którym żyją. Na czym im w takim razie zależy?

WARSZAWSKI ZAŚCIANEK

Przede wszystkim zależy im na sobie. Najważniejsze, żeby im było wygodnie, dwie ulice dalej może być choćby potop. Zawsze można przecież oddzielić się od hołoty wysokim płotem. Ważne też, żeby był dobry dojazd autem do pracy, sklepu i szkoły dla dziecka. Władze miasta, jeśli w ogóle są z czegokolwiek rozliczane, to wyłącznie z przepustowości ulic i z liczby miejsce parkingowych. Nie twierdzę, że to w ogóle nie ma znaczenia, ale to trochę niskie wymagania jak na rzekomo oświeconych ludzi, za jakich się w większości uważają, a przy tym świadczące o niechęci do jakiejkolwiek interakcji z otoczeniem. Zero myślenia szerszego, wspólnotowego, świadomości, że w mieście istnieje publiczna przestrzeń, z którą należy się dzielić z innymi. Jeśli komuś to nie odpowiada, bo przecież nie musi, zawsze może sobie kupić grunt w głuszy i zbudować tam dom. Jeżeli jednak mieszka wśród ludzi, to powinien zrozumieć, że nie jest sam i nie wszystko będzie podporządkowane jego wygodzie.

Problem w tym, że ten nieco nieokrzesany mieszkaniec Warszawy, o którym mowa, nie opuści miasta, bo cały swój życiowy awans, sukces, zawdzięcza życiu w stolicy. I chciałby z niej tylko brać, niewiele dając w zamian. Jeszcze raz podkreślę, że nie chodzi mi o każdego mieszkańca Warszawy, ale tylko o tych, którzy traktują to miasto instrumentalnie – wyłącznie jako miejsce własnej kariery i eksploatacji.

Oni tu aspirują. Niewiele wiedzą, niewiele przeczytali, niczym się nie interesują, a świat znają bardzo powierzchownie. Jednak wydaje im się, że stanowią elitę społeczeństwa, które mają zresztą w głębokiej pogardzie. Ten fenomen wielokrotnie opisywano. Ludzi, osiągających w III RP bardzo szybki awans, głównie ekonomiczny, i rzeczywiście w środowiskach, z których się wywodzą, mogących uchodzić za elitę. Bo jako pierwsi od pokoleń zdołali odnieść wymierny sukces.

To ostatnie spostrzeżenie jest ważne, bo ich poczucie elitarności jest pozbawione głębszego zakorzenienia, a to oznacza, że tak naprawdę jedynie imitują coś, co wydaje im się elitarne. To trochę tak jak w Rosji, gdzie pozycję społeczną wyznacza drogi samochód, drogi zegarek i 10 kochanek. U nas może nie jest aż tak źle, ludzie są jednak bardziej cywilizowani, ale mechanizm jest podobny – wzorce nie tkwią w rodzinnej historii, lecz w nieudolnym podpatrywaniu, jak to inni żyją w świecie. Kiedyś wzorcem takiej pożal się Boże elitarności był serial „Dynastia" (być może niektórzy pamiętają jeszcze kreacje Jolanty Kwaśniewskiej oraz przaśną elegancję ówczesnych biznesmenów), dzisiaj wyznacza je kultura wielkich korporacji, które wychowały nam już całe pokolenie współczesnych „światowców".

> Wielkie korporacje wychowały całe pokolenie „światowców", którzy żyją w oderwaniu od szerszego kontekstu społecznego. Czy można oczekiwać, że tacy ludzie zatroszczą się o Warszawę?

Ci „światowcy" wszystko traktują utylitarnie. Żyją w oderwaniu od szerszego kontekstu społecznego. Jeśli ktoś odwołuje się do norm, zasad, wartości, dobra wspólnego, to natychmiast to odrzucają. Bo im to przeszkadza w życiu, nie czują się z niczym mocniej związani. Czy ktoś powinien więc oczekiwać, że tacy ludzie będą troszczyć się o Warszawę, nawoływać władze miasta do roztropności i rozliczać ją z jej błędów i zaniedbań? A co ich to obchodzi? Oni nie mają z tym nic wspólnego.

Im wystarczy, że Rafał Trzaskowski mówi po francusku, a władze Platformy są poklepywane w Berlinie i Brukseli po plecach. Patrzcie, jak ich tam lubią, my też chcemy, by nas przyjaźnie poklepywano. Też jesteśmy fajni. Bardzo wstydzimy się swoich korzeni, odcięliśmy się od nich i już więcej nie chcemy mieć z nimi nic wspólnego.

ŚWIATOWY UROK ŻARÓWKI

Niebieskie jajo dinozaura (przepraszam: drozda) jest więc dla nich. Pomyślą sobie, ależ jesteśmy awangardowi, światowi, wrażliwi na sztukę nowoczesną. I nie będzie im przeszkadzać, że zaledwie kilkaset metrów dalej – przy Marszałkowskiej – zieje ogromny krater w ziemi, zwany szumnie stacją metra Centrum. Że jest tam niczym w jakimś rosyjskim Muchosrańsku – brzydko i tandetnie. I od ponad ćwierćwiecza nikt z tym nic nie robi. Zresztą po co rządząca miastem Platforma ma coś z tym robić, skoro jej wyborcy najwyraźniej swojsko się czują w takim Muchosrańsku?

Przypomina mi się tutaj anegdota pochodząca jeszcze z początku przaśnych lat 90., gdy władze Warszawy (prezydentem był wtedy chyba Marcin Święcicki, dawny sekretarz KC PZPR, dziś afiliowany przy PO) zaczął rozwieszać na Trakcie Królewskim tandetne sznury żarówek przywodzące na myśl girlandy uliczne w stolicy Białorusi. Usłyszałem wtedy od jednej pani w średnim wieku, obecnie bardzo antypisowskiej, że wreszcie Warszawa wygląda jak prawdziwe europejskie miasto.

Niektórym mieszkańcom naprawdę niewiele trzeba, by zaspokoić ich światowe aspiracje. Żarówki, jajo, no i oczywiście poczucie własnej, mocno naciąganej elitarności. Warszawski antypisizm, zabarwiany niekiedy zwykłym prostactwem, żywi się pogardą dla innych i kompleksami. Zresztą nie chodzi tu tylko o Warszawę. W skali całej Polski jest przecież podobnie. Czy ktoś myślący uważa, że ludzie, którzy popierają Tuska, robią to z pobudek patriotycznych, z poczucia dumy, odpowiedzialności za własne miasto, państwo?

Tylko pogrążającej się w zastoju Warszawy szkoda. Bo stolica prężnie rozwijającej się Polski zasługuje na znacznie więcej.

eprasa.pl 70b088b833

Potrzebujemy sojuszu konserwatystów i lewicy przeciw alkoholizmowi

Państwo polskie całkowicie zderegulowało rynek alkoholowy i puściło go samopas. I to daje fatalny rezultat. Koszty państwa spowodowane walką z konsekwencjami alkoholizmu sięgają co roku 35 mld, a nawet 60 mld zł. To roczny koszt programu 500+

Z Janem Śpiewakiem, socjologiem i publicystą, rozmawia Goran Andrijanić

Od niedawna zaciekle pan walczy z reklamą alkoholu. Dlaczego?

Jan Śpiewak: Moim zdaniem to jest jeden z najważniejszych tematów społecznych w Polsce w tym momencie. Do niedawna nie byłem świadomy, jak poważnym problemem jest alkoholizm. Sam nie pochodzę z rodziny alkoholowej, ale widzę, jakie spustoszenie alkohol robi wśród moich najbliższych i w polskim społeczeństwie.

Jakie?

Mamy ok. 1 mln alkoholików, a niektóre dane mówią, że ich jest dużo więcej, nawet 4 mln. Mamy dużo większe spożycie alkoholu na głowę mieszkańca, niż to było w latach 80. i 90. Mamy ogromną liczbę ofiar wypadków samochodowych spowodowanych przez pijanych kierowców. Każdego roku z powodu alkoholu umiera 30–40 tys. ludzi. W tym samym czasie dziesiątki czy setki tysięcy znajdują się w szpitalach i na SOR, a trafiają tam z powodu używaniu alkoholu. Kolejki do lekarzy są w dużym stopniu winą alkoholików.

Mamy też – i wydaje mi się, że to nie do końca wybrzmiało w opinii publicznej – przemoc w rodzinach, której towarzyszy alkohol i jest często jej źródłem. Śmierć małego Kamila z Częstochowy jest tego przykładem. On był wychowany w rodzinie alkoholowej, a tego tematu jako powodu przemocy, której był ofiarą, jakimś dziwnym trafem nikt nie porusza.

Jak pokazują policyjne statystyki, 76 proc. przypadków przemocy domowej towarzyszy alkohol, który jest bardzo ciężkim narkotykiem, wywołującym stany psychotyczne i agresję, szczególnie kiedy nadużywa się go latami.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 70b088b833

Ten związek alkoholu i przemocy pokazują wszystkie statystyki. Kiedy w Olsztynie wprowadzono nocną prohibicję, zakaz sprzedaży alkoholu między godz. 22 a 6, liczba drobnych przestępstw spadła w połowę. Polskiego społeczeństwa po prostu nie stać na utrzymywanie biznesu alkoholowego. A ten biznes finansujemy z naszych podatków. Co roku generuje on ok. 13 mld zł w akcyzie, a koszty państwa spowodowane walką z konsekwencjami alkoholizmu sięgają 35 mld, a nawet 60 mld złotych. To roczny koszt programu 500+.

Jak Polska wypada w statystykach związanych z alkoholem w porównaniu do innych państw europejskich?

Polska jest w czołówce statystyk związanych z alkoholizmem. Problem w tym, że Europejczycy w ogóle dużo piją w stosunku do całego świata. Z kolei sposób picia Polaków jest inny niż w Europie. Na Zachodzie albo na południu Europy alkohol jest elementem kultury spożywania posiłków. W Polsce mamy dużo ludzi, którzy piją w sposób niebezpieczny, do odcięcia, do całkowitego nachlania się. I to ma bardzo negatywne konsekwencje społeczne.

Dlaczego Polacy piją w ten sposób?

Wydaje mi się, że w Polsce wiele problemów społecznych próbujemy zapić alkoholem. Stres w pracy, problemy domowe i trudności z wychowywaniem dzieci, brak alternatywnych rozrywek dla młodzieży... Alkohol staje się lekiem na różne problemy. A tak naprawdę sam jest źródłem problemów. Alkohol jest jednym z najmocniejszych depresantów, który jeszcze pogłębia choroby psychiczne.

Dalej, problem jest też w dostępności alkoholu, który jest najbardziej dostępnym produktem spożywczym, sprzedawanym całą dobę. Kto kupuje alkohol po godz. 22? Tylko pijani, a nie ludzie trzeźwi. Państwo polskie całkowicie zderegulowało rynek alkoholowy i puściło go samopas. I to daje fatalny rezultat.

Pamiętam, kiedy po raz pierwszy przyjechałem do Polski, wyjaśniono mi, że picie wódki jest częścią tutejszej kultury. Wydaje mi się, że mówimy o głębszych zjawiskach.

To jest bardzo głęboka rzeczywistość. To się zaczęło jeszcze w czasach feudalnych. Przywilej propinacyjny, czyli obowiązek kupowania przez chłopów alkoholu od pana, był narzędziem kontroli społecznej. Poza tym chłopi musieli na to wydawać ogromne pieniądze. Kiedy dziś patrzysz na liczbę sklepów nocnych, masz poczucie, że przywilej propinacyjny wrócił i znowu mamy do czynienia z obowiązkiem picia.

Oczywiście do tego dołącza kultura „Kto nie pije, ten donosi", „Ze mną się nie napijesz?" czy temu podobne powiedzenia. Jest ogromna środowiskowa presja na picie alkoholu. Popatrz na wesela. Zrób w Polsce wesele bez alkoholu. To jest niemożliwe! Łatwiej się da w Polsce zrobić wesele bez dzieci niż bez alkoholu. To dużo mówi o naszych priorytetach. I to wymaga po prostu moralnej odnowy. Potrzebujemy ruchu, który przywróci wartości tradycyjne. Wartości, które na pierwszym miejscu stawiają dobrostan rodziny i osób słabszych, przede wszystkim dzieci, które są często ofiarą alkoholu. Byłoby dobrze przestać przyznawać pierwszeństwo dobru biznesu alkoholowego. Swoją drogą ciężko to nazwać biznesem, bo to są kartele, a ich działalność przypomina działalność narkotykową, a nie biznesową.

Jest pan przedstawicielem lewicy, ale mówi o wartościach tradycyjnych. Czy jest miejsce na współpracę sił konserwatywnych z lewicą?

Tutaj musimy współpracować. Przypomnę ważną rzecz. W 1982 r. przyjęto ustawę o wychowywaniu w trzeźwości. Kto najbardziej chciał tej ustawy i jej bronił? Episkopat Polski i związek Solidarność. Na strajkach Solidarności nie było alkoholu. Ta abstynencja była ruchem oddolnym robotników, który uświadomił, jakie piekło alkohol gotuje rodzinom i jakim jest źródłem nędzy i poniżenia. To samo było z socjalistami na początku XX w. To, że dziś lewica jest po stronie korzystania z narkotyków, to wynaturzenie. Robert Biedroń, który mówi, że marihuana jest świetnym antydepresantem, co jest oczywistym kłamstwem, albo poseł Kopiec, który reklamuje piwo Palikota. To nie jest żadna lewica. To są prokapitalistyczni libertarianie.

Chodzi o to, żeby stworzyć sojusz ludzi, dla których najważniejsza jest wspólnota i solidarność, a nie egoizm. Sojusz między – nazwijmy to – środowiskami konserwatywnymi i lewicą, ale prawdziwą lewicą, jest konieczny, żeby coś mogło się ruszyć w tej sprawie. Przy czym jest potrzebna nie tylko zmiana kulturowa, lecz także konkretna zmiana przepisów, ponieważ – jak wcześniej wspomniałem – mamy dziś do czynienia z silną tendencją deregulacji rynku alkoholowego, która jest szkodliwa.

W jaki sposób?

W latach 90. piliśmy prawie o jedną trzecią mniej alkoholu niż dzisiaj. Wtedy była zakazana reklama wszelkiego alkoholu. Teraz mamy wyjątki od tego zakazu. W latach 90. były stoiska alkoholowe, a nie jak dzisiaj, że wchodzisz do sklepu i masz za kasą zmrożone małpki. Przecież to jest koszmar dla trzeźwego alkoholika.

Mieliśmy zatem już przepisy i sukcesy w walce z alkoholizmem, ale się cofnęliśmy. Warto dodać, że to cofnięcie nastąpiło w czasach rządu Leszka Millera, w 2003 r. Doszło wtedy do obniżenia akcyzy na alkohol i umożliwiono reklamowanie piwa. Polska ma wyjątkowo niskie ceny alkoholu. Przez ostatnich 20 lat butelka wódki podrożała z 19 zł na 23 zł. A ile w tym czasie podrożał chleb?

Moim zdaniem akcyza na alkohol musi wzrosnąć, konieczny jest też zakaz takich promocji jak podczas majówki, kiedy za 31 zł można było kupić 20 piw. Po pierwsze, to nie jest żaden browar, ale wywar etanolowo-wodny, który nie ma nic wspólnego z piwem. Po drugie, takie reklamy wykorzystują wielkie korporacje, które zresztą nie są polskie. To nie jest polski kapitał, bo większość tego rynku jest w obcych rękach. Pozwalamy więc na folwarczną, kolonialną gospodarkę, która polega na tym, że na każdym rogu są sklepy z alkoholem, wysysającym soki żywotne ze społeczeństwa i pieniądze z naszych portfeli, które potem są transferowane za granicę. To jest absurdalnie. Trzeba zrobić z tym porządek.

eprasa.pl 70b088b833

I za ten absurd możemy podziękować m.in. deregulacji z 2003 r.?

Tak. Stały za nią interesy wielkiego biznesu. Wtedy prywatyzowano Polmosy i sprzedawano je za granicę. Istniał pomysł, żeby zwiększyć sprzedaż alkoholu dla polepszenia rentowności tego biznesu. Chyba nie muszę mówić, jak wyglądała prywatyzacja w czasach Millera. Wszyscy pamiętamy aferę Rywina i nie ma wątpliwości, że takie zachowanie było wówczas standardem. Sprzedaliśmy więc za paciorki Polmosy, obniżyliśmy radykalnie akcyzę na alkohol i umożliwiliśmy reklamowanie piwa. Dzisiaj skutek tego jest taki, że dla większości populacji piwo nie jest alkoholem. Lekarze prowadzący wywiady w szpitalach są uczeni – podkreślam, uczeni tego – żeby najpierw zapytać o alkohol, a potem zapytać o piwo. Kartele alkoholowe przez 20 lat zrobiły takie pranie mózgów Polakom z pomocą reklamy, że wydaje im się, że piwo nie jest alkoholem. Co więcej, polskie piwo jest mocniejsze niż piwo chociażby w Czechach.

To jest gotowy przepis na moralną i ekonomiczną katastrofę.

Z pana zawiadomienia Kuba Wojewódzki i Janusz Palikot dostali zarzuty prokuratorskie za nielegalną reklamę wódki.

Tak. Z kolei Palikot mnie pozwał na 100 tys. zł. Wiemy, że jest pupilkiem salonu liberalnego, zresztą Kuba Wojewódzki też. Ci ludzie zrobili rzecz absolutnie okropną, bo swoje reklamy skierowali do młodych, nawet niepełnoletnich. Nie ma większego świństwa niż reklamowanie narkotyków dzieciakom. Wiek inicjacji alkoholowej w Polsce się obniżył do 12 lat. Najmłodsza dziewczyna w Polsce, która zmarła z powodu marskości wątroby alkoholowej, miała 18 lat. To są przerażające statystyki. Branża alkoholowa ma poparcie celebrytów i influencerów. Chodzi o potężne loby, bo na alkohol wydajemy ok. 45 mld zł rocznie.

Jeśli chodzi o polityków, pamiętam dyskusje w Sejmie w sprawie podwyższenia akcyzy, która jest niezwykle niska. Miałem wtedy wrażenie, że kilku posłów było pijanych w trakcie tego posiedzenia.

Producenci piwa są jednymi z głównych sponsorów festiwali rockowych. Picie piwa już dawno stało się modne.

Tak. Jest taki mocny trend w kulturze popularnej. I dlatego potrzebujemy mody na trzeźwy styl życia. I ta moda wśród młodych ludzi jest coraz silniejsza. Dużo zależy od trendów. Branża alkoholowa ma na nie mocny wpływ. Angażuje najlepszych ekspertów, psychologów, neurobiologów, ekspertów od marketingu. Oni dostają ogromne pieniądze, żeby wymyślać te reklamy i uzależniać ludzi.

> Pozwalamy na folwarczną, kolonialną gospodarkę, która polega na tym, że na każdym rogu są sklepy z alkoholem, wysysającym soki żywotne ze społeczeństwa i pieniądze z naszych portfeli, które potem są transferowane za granicę. To jest absurdalne

W Polsce istnieje patokultura, którą promują korporacyjne media. Mamy Facebooka, który dostaje ogromne pieniądze za nielegalną reklamę alkoholu. To się po prostu musi skończyć. Z jednej strony państwo musi zareagować i zacząć regulować ten rynek. Z drugiej – my jako obywatele musimy się organizować i promować inne wartości. Bo zginiemy. Już dziś średni wiek życia mężczyzny w Polsce to ledwie 71 lat. W niektórych województwach spadł nawet do 69 lat. Głównym tego powodem obok pandemii jest alkohol.

Jest wiele głosów, które twierdzą, że ograniczenie dostępności alkoholu niczego nie zmieni.

To są wszystko brednie. Ta narracja jest związana z interesami lobby alkoholowego. Zakaz nocnej sprzedaży alkoholu powinien obowiązywać w całym kraju, a nie tylko w pojedynczych samorządach. A decyzja tych, które to zrobiły, już przyniosła doskonałe rezultaty. Wspominałem, co się stało w Olsztynie. Ze statystyk jasno wynika, że kiedy ograniczamy dostępność alkoholu i jego reklamy, spada jego spożycie.

Moim zdaniem należałoby podwyższyć ceny alkoholu, zakazać jego promocji w sklepach, nocnej sprzedaży w całym kraju, w tym na stacjach benzynowych, oraz objąć całkowitym zakazem reklamowanie alkoholu i zakazać sponsorowania przez branżę alkoholową wydarzeń kulturalnych i sportowych.

Atakował pan niedawno Kanał Sportowy z powodu reklamowania piwa.

Tak. Kanał Sportowy regularnie łamie ustawę o wychowywaniu w trzeźwości. To jest przerażające, szczególnie kiedy wiemy, ilu ludzi w sporcie złamało sobie karierę albo zginęło przez alkohol. Krzysztof Stankowski, lider Kanału, to dobrze wie, ale zamiast refleksji reklamuje „sportowe piwo". Czekam tylko kiedy w Polsce zaczną reklamować „sportowe papierosy".

W jaki sposób agencje reklamowe wykorzystują luki w przepisach?

Rząd Millera doprowadził do zmiany ustawy w tym sensie, że dopuszczono do reklamowania piwa, ale pod szczególnymi warunkami. Piwo nie może się kojarzyć z relaksem, atrakcyjnością fizyczną, sukcesem. Reklama nie może być kierowana do młodych ani nie może namawiać do nadmiernego picia. Popatrz, jak wyglądają te wszystkie reklamy. Właśnie robią to, co zakazane. Dlaczego prokuratura na to nie reaguje? Większość telewizyjnych spotów po godz. 20 to reklamy piwa i leków na potencję. To, co się dzieje w internecie, to jeszcze większy Dziki Zachód. Tam już nic nie obowiązuje. To wymaga wzięcia za twarz cyfrowych korporacji i gigantów, którzy nic sobie nie robią z polskiego prawa.

eprasa.pl 70b088b833

Czekając na drugą falę rewolucyjną na Białorusi

Wszyscy obserwujący sytuację na Białorusi zgadzają się w jednym – ewentualne odejście Łukaszenki spowoduje wybuch kryzysu, który może przesądzić o przyszłości kraju. Na co liczy opozycja? Jak zachowa się Moskwa?

MAREK BUDZISZ

Łukaszenka choruje. Nie do końca wiadomo, co mu dolega, są tacy, którzy twierdzą, że miał zawał, inni mówią o ciężkiej grypie albo o zapaleniu mięśnia sercowego. Z pewnością nie wygląda dobrze. W trakcie niedawnych obchodów 9 maja w Moskwie nie mógł samodzielnie przejść 300 m, które dzieliło trybunę honorową od grobu nieznanego żołnierza, przy którym składano kwiaty. Na lotnisko przyjechał karetką pogotowia, a potem szybko wrócił do Mińska, nie biorąc udziału w bankiecie. Obserwatorzy zauważyli też, że miał rękę na temblaku, co zdaniem wypowiadających się na ten temat lekarzy mogło być świadectwem tego, że przyjmował kroplówki.

Po powrocie na Białoruś dyktator zniknął z życia publicznego. Nie przemawiał na lokalnych uroczystościach związanych z zakończeniem wojny, w jego imieniu wystąpił minister obrony Wiktar Chrenin. Ku zaskoczeniu dziennikarzy nie pojawił się również na swoim ulubionym Święcie Flagi i Godła, podczas którego zastąpił go premier Raman Hałouczenka.

Pogłoski o umierającym dyktatorze stały się tak rozpowszechnione, że w końcu jego służby prasowe opublikowały zdjęcie z wizyty Łukaszenki w jednostce wojsk rakietowych. Ale tym razem nadgorliwcy przesadzili z Photoshopem, dyktator wyglądał, jakby był młodszy o 20 lat, zdjęcie więc trzeba było po kilku godzinach usunąć i zastąpić innymi, niepoddanymi tak głębokiej ingerencji. To tylko ożywiło, zamiast uspokoić, spekulacje na temat jego choroby. Tym bardziej że dostrzeżono „wory pod oczami" i to, że Łukaszenka miał obandażowaną drugą rękę, co tylko potwierdzało krążące informacje, że po powrocie z Moskwy dyktator spędził kilka dni w klinice rządowej.

Wszyscy teraz na Białorusi i emigracji zastanawiają się, co dalej. Spekuluje się o możliwości otrucia nieuznawanego przez świat prezydenta w Moskwie, a prezydenckie służby prasowe wpadły w stu-

Fot. EyePress News / Shutterstock

eprasa.pl 70b088b833

por i są wyraźnie mniej aktywne. To ostatnie zjawisko spowodowane jest tym – jak uważają komentatorzy – że w reżimach autorytarnych, kiedy nie ma instrukcji, co robić, wszyscy czekają, kiedy sytuacja się wyklaruje. Tak było w ub.r. po nagłej śmierci Uładzimira Makieja, szefa białoruskiego MSZ, podobnie po ataku partyzantów na lotnisko w Maczuliszczach. O tym, że mamy do czynienia z poważnym kryzysem, mają też świadczyć słowa niektórych funkcjonariuszy reżimu, którzy zaczęli pisać – co wcześniej się nie zdarzało – o chorującym dyktatorze.

DIALOG I PRESJA

Wszyscy obserwujący sytuację na Białorusi zgadzają się w jednym – ewentualne odejście Łukaszenki spowoduje wybuch kryzysu, który może przesądzić o przyszłości kraju. Anatolij Kotau, były współpracownik administracji Łukaszenki, dziś w opozycji, powiedział Radiu Svoboda, że wstrząs polityczny z pewnością będzie miał miejsce. „Dla systemu autorytarnego, jakim jest łukaszyzm, moment przekazania władzy, zwłaszcza nagły, jest głębokim kryzysem. I mówić, że nic się nie zmieni, jest absurdem. Zmiany po odejściu Łukaszenki będą, ale wcale nie ma pewności, że w lepsza stronę". W jego opinii elita władzy, na którą składają się konkurujące klany biznesowo-polityczne, zacznie rywalizację o to, kto ostatecznie będzie kontrolował państwo. Ukształtuje się coś w rodzaju junty, co będzie oznaczało, że „władza jednego człowieka przekształci się w system kolektywny", którego istota się nie zmieni i Białoruś nadal pozostanie państwem autorytarnym i prorosyjskim.

Liderzy głównych białoruskich środowisk opozycyjnych również są zdania, że odejście dyktatora doprowadzi być może do przejściowego kryzysu w obozie władzy i ten właśnie moment należy wykorzystać. Walery Kowalewski, zastępca Swiatłany Cichanouskiej w zjednoczonym gabinecie, mówi o tym, że siły skupione wokół byłej kandydatki w wyborach prezydenckich przygotowują się na moment przełomu. Współpracujący z nim Paweł Łatuszka jest zdania, że wówczas trzeba będzie wykorzystać wszystkie narzędzia presji włącznie z użyciem sił wojskowych dziś walczących po stronie Ukrainy, takich jak Pułk Kalinowskiego i inne formacje. Łatuszka jest przekonany, że Rosja podejmie próbę stabilizowania sytuacji na Białorusi, niedopuszczenia do demontażu systemu autorytarnego i tranzytu demokracji i właśnie z tego powodu może się okazać, że silny opór zarówno społeczeństwa, jak i sił wojskowych będzie niezbędny.

Nie jest to model idealny, bo w większości wypowiedzi przedstawicieli opozycji za taki uznaje się formułę przypominającą polskie obrady okrągłego stołu, porozumienia sił opozycyjnych i części reżimu, którego funkcjonariusze będą poszukiwać swojego miejsca na Białorusi w przyszłości. Paweł Usau, bliski współpracownik Zianona Pazniaka i jeden z liderów ruchu Wolna Białoruś, za idealny scenariusz uznaje rozpoczęcie dialogu w sprawie stopniowej demokratyzacji kraju między tą grupą w łonie reżimu, która po śmierci lub odejściu Łukaszenki zdobędzie władzę, a opozycją. Jednak do tego, by dzisiejsi współpracownicy dyktatora chcieli rozmawiać, będzie potrzebna silna presja zarówno wewnętrzna w postaci strajków i demonstracji, jak i zewnętrzna. W tym ostatnim przypadku ma on na myśli aktywność partyzantów i sił w rodzaju Pułku Kalinowskiego, a także dyplomatyczną pomoc zachodnich sojuszników. Waleryj Cepkała, niedoszły kandydat w wyborach prezydenckich w 2020 r., mówi, że na wieść o śmierci Łukaszenki „miliony Białorusinów wyjdą świętować na ulice i w sklepach zabraknie szampana". Ten właśnie moment należy wykorzystać, przystępując do drugiej fazy białoruskiej rewolucji.

CO MOŻE MOSKWA?

Z pewnością prócz przedstawicieli reżimu do takiego scenariusza przygotowują się również Moskale. Zdaniem obserwatorów analizujących rozmieszczenie rosyjskich wojsk na Białorusi ich zadaniem nie jest wcale koncentrowanie się, by powtórzyć atak na Ukrainę z północy, ale pilnowanie, by sytuacja wewnętrzna nie wymknęła się spod kontroli. Gdyby było inaczej, to z jakiego powodu rozmieszczano by rosyjskie formacje równomiernie na terenie całego kraju? W razie śmierci Łukaszenki Moskwa podejmie – jak się uważa – próbę stabilizacji systemu. Będzie to oznaczało najprawdopodobniej przekazanie władzy Radzie Bezpieczeństwa, kolektywnemu ciału zdominowanemu przez przedstawicieli resortów siłowych, lub działanie w zgodzie z białoruskim ustawodawstwem, przewidującym, że tymczasowo, do wyborów, głową państwa staje się Natalia Kaczanawa, dziś przewodnicząca Rady Republiki, polityk bezbarwna, pozbawiona większych wpływów, ale zawsze lojalna wobec Łukaszenki. W tym drugim scenariuszu właśnie ze względu na polityczną słabość przyszłej „liderki" kraju faktyczna władza znalazłaby się zapewne w rękach przedstawicieli resortów siłowych i sterującego procesem tranzytu władzy rosyjskiego ambasadora. Wówczas szybko przeprowadzono by kolejne sfałszowane wybory prezydenckie i dążono do uspokojenia sytuacji.

Trzeba też, kreśląc scenariusze dla Białorusi, brać pod uwagę sytuację na frontach wojny Rosji z Ukrainą. Ołeksij Arestowicz, były doradca Zełenskiego, mówi, że Rosjanie nie mają sił, by okupować sąsiedni kraj. Jesienią ich armia będzie już tak osłabiona w wyniku ukraińskiej kontrofensywy, że dyslokacja znacznego kontyngentu kontrolującego sytuację na Białorusi byłaby obarczona ryzykiem załamania się frontu. A to oznacza, że nawet jeśli Moskale będą chcieli połknąć swojego sąsiada i forsować pogłębienie integracji, to jeśli społeczeństwo powstanie, nie będą tego w stanie zrobić. To ciekawy wątek, bo z analiz wywiadów amerykańskiego i brytyjskiego w istocie wyłania się obraz wyczerpanej rosyjskiej armii, która wykrwawiła się pod Bachmutem i do końca roku nie będzie w stanie prowadzić operacji zaczepnych. Potwierdzają to też doniesienia z Białorusi, według których Rosjanie przysyłają tam nowo zmobilizowanych, by ćwiczyli na poligonach, ale potem wysyłają ich na front wojny z Ukrainą. Zgrupowanie na Białorusi nie jest rozbudowywane, mamy do czynienia z rotacją liczby rosyjskich żołnierzy.

SYGNAŁY Z MIŃSKA

Jeśli zatem naród powstanie ponownie, to odmiennie niż latem i wczesną jesienią 2020 r. Kreml będzie w stanie wspierać reżim być może jedynie dobrym słowem. To może zmienić sytuację, tym bardziej jeśli zgodzić się z opiniami liderów opozycji, że skończył się czas pokojowych protestów i po kolejnym wybuchu trzeba będzie być

eprasa.pl 70b088b833

może bić się o wolność z bronią w ręku. Nie można wykluczyć, że część przedstawicieli reżimu przygotowuje się na nową sytuację, wysyłając już teraz czytelne sygnały pod adresem Zachodu. Niedawno Walentin Rybakow, białoruski ambasador przy ONZ, powiedział, że głośna deklaracja Putina o dyslokowaniu do sąsiedniego kraju rosyjskiej broni jądrowej to tylko oświadczenie, bo w praktyce żadne działania nie zostały podjęte. Dodał przy tym, że Białoruś, będąc państwem suwerennym, będzie samodzielnie podejmowała tego rodzaju decyzje. Trudno o bardziej wymowny sygnał dystansowania się od polityki Moskwy. Ale są i inne.

Niedawno na białorusko-rosyjskiej granicy stanęły posterunki i wznowiono kontrolę graniczną. Siarhiej Alejnik, szef białoruskiego MSZ, bagatelizuje całą sprawę, mówiąc, że jest to raczej monitoring, granica jest spokojna i straż graniczna jego kraju blisko współpracuje z Rosjanami. Jednak wprowadzenie tego rodzaju środków, również biorąc pod uwagę ich skalę, nie jest sprawą bagatelną. Obóz władzy w Mińsku najwyraźniej czegoś się boi. Może są to białoruscy partyzanci, którzy dziś walczą po stronie Ukrainy i deklarują gotowość wyzwolenia ojczyzny, a może w grę wchodzą inne scenariusze.

Międzynarodowa grupa ekspertów skupionych w projekcie European Network for Belarus opublikowała ostatnio raport, w którym są analizowane cztery możliwe scenariusze rozwoju wydarzeń na Białorusi. Jeden z nich przewiduje, że Moskwa może chcieć kompensować sobie porażkę na Ukrainie białoruskim sukcesem. Jeśli opór społeczny byłby słaby, to wówczas Moskale zaczęliby naciskać na pogłębienia integracji, a propaganda ten proces mogłaby przedstawiać w kategoriach przyłączenia kolejnych obszarów do Rosji. W takim ujęciu wojna z Ukrainą byłaby konfliktem wygranym, bo ruski mir uległby rozszerzeniu, a wrogowie osłabieni.

Ale sygnałów ze strony funkcjonariuszy białoruskiego reżimu świadczących, że być może szukają oni pola manewru i nie cieszy ich wizja przytulenia przez rosyjskiego niedźwiedzia jest zresztą ostatnio więcej. Białoruski minister spraw zagranicznych oświadczył, że ma nadzieję, iż Li Hui, specjalny wysłannik Pekinu, który przyjechał do Europy rozmawiać o planie pokojowym, odwiedzi również Mińsk, a kwestie przyszłych relacji między Białorusią a Ukrainą przesądzą dwustronne rozmowy. Na przełomie lutego i marca Łukaszenka odwiedził Chiny i wówczas wizyta ta była interpretowana w kategoriach szukania przeciwwagi dla rosnących wpływów Rosjan. Teraz, kiedy być może zbliżamy się do polityczno-negocjacyjnej fazy wojny na Ukrainie, po oczekiwanej ofensywie, może rosnąć zainteresowanie Mińska, by Białoruś była objęta porozumieniem kończącym wojnę, o którym wiadomo, że musi regulować sytuację bezpieczeństwa w regionie.

> Jeśli zatem naród powstanie ponownie, to odmiennie niż latem i wczesną jesienią 2020 r. Kreml będzie w stanie wspierać reżim być może tylko dobrym słowem. To może zmienić sytuację, tym bardziej jeśli zgodzić się z opiniami liderów opozycji, że skończył się czas protestów pokojowych i po kolejnym wybuchu trzeba będzie być może bić się o wolność z bronią w ręku

Pod adresem Amerykanów emisariusze oficjalnych władz z Mińska również wysyłają czytelne sygnały. Jewgienij Preygerman, kierujący Mińskim Dialogiem, think tankiem uznawanym za jeden z kanałów komunikacji białoruskiego MSZ z Zachodem, opublikował niedawno w jednym z amerykańskich portali artykuł, w którym stawia tezę, że rosyjski sektor wojskowy jest uzależniony od dostaw niektórych komponentów z Białorusi. Łukaszenka umiejętnie to wykorzystał, uzyskując w zamian korzystne warunki wymiany handlowej między oboma krajami, co potwierdza pierwsze od lat dodatnie saldo. Ale – jak argumentuje Preygerman – reżim w Mińsku poszedł na pogłębienie współpracy z Rosją, bo nie miał innej opcji w obliczu sankcji i izolacji. A zatem jeśliby Zachód zrewidował swoją dotychczasową politykę wobec Mińska, to tego rodzaju gest zostałby nie tylko dobrze przyjęty, lecz także w ramach wzajemności – choć Preygerman nie pisze tego wprost – dostawy komponentów kluczowych dla rosyjskiego sektora przemysłowego mogłyby zostać zakłócone. Jeszcze ciekawsze jest to, gdzie białoruski analityk opublikował swoje wystąpienie. Otóż znalazło się ono na oficjalnej stronie The Jamestown Foundation. To powołany do życia jeszcze za czasów Ronalda Reagana think tank strategiczny naszpikowany oficerami amerykańskiej armii i służb specjalnych. Jeśli chodzi o Rosję prezentuje on twarde, nieustępliwe stanowisko, ale w kwestii polityki wobec Białorusi nastawienie The Jamestown Foundation jest zupełnie inne. W wielu opublikowanych artykułach i raportach jest formułowana teza, sprowadzająca się do twierdzenia, iż należy postawić na Łukaszenkę po to, by wzmacniając skłonność reżimu do niezależności, separować Mińsk od Moskwy. Podobną tezę stawia w gruncie rzeczy Preygerman, dowodząc, że obecne zbliżenie Białorusi z Rosją jest wynikiem sankcji nałożonych na Łukaszenkę po 2020 r., co nie pozostawiło dyktatorowi innej drogi niż postawienie na Moskwę, bo alternatywą było pogarszanie się sytuacji gospodarczej i groźba kolejnego wybuchu społecznego.

Jak widać, wszyscy przygotowują się do momentu przełomowego, którym może się stać zarówno śmierć dyktatora, jego odejście od władzy, jak i zakończenie wojny na Ukrainie. Różne scenariusze mogą wchodzić w grę, zwycięstwo sił demokratycznych nie jest przesądzone, podobnie jak „pogłębienie współpracy" z Rosją. Jedno jest pewne – sytuacja zmierza w stronę przesilenia i ostra faza kryzysu politycznego na Białorusi jest tylko kwestią czasu.

eprasa.pl 70b088b833

W co gra Meloni

Premier Włoch Giorgia Meloni deklaruje, że podziela wizję Europy polskiej prawicy. Jej rząd podlega jednak znacznym ograniczeniom i jak dotąd stara się nie zadzierać z europejskim mainstreamem

Fot. fot. Krystian Maj/KPRM

ALEKSANDRA RYBIŃSKA

„Włosi stale oscylują między pragnieniem modernizacji, nigdy do końca niedokonanej, a pragmatyczną obroną tego, co już istniejące. Włoskie rządy opierają się na wciąż kontestowanych sojuszach między korporacjami, terytoriami, grupami wpływu gospodarczego i politycznego. Z tego powodu Włochy nie są krajem, w którym dochodzi do radykalnych rewolucji" – tak naszych partnerów w Unii Europejskiej scharakteryzował Lorenzo Castellani na łamach pisma „Le Grand Continent". Może nie rewolucję, ale co najmniej zmianę obiecywała Włochom nowa premier Giorgia Meloni, liderka ugrupowania Bracia Włosi (Fratelli d'Italia), stojącej na czele prawicowej koalicji, w której skład wchodzi jeszcze Forza Italia byłego premiera Silvio Berlusconiego oraz Liga Północna (Lega Nord) Matteo Salviniego. Zwycięstwo wyborcze włoskiej prawicy minionej jesieni, choć zapowiadane w sondażach, wywołało ogromne poruszenie, szczególnie wśród lewicowo-liberalnych europejskich elit. W Polsce zaś zrodziło nadzieję, że władze w Rzymie staną się naszym sojusznikiem w walce z hegemonicznymi zapędami Niemiec oraz dążeniem do federalizacji i uniformizacji (przede wszystkim światopoglądowej) UE. Od zaprzysiężenia Meloni minęło już pół roku. I stało się jasne, że jest ona bardziej pragmatyczna niż radykalna.

BÓG, OJCZYZNA I RODZINA

Przypomnijmy: w swoim exposé, wygłoszonym w październiku 2022 r., mówiła, że głos Włoch będzie słyszalny w Europie, a jej kraj będzie wspierał Ukrainę i nie podda się szantażowi energetycznemu Władimira Putina. Apelowała także o bardziej skuteczną integrację europejską, o którą upominał się w przeszłości wielokrotnie jej poprzednik – Mario Draghi, szef rządu technicznego w latach 2021–2022. Exposé było o wiele łagodniejsze niż wystąpienia z kampanii wyborczej Meloni, gdy jasno opowiadała się przeciwko „ideologii gender, przemocy islamu, masowej imigracji oraz międzynarodowej finansjery". „Tak dla rodziny, nie dla lobby LGBT+!" – krzyczała i podkreślała potrzebę zrównoważenia dominacji Niemiec i Francji. Krytykowała także euro. Jako priorytety wyliczyła wtedy: Boga, ojczyznę i rodzinę.

Z postulatów światopoglądowych włoska premier wiele zrealizowała – w marcu Senat opowiedział się przeciwko wdrożeniu rozporządzenia Komisji Europejskiej w sprawie transgranicznego uznawania rodziców tej samej płci. Wprowadzono także zakaz korzystania z macicy do wynajęcia (surogacji) za granicą. Nie da się ukryć, że Meloni jest przywiązana do chrześcijańskiego dziedzictwa Europy i dostrzega wady Unii Europejskiej podobnie jak polska prawica. Nie oznacza to jednak, że jest gotowa wywrócić obecny liberalno-lewicowy porządek w Europie do góry nogami.

Meloni to bowiem nadzieja Włochów na polityczną stabilizację. Żaden z tamtejszych rządów ostatnich 30 lat nie przetrwał dłużej niż 20 miesięcy. Ona tymczasem marzy o reformie konstytucyjnej i wprowadzeniu we Włoszech systemu prezydenckiego, a raczej półprezydenckiego na wzór Francji. „Presidenzialismo" to było jedno z kluczowych haseł jej kampanii. Wybierany w wyborach powszechnych prezydent mógłby dymisjonować

eprasa.pl 70b088b833

ministrów i rozwiązywać parlament. Taki swoisty sojusz z ludem nad głową establishmentu. Głównym celem włoskiej premier jest więc legitymizacja. Wewnątrz i na zewnątrz. Umocnienie własnej pozycji wobec partnerów koalicyjnych, z których jeden chodził w koszulce z podobizną Władimira Putina, a drugi zbłaźnił się organizowaniem słynnych imprez „bunga-bunga". Po aneksji Krymu (była wtedy w opozycji), co wytykają jej wrogowie, sprzeciwiała się sankcjom wobec Rosji. Ale to było dawno temu, a ponieważ Meloni chce być postrzegana jako polityk pragmatyczna, rozsądna i godna zaufania, musiała tę postawę porzucić.

Mimo radykalnej retoryki, np. w sprawach migracji, gabinet Meloni wystrzega się inicjatyw, które mogłyby wywołać spory z UE o praworządność. Rzym nie blokuje statków ratujących migrantów należących do zagranicznych NGO'sów w portach ani nie zakazuje im do nich dostępu, jak robił to Salvini, gdy był szefem MSW. Zamiast tego stawia na negocjacje z krajami pochodzenia migrantów: powstrzymanie nielegalnej migracji w zamian za pomoc rozwojową. Rzym także dalej prze do relokacji migrantów przybywających z Afryki, a jest to, coś czemu Polska się zdecydowanie sprzeciwia.

„Meloni chciała pozbyć się etykiety neofaszystki, którą jej przyklejono. Od razu podjęła starania, by uspokoić swoich sojuszników – przede wszystkim USA i NATO. Potwierdziła zaangażowanie Włoch w UE" – podkreśliła Cecilia Sottilotta, politolog z Uniwersytetu w Perugii w rozmowie z portalem Euronews.

WSPÓLNY DOM

Meloni starała się obsadzić kluczowe ministerstwa ekspertami, z których część pochodzi z gabinetu Draghiego. Powołanie Antonio Tajaniego (Forza Italia) na stanowisko ministra spraw zagranicznych było wyraźnym sygnałem, że Rzym dąży do porozumienia z Unią. Forza Italia wchodzi w skład Europejskiej Partii Ludowej, a Tajani jest byłym przewodniczącym Parlamentu Europejskiego i *de facto* liderem swojej partii, bo Berlusconi jest już w zasadzie na politycznej emeryturze. Meloni w pierwszą podróż zagraniczną udała się do Brukseli, gdzie zapewniała przewodniczącą Komisji Europejskiej Ursulę von der Leyen o gotowości do współpracy. Zdaje sobie sprawę z ograniczeń Włoch, takich jak ogromny dług publiczny, wynoszący ok. 150 proc. PKB. Żeby nadal mieć dostęp do pieniędzy z unijnego funduszu odbudowy w wysokości ok. 209 mld euro (wypłacanego w transzach), jej rząd w dużej mierze kontynuuje reformy zainicjowane przez Draghiego, choćby reformę podatkową. Meloni uznała włoski Krajowy Plan Odbudowy (KPO) w swoim exposé za „nadzwyczajną szansę zmodernizowania Włoch", a UE za „wspólny dom europejskich narodów". Włosi mają jednocześnie duże trudności z wydatkowaniem już otrzymanych od Brukseli pieniędzy ze względu na przerost biurokracji i niedociągnięcia administracyjne. Część pieniędzy ma zostać przekierowana do sektora energetycznego.

Na umiarkowany kurs Włoch wobec UE naciska zresztą nie tylko partner koalicyjny Braci Włochów, czyli Forza Italia, lecz także prezydent Sergio Mattarella. Obietnicę wspierania działań rządu pod warunkiem utrzymania umiarkowanego kursu złożył także Draghi. Istotnym sojusznikiem Włoch w kwestiach unijnego budżetu jest też wywodzący się z włoskiej lewicy komisarz UE ds. gospodarki Paolo Gentiloni.

Meloni wprawdzie zerwała z polityką Draghiego dotyczącej bliskiej symbiozy z Francją i Niemcami, czyli płynięciem w głównym unijnym nurcie, ale hołduje zasadzie zawierania doraźnych sojuszy z tymi państwami choćby w kwestii migracji czy energetyki. Rzym marzy m.in. o tym, by zostać hubem gazowym dla Europy. Celem Meloni jest więc w pierwszej linii poprawa sytuacji gospodarczej i finansowej Włoch oraz utrwalenie swojej władzy.

JEDEN KIERUNEK?

Gdy Meloni gościła w lutym br. w Polsce, mówiła, że Polska i Włochy mają podobne wizje tego, jak powinna wyglądać Unia Europejska. Dodała, że oba kraje pracują na rzecz Europy, w której będzie obowiązywała zasada pomocniczości, „żeby Bruksela robiła to, czego Warszawa i Rzym nie mogą robić same, ale ich nie zastępowała". Premier Mateusz Morawiecki zaś podkreślił wartości łączące oba kraje: demokratyczne, chrześcijańskie, oraz wspólną wizję „Europy silnych państw, Europy ojczyzn, a nie jakieś utopijne wizje federalistyczne czy *de facto* centralistyczne".

Można powiedzieć, że pod tym względem Warszawa się trochę rozczarowała, bowiem Włochy dołączyły na początku maja br. do koalicji dziewięciu państw pod wodzą Niemiec domagających się reformy systemu głosowania w Radzie UE. „Grupa przyjaciół głosowania większością kwalifikowaną", składająca się z Belgii, Finlandii, Francji, Niemiec, Włoch, Luksemburga, Holandii, Słowenii i Hiszpanii, chce zniesienia prawa weta w dziedzinie polityki zagranicznej i bezpieczeństwa oraz podatków. Polska jest temu zdecydowanie przeciwna podobnie jak większość mniejszych państw, które obawiają się utrwalenia dyktatu większych i silniejszych. Trudno tu więc mówić o realizacji wspólnej wizji Warszawy i Rzymu. Jak to się stało, że Włochy znalazły się w tej grupie i wsparły inicjatywę federalizacyjną Berlina? Nie jest to do końca jasne. Może Meloni poszła na rękę partnerowi koalicyjnemu, czyli Tajaniemu, może doszło do jakiegoś handlu wymiennego z Berlinem. Niektórzy eksperci twierdzą, że rząd Meloni podlega tak znacznym ograniczeniom, że może podążać tylko w jednym, konwencjonalnym kierunku. Jest zależny od dobrej woli Brukseli i wewnętrznie podzielony.

Nie oznacza to, że potencjału dla silnego polsko-włoskiego sojuszu nie ma. Jest i należy być wdzięcznym za antyrosyjski kurs władz nad Tybrem. Jednocześnie nie należy oczekiwać, że Włochy, których gospodarka w przeciwieństwie do polskiej jest w stanie stagnacji i które są w o wiele większym stopniu zależne od unijnych środków, pójdą na otwartą konfrontację z europejskim mainstreamem. Na pewno nie teraz.

eprasa.pl 70b088b833

Nowy wspaniały świat według Harariego

Izraelski historyk jest dziś głównym ideologiem wielkiego resetu, przekonującym, że ludzkość posiadła boską moc stwarzania i powinna z niej korzystać

GRZEGORZ GÓRNY

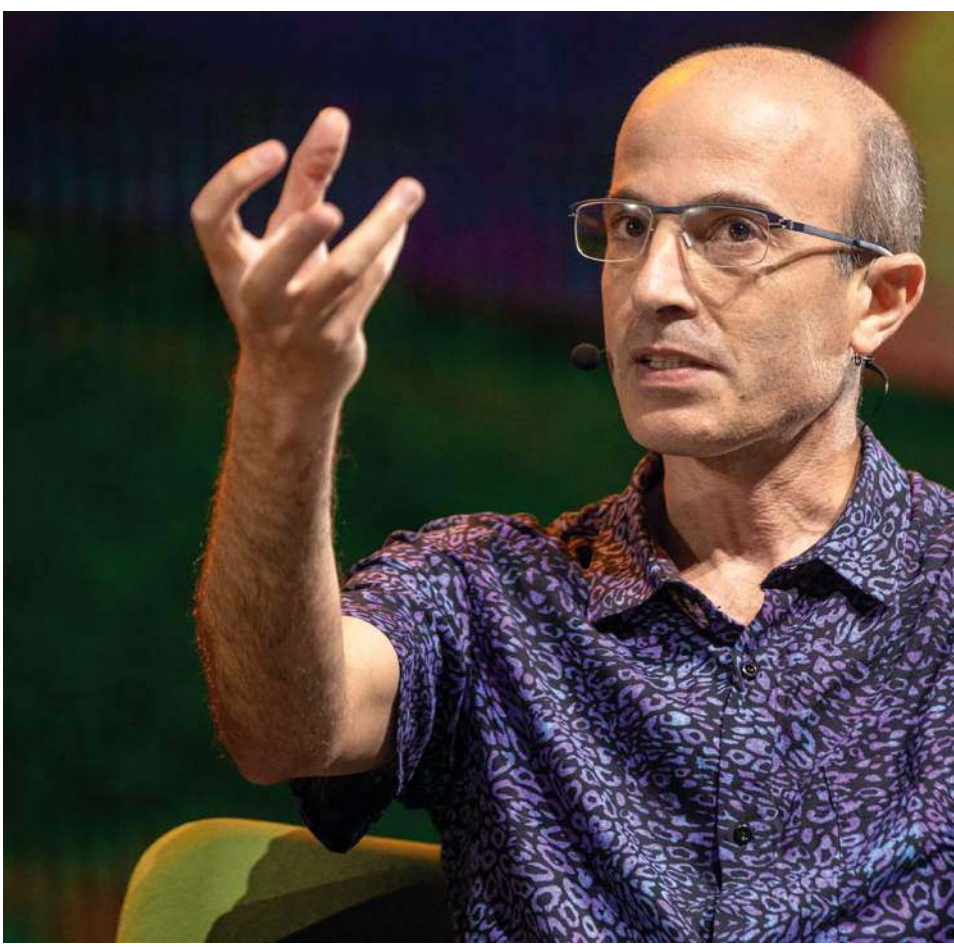

Izraelski historyk Yuval Noah Harari to jeden z najbardziej poczytnych pisarzy na świecie, sprzedający swoje książki w dziesiątkach milionów egzemplarzy. W odróżnieniu od innych autorów bestsellerów, takich jak Stephen King czy J.K. Rowling, jego prace nie mają za zadanie dostarczać rozrywki, lecz posiadają ambicje zmieniania świata. Co charakterystyczne, kierunek tych zmian pokrywa się z kierunkiem wytyczanym przez globalną oligarchię. Multimiliarderzy, tacy jak Bill Gates czy Mark Zuckerberg, nie ukrywają, że są zachwyceni wizją świata przedstawianą w dziełach Harariego. Szef Światowego Forum Ekonomicznego Klaus Schwab uczynił go nawet swoim doradcą, przez co izraelski historyk doczekał się w niektórych kręgach miana „Dana Browna wielkiego resetu", choć bywa też nazywany głównym ideologiem i guru globalizmu.

W ŚWIECIE ZŁUDZEŃ

47-letni Harari urodził się w niereligijnej rodzinie żydowskiej. Studiował historię na Uniwersytecie Hebrajskim w Jerozolimie, doktoryzował się w Oksfordzie, a później odbył studia podoktoranckie jako stypendysta Fundacji Rothschildów. Jest zdeklarowanym gejem pozostającym w związku z innym homoseksualistą. Ponieważ z partnerem nie mogli sformalizować swojej relacji w Izraelu, wzięli ślub w Kanadzie. Harari przedstawia się jako buddysta, oddający się technice medytacyjnej vipassana, która oznacza „wgląd", czyli postrzeganie świata takiego, jakim jest w istocie.

W swoich książkach prezentuje się więc jako mędrzec, który posiadł wgląd w istotę świata i dzieli się z czytelnikami wiedzą o tym, jak wygląda prawda o człowieku, ludzkości, historii i przyszłości. Największą sławę przyniosły mu zwłaszcza dwie prace: „Sapiens. Od zwierząt do bogów" oraz „Homo deus. Krótka historia jutra". Autor sta-

Fot. Shutterstock/East News

eprasa.pl 70b088b833

wia w nich tezę, że jako ludzie jesteśmy tylko zwierzętami, które niezbyt odróżniają się od innych istot człekokształtnych oraz pozostałych ssaków, jednak posiadają wyjątkową zdolność, jaką jest umiejętność współpracowania w dużych grupach. Spośród innych zwierząt wyróżnia nas to, że potrafimy wymyślać nieistniejące rzeczywistości, takie jak np. religia, naród, pieniądz. Wszystko to jest fikcją wynikającą z funkcjonowania w świecie złudzeń, a więc w czymś, co w języku buddyjskim nazywa się „maja".

WOLNA WOLA JAKO MIT

Dla Harariego mitem jest także istnienie wolnej woli. W jednym z wywiadów z charakterystyczną dla niego pewnością siebie izraelski historyk ogłasza: „Wolna wola nie jest rzeczywistością naukową. To mit odziedziczony po teologii chrześcijańskiej. Teologowie rozwinęli ideę wolnej woli, by wyjaśnić, dlaczego Bóg słusznie karze grzeszników za ich złe wybory i nagradza świętych za ich dobre wybory. Jeśli nasze wybory nie są dokonywane dobrowolnie, to dlaczego Bóg miałby nas za nie karać lub nagradzać?"

W rzeczywistości Harari myli się. To nie chrześcijaństwo wynalazło pojęcie wolnej woli oraz ideę kary za zło i nagrody za dobro. Są one znacznie starsze niż Nowy Testament. Odnaleźć je można choćby w dziełach Platona czy Arystotelesa. Są też obecne w religiach transcendentalnych, filozofiach panteistycznych i systemach ateistycznych. Na nich opierał się i nadal opiera cały system prawny we wszystkich państwach wszystkich czasów. Inaczej nie byłoby sądów ani więzień.

Skoro nie ma wolnej woli, ponieważ nie da się jej dowieść metodami naukowymi, tak samo nie mają prawa istnieć piękno czy miłość. I rzeczywiście, zdaniem Harariego są to tylko produkty naszych uczuć, które pozostają „algorytmami biochemicznymi", a tymi da się sterować dzięki odkryciom naukowym.

PROROK TRANSHUMANIZMU

Według izraelskiego historyka nauka otwiera dziś przed ludzkością nowe możliwości, dając do ręki człowiekowi niemal boskie moce, łącznie z powoływaniem do życia nowych istot, np. w postaci hybryd ludzko-cyfrowych. Ma się to dokonać dzięki zastosowaniu innowacji z takich dziedzin jak m.in. nanotechnologia molekularna czy neurofarmaceutyka. W tej wizji, zwanej transhumanistyczną, owe istoty miałyby przypominać cyborgi dysponujące np. interfejsami mózg-komputer lub wielofunkcyjnymi protezami. Dzięki genetycznemu projektowaniu ciał i sztucznej inteligencji ludzkość posiądzie jednak szansę osiągnięcia nieśmiertelności i doczesnej szczęśliwości. W tej perspektywie człowiek, który do tej pory sam podlegał ewolucji, może od tej pory zacząć kierować tym procesem ewolucji. Może być twórcą swojej własnej natury oraz jej praw.

Na tym zdaniem Harariego polega wyższość jego koncepcji nad chrześcijaństwem czy ideologiami takimi jak np. komunizm. Nauka Chrystusa obiecuje bowiem osiągnięcie stanu doskonałości dopiero po śmierci – w raju. Komunizm z kolei odsuwa moment stworzenia idealnego społeczeństwa w bliżej nieokreśloną przyszłość. Izraelski historyk mówi zaś, że stworzenie nowego człowieka może dokonać się tu i teraz – dzięki przekroczeniu barier, które do tej pory stawiała biologia. Innymi słowy: obiecuje budowę raju na ziemi.

W 2020 r. podczas Światowego Forum Ekonomicznego w Davos Harari mówił: „W nadchodzących dziesięcioleciach sztuczna inteligencja i biotechnologia dadzą nam boskie moce przeprojektowywania życia, a nawet tworzenia zupełnie nowych form życia. Po 4 mld lat kształtowania życia organicznego przez dobór naturalny wkraczamy w nową erę życia nieorganicznego, kształtowanego przez inteligentny projekt. Nasz inteligentny projekt stanie się nową siłą napędową ewolucji życia, a korzystając z naszych nowych boskich mocy stwarzania, możemy popełniać błędy na kosmiczną skalę".

LUDZIE ZBĘDNI

Harari zachowuje się tak, jakby znalazł uniwersalny klucz do zrozumienia i interpretowania całej rzeczywistości. To daje mu prawo do projektowania przyszłości, w której centralną rolę odgrywa fenomen ukrywający się za akronimem NBIC. Chodzi o syntezę nanotechnologii, biotechnologii, informatyki i kogniwistyki. Dzięki zdobyczom tych nauk możliwe stanie się połączenie ludzi z maszynami oraz stworzenie inteligentnych istot postludzkich. Dzięki temu wyeliminowane zostaną choroby i śmierć. Harari poucza: „My, ludzie, powinniśmy przyzwyczaić się do tego, że nie jesteśmy już tajemniczymi duszami – jesteśmy teraz zwierzętami, które można hakować. Tym właśnie jesteśmy". Za nieśmiertelność trzeba będzie jednak zapłacić cenę. W nowej rzeczywistości nieistotne staną się takie pojęcia, jak mężczyzna, kobieta, miłość, nienawiść i wiele innych.

Te wszystkie zmiany, które wieszczy Harari, będą miały także swoje

eprasa.pl 70b088b833

konsekwencje społeczne. Robotyzacja i sztuczna inteligencja zastąpią pracę człowieka i sprawią, że większość ludzi stanie się bezużyteczna. Zatrudnienie znajdzie jedynie wysoce wyspecjalizowana klasa techniczna. Reszta zasili grono ludzi zbędnych, którzy sfrustrowani tym, że są niepotrzebni, mogą stać się siłą rewolucyjną. Dlatego najlepszym sposobem na spacyfikowanie ich nastrojów będzie danie im możliwości korzystania z rozbudowanego systemu rozdawnictwa. W dłuższej perspektywie z kolei będzie konieczne ograniczenie liczby ludności na naszej planecie, ponieważ – jak mówi izraelski historyk – „po prostu nie potrzebujemy zdecydowanej większości populacji".

ROSYJSKIE PIENIĄDZE NIE ŚMIERDZĄ

Według Harariego miejscami, w których wykuwa się obecnie przyszłość świata, są wydziały gender na wyższych uczelniach. To, co tam się dzieje, może pomóc nam zrozumieć rewolucję, która nastąpi w najbliższych dekadach. Transpłciowość jest bowiem zapowiedzią transhumanizmu. Płynna tożsamość zakłada, iż jesteśmy w stanie „samokonstruować" siebie tak, jak tylko tego zechcemy. Dziś człowiek wyzwala się z ograniczeń własnej płci, by jutro wyzwolić się z ograniczeń własnej istotowości gatunkowej. W obu przypadkach mamy do czynienia z antropologią nieograniczoną, czyli przekonaniem, że człowiek nie jest ograniczony ani prawdą obiektywną, ani wartościami uniwersalnymi, ani prawem naturalnym – jest zatem wszechmocny.

Nic zatem dziwnego, iż Harari ubolewał, że na uniwersytetach w Rosji studia gender są zakazane, a samego Putina krytykował jako dyktatora. W tym kontekście niezwykle ciekawie brzmi wiadomość, że kiedy wydawał w Moskwie książkę „21 lekcji na XXI wiek", wyraził zgodę na ingerencje rosyjskiej cenzury w swój tekst. W oryginalnej wersji w rozdziale „Postprawda" jako przykład zakłamanej narracji opisywał opowieści kremlowskiej propagandy o inwazji na Ukrainę i okupacji Krymu, co usunął w wydaniu rosyjskim, zamieniając Putina na Trumpa. W anglojęzycznym wydaniu na krawędzi dyktatury miała znaleźć się Rosja, która w moskiewskiej edycji została podmieniona na Węgry. Ukraiński publicysta Witalij Portnikow skwitował postawę globalnego autorytetu moralnego stwierdzeniem, że dzięki umowie Harariego z Rosjanami możemy wyciągnąć 22. lekcję na XXI w., która mówi, że rosyjskie pieniądze nie śmierdzą.

> Według izraelskiego historyka nauka otwiera dziś przed ludzkością nowe możliwości, dając do ręki człowiekowi niemal boskie moce, łącznie z powoływaniem do życia nowych istot, np. w postaci hybryd ludzko-cyfrowych

NOWY RAJ LUB NOWE PIEKŁO

Autor „Homo deus" dostrzega też jednak zagrożenia związane z rozwojem technologicznym. Jak mówił w Davos: „Jeśli wystarczająco dobrze znasz biologię i masz odpowiednią moc obliczeniową i dane, możesz zhakować moje ciało, mózg i życie, a także zrozumieć mnie lepiej niż ja sam. Możesz poznać mój typ osobowości, moje poglądy polityczne, moje preferencje seksualne, moje słabości umysłowe, moje najgłębsze lęki i nadzieje. Poznasz mnie lepiej niż ja sam. I możesz to zrobić nie tylko ze mną, ale z każdym. System, który rozumie nas lepiej niż my sami, może przewidywać nasze uczucia i decyzje, może nimi manipulować, a ostatecznie może podejmować decyzje za nas".

Zdaniem Harariego istnieje więc niebezpieczeństwo powstania cyfrowych dyktatur, które mogą stworzyć najgorszy reżim totalitarny w historii ludzkości. Mimo to uważa, że ludzkość nie może cofnąć się w swoim rozwoju i jest skazana na świat, w którym decyzje będą podejmować za nas algorytmy. Jak mówi: „Bliźniacze rewolucje w infotechnologii i biotechnologii dają obecnie politykom środki na stworzenie raju bądź piekła, ale filozofowie mają problem z konceptualizacją tego, jak będą wyglądać nowy raj i nowe piekło. I jest to sytuacja bardzo niebezpieczna. Jeśli nie zdołamy wystarczająco szybko wyobrazić sobie nowego raju, możemy łatwo zostać wprowadzeni w błąd przez naiwne utopie. A jeśli nie uda nam się wystarczająco szybko wyobrazić sobie nowego piekła, możemy zostać w nim uwięzieni bez wyjścia".

Odpowiadając na tak postawione wyzwanie, Harari tworzy więc własną koncepcję nowego raju. Nie zauważa jednak przy tym, jak cienka granica jest między tymi, którzy projektują raj na ziemi, a tymi, którzy chcą nam zgotować piekło. To stara gnostycka pokusa, w której pobrzmiewa dalekie echo słów z Księgi Rodzaju: „Będziecie jak bogowie". Izraelski historyk mówi wprost, że w jego wizji człowiek ma posiąść boskie prerogatywy. Oczywiście nie każdy człowiek. Na pewno nie ludzie zbędni. Nieśmiertelność i doczesna szczęśliwość – jak wyobraża ją sobie Harari – nie mogą być dostępne dla wszystkich, lecz tylko dla tych, którzy będą mieli dostęp do technologii i pieniędzy.

Ta wizja trafia szczególnie do przekonania miliarderom, np. z branży Big Tech, którzy nie wierzą w Boga, ale potrzebują jakiegoś surogatu religii i czepiają się oferowanej im nadziei na życie wieczne. Nic dziwnego, że wielu właścicieli i dyrektorów z Doliny Krzemowej jest fanami Harariego i entuzjastami transhumanizmu. Finansują oni badania, których celem jest stworzenie wspomnianych istot postludzkich. Historia uczy jednak, że nie da się bezkarnie gwałcić natury i wcześniej czy później zemści się ona na inżynierach społecznych projektujących kolejny nowy wspaniały świat.

eprasa.pl 70b088b833

Obserwując alianse na salonach europejskiej lewicy, można wywnioskować, że dawne wezwanie z Manifestu komunistycznego: „Proletariusze wszystkich krajów, łączcie się!", niepostrzeżenie zmieniło się w hasło: „Progresiści wszystkich krajów, łączcie się!"

Sojusznicy prezydenta polskiej stolicy

MAŁGORZATA WOŁCZYK

Tym razem jednak bratanie się sił postępu następuje pod flagą unijną, czasem też tęczową, choć zdarzają się wciąż spotkania pod flagą z sierpem i młotem, co ma miejsce zwłaszcza w Hiszpanii, rządzonej przez koalicję socjalistów z komunistami. Progresistowscy liderzy europejscy, w tym prezydenci wielkich miast, nauczyli się też obowiązkowej nowomowy, bo – jak się okazało – znów żyjemy w „określonej epoce", choć niestety brak nam nowego Barańczaka, który umiałby opisać współczesny fenomen w jakimś przewrotnym wierszu.

Rafał Trzaskowski jako prezydent Warszawy, a także przewodniczący Komisji Środowiska, Zmian Klimatu i Energii w Europejskim Komitecie Regionów, włada nowomową w sposób wyborny, z wprawą żonglując frazami, którymi na co dzień przemawia też najbardziej skrajna lewica europejska, zatroskana o „populistyczny nacjonalizm" „ubóstwo energetyczne mas" czy „sprawiedliwą transformację dla wszystkich".

LEWICA NAGRADZA SWOICH

Nie dziwi więc zupełnie, że stachanowską pracę Trzaskowskiego na rzecz nowego, lepszego świata w ponoć konserwatywnie zapyziałej Polsce, doceniają lewicowe gremia Europy. Oto dowiadujemy się, że w końcówce maja Trzaskowski odbierze wyróżnienie The European Construction Award of the Economic Circle w Barcelonie. Gdy sięgnąć po oryginalne tłumaczenie z ojczyzny kapituły tej nagrody, czyli Katalonii, wyłania się nazwa już brzmiąca bardziej swojsko: Europejska Nagroda dla Integracji od Koła Ekonomistów. Chodzi bowiem o instytucję założoną w 1958 r.

Fot. Pablo Barrera/Anadolu Agency via AFP/East News

eprasa.pl 70b088b833

przez frankistowskich przedsiębiorców o nazwie Cercle d'Economia, która w demokracji przedzierzgnęła się nagle w proeuropejskie i liberalno-lewicowe stowarzyszenie elit gospodarczych i politycznych Katalonii. Przed prezydentem Warszawy nagrodę zdążyli już odebrać Mario Draghi i Ursula von der Leyen.

Jak dowiadujemy się z oficjalnego przekazu: „Kapituła postanowiła uhonorować prezydenta Warszawy Rafała Trzaskowskiego za zaangażowanie w integrację europejską, prowadzoną przez niego politykę na rzecz przyjmowania uchodźców, wspieranie praw mniejszości i obronę praworządności w Polsce. [...] Urodzony w 1972 r. Rafał Trzaskowski jest aktywnym polskim politykiem, który w ostatnich latach wyróżnił się w obronie europejskich wartości i praworządności w wyjątkowo złożonym kontekście politycznym i instytucjonalnym. Trzaskowski jako prezydent Warszawy wielokrotnie potwierdził swoją europejskość. Już w 2019 r. wraz ze swoimi odpowiednikami z miast Grupy Wyszehradzkiej (Pragi, Budapesztu i Bratysławy) podpisał manifest potępiający ksenofobiczny nacjonalizm ich rządów i opowiadający się za »paktem wolnych miast«. Wraz z wojną na Ukrainie i exodusem ludności spowodowanym inwazją rosyjską Trzaskowski okazał się zwolennikiem przyjmowania uchodźców i wspierania polityki prowadzonej przez UE".

Wygląda więc na to, jakby Trzaskowski skłonił lub zobowiązał miasto i mieszkańców, by zachowali się według wskazań unijnej polityki imigracyjnej, a bez niego nie zaistniałby żaden zbiorowy zryw i odruch serca milionów Polaków, wspierany od początku przez aktywną postawę rządu. My, warszawiacy, którzy jak niżej podpisana pojechaliśmy nad granicę, by przywieźć do domu kobiety z dziećmi – nie oglądaliśmy się wcale na to, co miał nam do powiedzenia Rafał Kazimierz Trzaskowski zza biurka w warszawskim ratuszu. Sprawą oczywistą jest też to, że stolica kraju musiała podołać nowemu wyzwaniu, tak samo jak zrobiły to Przemyśl, Radom czy inne miasta. Nagradzanie Trzaskowskiego za jakoby wybitne zasługi w otwarciu się na falę uchodźców jest nadużyciem, a gratyfikacja spływa na niego przede wszystkim za dwie inne wspomniane zasługi, a więc aktywną walkę z konserwatywnym rządem i wspieranie praw kolektywu LGBT+. Z całą pewnością, gdy Trzaskowski będzie odbierał nagrodę w zapowiadanej uroczystości trwającej od 29 do 31 maja w Barcelonie, nie omieszka wspomnieć o swojej krucjacie w obronie europejskich wartości, czyli mówiąc prawdę – o działaniach na rzecz narzucania lewicowej agendy na podobieństwo zachodnich miast przeobrażonych w enklawy progresywizmu.

BARCELONA – MIASTO PRZEMOCY

Jest niezwykle wymowne, że Trzaskowski otrzyma nagrodę z rąk katalońskiej elity w mieście przeżywającym schyłek za sprawą rządzącej burmistrz Ady Colau ze skrajnie lewicowej partii Comú. To ważne wiedzieć, do jakich wzorców aspiruje prezydent Warszawy i z kim rozwija partnerskie więzi w ramach C40 Cities. To Ada Colau, znienawidzona przez sporą część Hiszpanów za fatalną politykę, nieskrywany antysemityzm, jest europejską wiceprzewodniczącą Rady Dyrektorów C40 Cities – sieci zrzeszającej główne miasta na świecie zaangażowane w walkę z kryzysem klimatycznym. Kto z Polaków podróżował do Barcelony regularnie przez ostatnią dekadę, podpisze się pod słowami Santiago Abascala, lidera partii Vox (sojusznika PiS w EKR), który kilka dni temu na wiecu w Barcelonie powiedział: „Ada Colau zrujnowała miasto i uplasowała je na szczycie najbardziej niebezpiecznych. Stworzyła miasto, w którym właściciele mieszkań mają mniej praw niż ci, którzy okupują je nielegalnie. Miasto, w którym mieszkańcy Barcelony mają mniej praw niż nielegalni imigranci i przestępcy, uniemożliwiający turystom spokojny odpoczynek. Ci komunistyczni obłąkańcy chcieli uwolnić Barcelonę od turystów, jakby turystyka była jakąś karą, a okazało się, że – owszem – uwolnili Barcelonę od turystów, ale tylko po to, by oddać ją w ręce przestępców z nożami, mafii okupas i hołoty od zbiorowych gwałtów".

Oczywiście w głowie przeciętnego i często zakompleksionego Polaka Barcelona wciąż kojarzy się z pięknym wybrzeżem, dziełami Gaudiego, luksusem i klubem piłkarskim zasilonym naszym najlepszym napastnikiem. Zresztą sam Lewandowski w pamiętnym pościgu za kibicem z Barcelony, który ukradł mu patka wartego 70 tys. euro, może zacząć przemawiać do wyobraźni jako dobitny przykład powszechnej w mieście przestępczości. Tym samym Lewandowski dołączył do długiej listy światowych gwiazd sportu okradzionych w ostatnim czasie w Barcelonie, począwszy od pierwszego pilota Formuły 1 Sebastiana Vettela przez najbardziej znanych piłkarzy, po tenisistę Grigora Dimitrova, okradzionego miesiąc temu.

Jeśli więc Trzaskowski i ludzie Platformy chcą nas zbliżać do „wartości europejskich", są winni Polakom całą prawdę. Prawda jest zaś widoczna gołym okiem dla każdego, kto bywa w Barcelonie, porównywanej już do francuskiej Marsylii czy belgijskiego Molenbeek. Fakt otwarcia się na imigrację z państw Maghrebu nie czyni Europę bardziej multikulturalną, ale paradoksalnie powoduje powstanie nowego Maghrebu w Barcelonie, Marsylii czy Paryżu. Integracja z Europą na zasadach proponowanych przez lewicę oznacza wzrost prześladowań dla osób LGBT+ i przemoc wobec kobiet ze strony imigrantów z krajów muzułmańskich. Nieważne, ile razy lewica wypnie pierś, uważając się za obrońcę praw człowieka, matematyka udowadnia, że tam, gdzie rządzi lewica, najszybciej są tłamszone swobody obywatelskie i podstawowe prawa.

Przeprowadzona w 2022 r. ankieta na 20 tys. mieszkańcach Barcelony powinna być zimnym prysznicem dla władz miasta, skoro 82 proc. ankietowanych uznało miasto za niebezpieczne, a 49 proc. za bardzo brudne. Ale to ledwie impresje przy twardych danych z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, które ogłosiło, że liczba kradzieży w Barcelonie wzrosła o prawie 70 proc. w porównaniu z rokiem poprzednim, rozbojów z użyciem przemocy i zastraszania o ponad 40 proc., zamieszek ulicznych zaś o 69 proc. Krótko mówiąc, wzrost przestępczości w Barcelonie wynosi ok. 40 proc. w porównaniu z rokiem poprzednim. Porównajmy to z rosnącym poczuciem bezpieczeństwa wśród Polaków mimo masowego napływu Ukraińców, którzy w przeciwieństwie do „nachodźców" szanują nasze prawa, bo po prostu wywodzą się z tego

eprasa.pl 70b088b833

samego kręgu kulturowego. Tymczasem za sprawą polityki otwartych drzwi dla imigrantów w Katalonii objawił się nieznany wcześniej fenomen „kultury maczety" (lub noża), nie wspominając o danych na temat przemocy seksualnej, w której przoduje ten region.

KATALONIA – ULUBIONY KIERUNEK MUZUŁMANÓW

Wskutek jawnej chrystofobii obecnych katalońskich władz i promowania napływu imigrantów z tzw. religii pokoju, w Katalonii jest ponad 280 ośrodków modlitewnych (oratoriów), w tym trzy duże meczety. W Katalonii mieszka ponad 2 mln muzułmanów, czyli ponad 80 proc. wszystkich muzułmanów w Hiszpanii. Władze regionu mają świadomość, że ogromna większość społeczności muzułmańskiej to salafici, czyli muzułmanie, którzy promują radykalne idee islamu. Wszyscy pamiętamy zamach islamski na La Rambla w Barcelonie w 2017 r., gdy wskutek okrutnej szarży furgonetki zginęło 16 osób. To wszystko jednak zdaje się nie mieć wpływu na zdolność wyciągania wniosków przez włodarzy Barcelony. Uwielbiają oni bowiem wszelkie akty prowokacji wobec katolików i dlatego w przedświątecznym okresie często wybuchają skandale związane z obrazą uczuć katolików.

Ciekawe, jak zareagowałby prezydent Trzaskowski, gdyby powtórzyła się sytuacja znana z innego wręczenia nagród w ratuszu Barcelony. W 2016 r. poetka Dolors Miquel recytowała w obecności prezydent Colau bluźnierczą wersję „Ojcze nasz" z fragmentami typu: „Niech będzie uświęcona twoja cipka", „Bądź wola twoja w mojej macicy" itd. I tylko członkowie prawicowej partii opuścili salę ratusza w geście sprzeciwu. Niemal co roku katolicy oczekują z trwogą kolejnej szopki miejskiej, która już przybierała postać kupy śmieci w kartonowych pudełkach lub instalacji z trzema krzesłami symbolizującymi Świętą Rodzinę. Takie są również przejawy europejskich wartości, do których praktykowania chce nas zmusić UE i jej wierni wysłannicy w ratuszu warszawskim.

GŁĘBSZA INTEGRACJA W DRODZE DO UTOPII

Nawoływania do niekończącej się głębszej integracji z UE – do czego namawia Trzaskowski i za co zostanie nagrodzony w Barcelonie – oznacza dla Polski bezwzględną akceptację założeń głównego nurtu, a więc lewicowej tyranii, która skolonizowała UE (przynajmniej do czasu nowych wyborów). Notoryczne i celowe mylenie eurosceptycyzmu ze sceptycyzmem wobec radykalnych rozwiązań technokratów unijnych jest celowym zagraniem opozycji. Trzaskowski, zwłaszcza od kiedy został nowym przewodniczącym Komisji Środowiska, Zmian Klimatu i Energii w Europejskim Komitecie Regionów, poczuwa się do misji osiągnięcia neutralności klimatycznej w ramach C40 Cities. W lutym na twitterowym profilu C40 pojawił się wpis zapowiadający start programu pilotażowego, w którym udział weźmą Barcelona, Mediolan i Warszawa. My, warszawiacy, wprost uwielbiamy totalitarne eksperymenty, tak mało ich przeszliśmy na własnej skórze, że doprawdy jeden mniej lub więcej – jak widać – nie zawadzi. Co ciekawe, Mediolan jest w rękach prezydenta Giuseppe Sala z lewicowej Europa Verde (Zielonej Europy), Barcelona w rękach wspomnianej Ady Colau z lewackiej Comú, więc pogratulować partnerów strategicznych.

> My, obywatele Warszawy, naprawdę nie potrzebujemy powtórki eksperymentów z dekadenckiej Barcelony, rozdartej fanatyzmem klimatycznym, obsesją separatyzmu i chrystofobią. „Progresiści wszystkich krajów, łączcie się", ale bez nas

Na stronach urzędu miasta Warszawy znajdujemy pochwały wobec projektu miasta 15-minutowego, a zachwalana idea jest wspierana przykładem Barcelony. Celem jest jakoby poprawa jakości życia obywateli dzięki temu, że wszystkie usługi publiczne i prywatne znajdą się w odległości kilku minut spacerem lub rowerem od miejsca zamieszkania. Nikt nie wspomina jednak, że wielką obawą Hiszpanów jest wizja zamykania ludzi w gettach, tym bardziej że przedsmak mieli w czasie pandemii, gdy Hiszpania rządzona przez lewicę egzekwowała najbardziej radykalny lockdown.

Autor projektu 15-minutowych miast, prof. Carlos Moreno, sam przyznał, że otrzymywał obelgi i groźby śmierci podczas ostatniego pobytu w Hiszpanii. Media polskiego mainstreamu jakoś nie wspominają, że tenże projektant lepszej przyszłości w wieku 20 lat uciekł i schronił się we Francji, po tym jak przynależał do lewicowych, terrorystycznych oddziałów M-19 w Kolumbii. Jego projekt zrównoważonego rozwoju to chimera. Żadne miasto nie może być samowystarczalne energetycznie. Eksperci z barcelońskiej Área Metropolitana po przeprowadzeniu stosownych obliczeń doszli do wniosku, że w przypadku przeznaczenia nawet 100 proc. budynków w stolicy Katalonii na fotowoltaikę gmina nadal musiałaby importować nieco ponad 90 proc. energii, którą zużywa codziennie. A przecież mowa o jednym z najbardziej nasłonecznionych miast Europy. Utopijna idea Moreno jest promowana nie tylko przez ratusz Warszawy, lecz także urbanistkę, architekta i aktywistkę Magdalenę Milert, która stawia m.in. Barcelonę za wzór i żali się, że polskim władzom brakuje stanowczości. I całe szczęście...

Z całą pewnością tego wzmożenia nie brakuje Trzaskowskiemu i jego partyjnym kolegom, którzy – jak widać – już stoją w blokach startowych, by wcielać i kopiować pomysły lewicowego establishmentu. „Ciągnie swój do swego" – jak mawia mądrość ludowa. Tyle że my, obywatele Warszawy, naprawdę nie potrzebujemy powtórki eksperymentów z dekadenckiej Barcelony, rozdartej fanatyzmem klimatycznym, obsesją separatyzmu i chrystofobią. „Progresiści wszystkich krajów, łączcie się", ale bez nas.

eprasa.pl 70b088b833

Trump idzie po Biały Dom

Donald Trump zdecydowanie może cytować Marka Twaina: „Pogłoski o mojej śmierci były przesadzone" albo kultową kwestię Schwarzeneggera z „Terminatora 3": „I'm back"

DARIUSZ MATUSZAK

Mimo ponawianych przez demokratów i część republikanów prób przebicia Trumpa osinowym kołkiem ostatecznego złożenia do grobu, na półtora roku przed wyborami prezydenckimi to właśnie on wyrasta na największego faworyta do zwycięstwa. Jakby się żywił pozwami, oskarżeniami o wszystko i cokolwiek, pomówieniami, skandalami.

Już najazd FBI na rezydencję Trumpa w Mar-a-Lago w sierpniu 2022 r. w poszukiwaniu dokumentów wyniesionych z Białego Domu – przeglądano nawet szuflady z bielizną Melanii – przyniósł sygnały, iż część publiczności postrzega te działania jako chęć wyeliminowania go z wyścigu o prezydenturę. Wtedy pojawiło się teoria, że demokraci robią z niego męczennika, by to on – łatwy do pokonania – został kandydatem republikanów w wyborach 2024 r. Niezależnie od interpretacji pojawiły się kolejne zarzuty i szykany, głównie ze strony prokuratora stanu Nowy Jork Alvina Bragga, który zarzuca Trumpowi machinacje finansowe w czasie kampanii 2016 r. Podobno/jakoby/na pewno Trump miał romans cielesny z pokazującą się w filmach porno Stormy Daniels i zapłacił jej za milczenie. Ponieważ stało się to w czasie oficjalnej kampanii wyborczej, to według prokuratora powinien to zrobić z pieniędzy na kampanię, a nie prywatnie przez prawnika.

Wróciła też sprawa napaści seksualnej, której miał się dopuścić w 1996 r. w przymierzalni domu handlowego Bergdorf Goodman w Nowym Jorku na 80-letniej dziś pisarce Jeanne Carroll. Początkowo oskarżenie dotyczyło gwałtu, ale sąd uniewinnił go w tej sprawie i skazał jedynie na zapłacenie ofierze 5 mln dol. za napaść i zniesławienie. To ostatnie polegało na tym, że mówił, coś w stylu: „Stara kobieta wszystko zmyśliła, by lepiej sprzedać swoją książkę. To wariatka".

Liczba kobiet, które przyznają się albo chwalą, że miała z nim do czynienia, rośnie z roku na rok. A to kogoś napadł w klubie, a to w windzie, a to na przyjęciu itd. Trump – nowojorski playboy, imprezowicz – święty nie był. Takich spraw obyczajowych, finansowych, dotyczących prezydentury jest więcej i by je wyjaśnić, należałoby każdej poświęcić odcinek serialu. Wspominam niektóre, by było wiadomo, w jakim świecie – niemal jak z „Procesu" Kafki – Trump walczy o Biały Dom.

W przypadku amerykańskiej polityki, a już zwłaszcza Trumpa, jednak nic nie jest tym, czym się jawi, czego dowodem jest opublikowany właśnie raport prokuratora i specjalnego doradcy Departamentu Sprawiedliwości Johna Durhama, dotyczący rzekomej współpracy Trumpa z Rosjanami w czasie kampanii prezydenckiej 2016 r. Dokument jest miażdżący dla służb, Baracka Husseina Obamy, Joe Bidena i byłej kandydatki Hillary Clinton. Zespół Durhama na 300 stronach opisuje blagę, oszustwo i wskazuje, że Obama i jego wiceprezydent Biden, FBI i CIA wiedzieli, iż wszystko jest zmyślone, spreparowane przez sztab wyborczy Clinton we współpracy z mediami i służbami. Oczywiście demokraci twierdzą, że prokurator chce wybielić Trumpa, a ich i Bidena fałszy-

Fot. Lev Radin/Shutterstock.com

eprasa.pl 70b088b833

wie oskarżyć. Republikanie i sam Trump wzywają do powołania specjalnej komisji w Kongresie oraz śledztwa w sprawie działań FBI i administracji Obamy.

I tak to będzie trwało, cykl wzajemnych oskarżeń może nigdy się nie skończyć i nikt nie będzie wiedział, jak było naprawdę, bo coraz mniej ludzi ufa instytucjom publicznym, mediom, politykom. Pewne jest tylko to, że demokraci nie ośmielą się twierdzić, że Trump został prezydentem dzięki Putinowi. Raport Durhama nie tylko uwalnia Trumpa od zarzutów knowań z Rosjanami, lecz także w jakimś sensie uwiarygodnia jego twierdzenia o skradzionych wyborach 2020 r. Pokazuje, do jakich działań mogą się posunąć rywale polityczni – demokraci.

WIERCIŁBYM, KOCHANIE, WIERCIŁ

Stwierdzenie, że w przypadku amerykańskiej polityki i Trumpa nic nie jest tym, na co wygląda, nie odnosi się tylko do wszechobecnych kłamstw, intryg, lecz także do tego, że polityka to show, a największą gwiazdą jest właśnie „pomarańczowy Donald". Szorujące po dnie oglądalności CNN zaskoczyło wszystkich, realizując program z Trumpem w formacie tzw. town hall – miejskiej sali. Spektakl na żywo, przy publiczności, która zadaje pytania. Coś jak „Strefa starcia" z TVP Info, tyle że nie w studiu, ale w prawdziwej sali w jakimś mieście – w tym przypadku w Goffstown w New Hampshire. Prowadzącą była młoda, ale doświadczona, atrakcyjna gwiazda CNN Kaitlan Collins. Wybór nie był przypadkowy: piękna, inteligentna kobieta kontra stary playboy, arogancki polityk.

Co mogło pójść nie tak? Wszystko. Na nic mizdrzenie się, reżyseria, zastawiane pułapki. Dla stacji darzącej Trumpa odwzajemnioną nienawiścią spektakl zakończył się katastrofą, a dla niego triumfem, który w sieci obejrzała cała Ameryka. Zaczęło się od przywitania – złożona z republikanów i niezależnych wyborców publika zgotowała mu owację na stojąco. A dalej Trump już tylko powiększał przewagę i to on robił program, a nie CNN. Nie ma znaczenia, jakie były pytania i odpowiedzi. Wspomnę tylko, że podtrzymał swoje twierdzenia, że wybory 2020 r. zostały sfałszowane, że miał więcej głosów niż jakikolwiek urzędujący prezydent w historii, że gospodarka kwitła. W przypadku Trumpa istotne jest nie to, co mówi, ale jak. Najlepiej oddaje to odpowiedź na pytanie, jaka byłaby jego pierwsza decyzja dotycząca niebotycznych cen energii. „Zacząłbym wiercić, kochanie, wiercić" – odpowiedział pani z publiczności. To odniesienie do zablokowanych przez Bidena programów wydobycia paliw, ich przesyłu, co wywołało wielki wzrost cen energii i złożyło się na największą od ponad 50 lat inflację. Trump rozwinął kwestię gospodarczą, ale zdanie „Wierciłbym, kochanie" pokazuje jego styl: swobodny, poufały, skracający dystans, z łatwością dotykający sedna spraw. Bezpośredniość bywa nie tylko przyjazna, lecz także brutalna. Piękna panna Collins usłyszała od starego dziada, że jest wredna. Największym upokorzeniem dla CNN były jednak wyniki oglądalności. Trump przyciągnął 3,3 mln widzów – 8–9 razy więcej niż przeciętnie stacja w najlepszej porze. Następnego dnia w tych samych godzinach CNN zgromadziło tylko 335 tys. widzów.

SERCE I ROZUM AMERYKI

To ważne kwestie, których nie rozumieją polscy, europejscy politycy i eksperci od USA. Z całym szacunkiem dla premiera Morawieckiego, ambasadora Magierowskiego, gen. Andrzejczaka, którzy zaliczyli znakomite występy w CNN czy MSNBC, ale to są niszowe stacje. Do serc i głów Amerykanów trafia się przez Fox News, podcasty, programy w sieci, które gromadzą po kilka razy więcej odbiorców niż upadające CNN. Jeśli chce się mówić do dziennikarzy i polityków, to CNN jest dobrym miejscem. Ale jeśli chce się przekonać Amerykanów, by zmusili swoich reprezentantów do tego, by USA niosły pomoc Ukrainie, stawiały na Polskę, to tym miejscem jest Fox News i wszystkie te często obywatelskie redakcje, programy w sieci i tzw. stacje syndykatowe (syndicated), skąd wyszły największe gwiazdy Fox News, konserwatyści jak Sean Hannity czy Tucker Carlson. Ten ostatni właśnie został zwolniony, z czego w Polsce się cieszono, bo był zawziętym i pod tym względem głupim krytykiem pomocy Ukrainie. Nie wiem, czy polska dyplomacja podejmowała próby przekonania tego najważniejszego komentatora Ameryki do naszej i ukraińskiej sprawy, ale praca z amerykańską prawicą, z republikanami to wielkie zadanie. Pomoc dla nas, dla Ukrainy nie może zależeć od koniunktury politycznej w USA.

NIEWYBIERALNY FAWORYT

I tu wracamy do Trumpa. Wizja jego ponownej prezydentury nie wywołuje w Polsce paniki, jak to się dzieje w Unii. Europoseł Guy Verhofstadt opublikował artykuł na portalu Euractiv i napisał: „Donald Trump z pewnością będzie republikańskim kandydatem na prezydenta USA w przyszłym roku. Perspektywę Trumpa 2.0 należy traktować poważnie". Trzeba się przed nim bronić, więc belgijski eurokrata wzywa do przekazania jeszcze większej władzy Brukseli, a nawet zniesienia krajowych wyborów do Parlamentu Europejskiego.

Unijny i amerykański establishment ma się czego bać – „szaleniec" znów w Białym Domu. Trump ma ponad 40 punktów przewagi nad najsilniejszym rywalem do prezydenckiej nominacji republikanów – gubernatorem Florydy Ronem DeSantisem, w którym upatrywano jego młodszej, lepszej wersji. Pozostali, jak były prezydent Mike Pence, się nie liczą. Ich poparcie nie przekracza 3 proc. A demokraci doczekali się „wymarzonego" rywala. Opublikowany jeszcze przed town hall sondaż stacji ABC i „The Washington Post" pokazuje, że 49 proc. respondentów zdecydowanie lub prawdopodobnie zagłosowałoby na Trumpa przeciwko Bidenowi, podczas gdy obecny prezydent w takim scenariuszu ma tylko 42 proc. To 7 punktów różnicy.

Eksperci z telewizorów, którzy twierdzili, że Trump jest niewybieralny, jak zwykle się mylą. Nie rozumieją współczesnej polityki i fenomenu byłego prezydenta. Jego siła tkwi nie tylko w rozsądnych poglądach, które establishment pogardliwie określa mianem chłopskiego rozumu, lecz także w osobowości. Zaczynamy żyć w epoce charyzmatycznych przywódców, ludzi z krwi i kości, co oznacza też pełnych wad. Obywatele mają dość aparatczyków, produktów marketingu politycznego, automatów, jak Merkel, Macron, Scholz, von der Leyen czy Draghi. Niezależnie od indywidualnych rozstrzygnięć coraz częściej wolą oni ryzyko z takimi jak Trump czy Meloni.

eprasa.pl 70b088b833

Gdy Ukrainiec spotyka polskiego leminga

Gdy przeciętny Ukrainiec spotyka polskiego antypisowca obie strony doznają lekkiego dysonansu, bo Polak słucha pochwał dla jego państwa, a Ukrainiec dziwi się, że tak życzliwy Kijowowi rząd miałby być prorosyjski

JAKUB AUGUSTYN MACIEJEWSKI

Przez 15 miesięcy od rosyjskiej inwazji granicę polsko-ukraińską przekroczyło aż 12 mln uchodźców. Część z nich pojechała dalej, część wróciła już dawno do swojej ojczyzny, ale od początku pełnoskalowej wojny przynajmniej 3 mln ukraińskich cywilów przebywa w naszym kraju w obawie przed wojną. To oznacza dziesiątki milionów spotkań, rozmów, wymiany zdań i światopoglądów, ale zderzenie cywilizacyjne przebiega gdzie indziej, niż wskazywałyby stereotypy. Bo to nie jest tak, że jakiś mityczny, zacofany Ukrainiec spotyka nowoczesnego Polaka, ale przeciętny uchodźca napotyka liberalnego mieszkańca dużych miast w Polsce. I to tutaj zaczyna się zderzenie.

UCHODŹCY W WIELKICH OŚRODKACH

Jak wynika z oficjalnych danych polskich samorządów, w samej Warszawie obecnie przebywa 100 tys. ukraińskich uchodźców, we Wrocławiu o połowę mniej, w Krakowie czy Poznaniu po blisko 30 tys. ludzi. Tyle oficjalne dane, bo wiele osób z Ukrainy po pierwszym szoku znalazło już pracę, usamodzielniło się i nie występuje w urzędowych statystykach otrzymujących pomoc dla uchodźców. Faktem jest jednak, że na polsko-ukraińskim styku często spotykają się „zwykły Ukrainiec" z „liberalnym Polakiem". Z tym samym, który po lekturze Onetu, „Gazety Wyborczej" i oglądaniu TVN wierzy, że PiS to rosyjska agentura, gdy zaś Ukraińcy widzą i są oszołomieni życzliwością nie tylko narodu polskiego, lecz także samego państwa i jego władz.

SZKOLENIE Z TOLERANCJI

Dmitrij np. sprowadził się do Warszawy tuż przed wojną i szybko znalazł pracę jako barista w jednej z popularnych kawiarni. Takiego typu lokale w stolicy to często

Fot. Piotr Kamionka/REPORTER/EastNews

eprasa.pl 70b088b833

także tęczowe placówki epatujące swoją tolerancją. Dla Dmitrija było szokiem, gdy menedżer zaprosił go na szkolenia z tolerancji. – Na zajęciach mówiono nam, że Polska jest najbardziej homofobicznym krajem w Europie – opowiada Dmitrij tygodnikowi „Sieci". – Ja o tym nie wiedziałem, bo na Ukrainie to za pomalowane paznokcie facet może dostać w zęby, a w Warszawie widać to często i nikomu się krzywda nie dzieje – zastanawia się chłopak.

Samo przekonanie polskich lemingów, że w Polsce gejom dzieje się krzywda, wynika m.in. z zakłamania aktywistów LGBT+. Taki np. raport ILGA-Europe mówi, że w Polsce gejom żyje się najgorzej na kontynencie, choć np. na Ukrainie jeden z samorządowców Kijowa pogardliwie opowiadał, że gejami trzeba palić w piecach. Ale nie, oficjalna narracja musi z Polski zrobić piekło dla mniejszości seksualnych. Dmitrijowi nie wyjaśniałem, jak jest naprawdę, pewnie nieraz zetknie się jeszcze z sytuacją, gdy będzie nasz kraj podziwiał wbrew obsesyjnym oszczerstwom części liberałów i lewicy.

Ukraińcy w tych sprawach mają bardziej konserwatywne podejście niż przeciętny mieszkaniec Warszawy. Ciekawym przypadkiem jest liberalne, rosyjskojęzyczne konto w serwisie Instagram, o nazwie warsaw.here. Oprócz ciekawostek o naszej stolicy, nowych atrakcjach w mieście jest tam dużo proliberalnego przekazu (promowanie Trzaskowskiego w wyborach prezydenckich) czy właśnie treści LGBT+. Gdy jednak na profilu pojawia się tęczowa propaganda, to rosyjskojęzyczni warszawiacy, przeważnie Ukraińcy ze wschodniej części kraju, wcale nie podzielają opinii administratora. Oto przykładowe komentarze na wpis, że Polacy sprzeciwiają się gejom: „Przypuszczam, że sprzeciwiają się tylko agresywnemu narzucaniu się" (nikolay_landau), „Ja nie mam z takimi Polakami do czynienia" (Andrzej Sforza), „To chyba w jakiejś równoległej galaktyce".

To podejście pokazuje ciekawe zderzenie – zwykli Ukraińcy, niezainfekowani „Gazetą Wyborczą" i TVN widzą dobrze prosperujący i tolerancyjny kraj, bardzo pomagający Ukrainie. Ale polscy gospodarze, często z poglądami przerobionymi przez hunwejbinów Michnika i Węglarczyka, próbują przekonać swoich gości ze Wschodu, że nad Wisłą to jest naprawdę bardzo, bardzo źle. Czy zdrowe i świeże spojrzenie uchodźców z Ukrainy wygra z indoktrynacją zakłamanych mediów?

NASZE POLSKIE MOCARSTWO

Bo na samej Ukrainie Polska jawi się jako mocarstwo. Spędziwszy tam 170 dni, spotykałem się z wyrazami podziwu dla naszego państwa, czasem aż w przerysowanej formie. Mnie, dziennikarza tygodnika „Sieci", jeden z majorów policji pod Bachmutem przekonywał, bym wspierał Andrzeja Dudę, a żołnierze w Chersoniu zapewniali, że gdyby Polska włączyła się do wojny, to z jej potęgą militarną („druga armia w NATO" – usłyszałem) Ukrainę wyzwolilibyśmy w dwa tygodnie. Z kolei 14 lutego słyszałem w Kijowie życzenia dla zakochanych: „Uściskaj mnie jak Andrzej Duda naszego prezydenta", a sam jako dziennikarz z Polski byłem postrzegany jako obywatel lokalnego mocarstwa. To tylko z okładek liberalnych tygodników i czołówek materiałów stacji z Wiertniczej zioną wszelkie, jakie ktokolwiek wymyśli polskie słabości, dochodzi obraz Polski w rozsypce.

> Dla Dmitrija było szokiem, gdy menedżer kawiarni zaprosił go na szkolenia z tolerancji. – Na zajęciach mówiono nam, że Polska jest najbardziej homofobicznym krajem w Europie – opowiada tygodnikowi „Sieci"

UKRAIŃCY STAWIAJĄ NA POLSKĘ

O eksplozji uznania dla Polski, Polaków i dla polskiej kultury świadczą też liczby. Wyniki badań społecznych opublikowanych przez Centrum Mieroszewskiego mówią same za siebie. 73 proc. obywateli broniącego się kraju poprawiło swoją – i tak zazwyczaj dobrą – opinię o Polakach. Połowa Ukraińców informacje o naszym kraju czerpie nie tylko z mediów, lecz także od swoich znajomych czy bliskich, którzy są w Polsce. 12 proc. obywateli Ukrainy twierdzi, że było kiedyś w Polsce. Aż 84 proc. Ukraińców podoba się Polska jako kraj do życia.

Biorąc pod uwagę fakt, że Polacy są teraz na Ukrainie najlepiej kojarzonym narodem na świecie, a Andrzej Duda urósł tam do roli symbolu życzliwości dla broniącego się kraju, a także to, że Polska jest jedynym krajem po wschodniej stronie dawnej żelaznej kurtyny, który osiągnął ekonomiczny sukces przy zachowaniu wysokich aspiracji politycznych (Trójmorze, wschodnia flanka NATO), stajemy się jako kraj po prostu pozytywnym mitem wspólnotowym Europy Środkowo-Wschodniej. Nic dziwnego, że rosyjska propaganda wściekle nas atakuje, skoro jesteśmy dowodem na to, że da się oderwać od Rosji, pójść własną drogą i osiągnąć sukces.

WIZERUNKOWY PARADOKS

Podczas wielkiej, ponadpartyjnej pomocy dla uchodźców zza naszej wschodniej granicy doszło do takiego paradoksu, że najbardziej życzliwi Polsce Ukraińcy trafili do wielkich miast, gdzie pedagogika wstydu i antypisowska propaganda mocno skrzywiły obraz rzeczywistości. Uciekając spod bomb do polskiego raju, Ukrainiec dziwił się niejednokrotnie opowieściom, że tutaj nie ma prawdziwej demokracji, że są Trybunał Przyłębskiej, dyktator Kaczyński i prorosyjski PiS. Zwykła obserwacja rzeczywistości przynosi wnioski dokładnie odwrotne – o silnej, rozwijającej się i tolerancyjnej Polsce. Widać, nie da się tego zobaczyć znad szpalt niektórych polskich gazet i na ekranie włączonego na „Fakty" TVN. Choć sądzę, że Ukraińcy – doznawszy tyle dobra, a ich państwo otrzymawszy tyle wsparcia od Polski, zwłaszcza militarnego – nie dadzą się przekonać kilku onetowym sloganom, to jednak można by zadać pytanie: o ileż więcej jako Polacy moglibyśmy zrobić, gdyby liberalne media nie demolowały wizerunku naszego kraju nawet wbrew podstawowym faktom?

eprasa.pl 70b088b833

Komu przeszkadza pałac Saski?

Nie mam wątpliwości, że gdyby Platforma Obywatelska wygrała jesienne wybory parlamentarne rozpoczęta wreszcie odbudowa pałacu Saskiego natychmiast zostałaby wstrzymana. Dlaczego?

JERZY BIERNACKI

Pamiętamy przecież, że nie dopuściła do niej była prezydent Warszawy i była wiceprzewodnicząca PO Hanna Gronkiewicz-Waltz kilkanaście lat temu. Jasno stawiała też sprawę była wicemarszałek Sejmu z ramienia tej partii – Małgorzata Kidawa-Błońska. Z jej wypowiedzi wynikało, że PO nie aprobuje decyzji o odbudowie pałacu, uważając ją za niepotrzebną, zbyt drogą, a ponadto uważała ją za przejaw „PiS-owskiej gigantomanii".

Partia ta – co wiadomo od dawna – nie ceni, a może nawet nie rozumie znaczenia wartości symbolicznych w utrwalaniu tożsamości wspólnoty narodowej. Dawno temu Donald Tusk powiedział, że jak ktoś przychodzi do niego z wizją, to natychmiast odsyła go do psychiatryka. Oni nie mają tego w swoim DNA ani w (ukrytym głęboko przed wyborcami) programie polityczno-gospodarczym, a dla wspólnoty narodowej żywią jawną pogardę.

Jednakowoż wszystkie znaki na niebie i (zwłaszcza) na ziemi wskazują, że takie nieszczęście jak wygrana największej partii opozycyjnej, obezwładnionej własną słabością intelektualną (wbrew swoim przeświadczeniom) i obciążonej furiackimi, antydemokratycznymi wypowiedziami swojego przewodniczącego (na które powinni zareagować obrońcy demokracji w UE), nie może Polaków spotkać. Bo Jarosław Kaczyński i jego otoczenie ma szansę dokonać czegoś podobno niemożliwego: zdobycia dla Zjednoczonej Prawicy trzeciej kadencji.

NIE TYLKO POLITYKA

Ale są też inni przeciwnicy odbudowy pałacu Saskiego (i pałacu Brühla oraz trzech kamienic przy ul. Królewskiej) i mają argumenty znacznie cięższego kalibru niż PO. Na dodatek są to ludzie stojący po stronie republikańskiej i konserwatywnej. Gdy prezydent Andrzej Duda podjął decyzję o odbudowie całego kompleksu w 2018 r. (w rocznicę odzyskania przez Polskę niepodległości), zatelefonował do mnie mój dobry znajomy, architekt, wydawca najosobliwszej na świecie gazety pt. „Arche" (ukazuje się nieregularnie) – można go też nazwać ekspertem w sprawach architektury i urbanistyki – i niemal z rozpaczą w głosie powiedział:

Fot. Biblioteka Narodowa

eprasa.pl 70b088b833

– Po co oni wpadli na pomysł odbudowy tego ruskiego pałacu?! – Ruskiego? – zapytałem zaskoczony. – No tak! – zakrzyknął. – Przecież odbudowano go za czasów Paskiewicza, likwidatora autonomii Królestwa Polskiego po powstaniu listopadowym, w końcu lat 30. i na początku 40. XIX w. Paskiewicz za to płacił, projekty zatwierdzał car Mikołaj I, zwany przez Polaków Pałkinem. – Ale przecież potem generał szybko zaczął się polonizować, a w II RP... – zacząłem bronić się słabo, przyznawszy się wpierw, że jestem wielkim zwolennikiem tej rekonstrukcji – Słuchaj – przerwał mi apodyktycznie i rozpoczął wykład, mówiąc: – Dominantą pl. Saskiego, dzisiaj Marszałka Piłsudskiego, jest krzyż papieski i każde myślenie o jakimś zagospodarowaniu tej przestrzeni powinno się od niego zaczynać. On powinien być dla projektanta głównym punktem odniesienia...

Znałem tę śpiewkę, To była jego idée fixe. Swego czasu godzinami, z niezwykłym zapałem przedkładał mi swoją koncepcję, która wówczas, gdy w ogóle nie myślało się o odbudowie obu pałaców wysadzonych przez Niemców w grudniu 1944 r., wydawała mi się dość interesująca. Nie mogę wyjawić nazwiska mojego rozmówcy, gdyż nie mam jego upoważnienia do tego, a rozmowa była ściśle prywatna. Zapewnił mnie przy tym, że jego negatywny stosunek do tej odbudowy podziela z tych samych powodów wielu ludzi z jego środowiska. Rozmowę zakończyliśmy, że tak powiem, ustaleniem czegoś w rodzaju protokołu rozbieżności.

ROSYJSKI PLAN, POLSKIE ZWYCIĘSTWO

Istotnie, przebudowa niszczejącego pałacu Saskiego w latach 1837–1841 dokonała się pod rosyjskim kierownictwem i car zatwierdzał projekt, ale był to projekt polskich architektów, najpierw Adama Idźkowskiego (już w 1829 r.), absolwenta Uniwersytetu Warszawskiego i ucznia Antonia Corazziego), a później Wacława Ritschla (spolonizowanego Czecha), który w swoim projekcie uwzględnił pomysły Idźkowskiego. Ritschl zaakceptował słynną kolumnadę między skrzydłami pałacu, wzorowaną na wcześniejszym projekcie Idźkowskiego, odrzuconym z powodu wysokich kosztów.

Ostateczny kształt kolumnadzie, takiej, jaką znało kilka pokoleń warszawian, nadał jednak Wacław Ritschel. Brzmi to wszystko może trochę zawile, ale obaj architekci z sobą współpracowali i jak można się domyślać, chcieli dać stolicy, wówczas zaledwie dwu- lub trzypiętrowej, pewien element monumentalny, wielkomiejski, będący jednocześnie jednym z punktów tzw. Osi Saskiej, która szła, jeśli tak można powiedzieć, od dawnych pól elekcyjnych na Woli, przez (bardzo wysoką) Żelazną Bramę, zamykającą od południowego zachodu ogród Saski, przez pałac Saski z ową kolumnadą, niknąc gdzieś aż nad Portem Praskim.

W 20-leciu międzywojennym rozważano nawet obniżenie o jedno piętro czteropiętrowej kamienicy Beyera (popularnego XIX-wiecznego fotografa), by umożliwić prosty przebieg osi, w czym przeszkadzał północny narożnik budynku. Kamienica Beyera stała przy Krakowskim Przedmieściu, tam gdzie obecnie znajduje się skwer z pomnikiem Bolesława Prusa. Jak mądrze pisał prof. Bolesław Szmidt: „Zwłaszcza Krakowskie Przedmieście, choć rozpatrywane w kolejności odsłaniających się obrazów, nie może być w pełni odczytane bez ogarnięcia jego panoramy przestrzennej". Którą tutaj – dodajmy – stwarza właśnie Oś Saska, podobnie jak – w mniejszym jednak stopniu – w innych miejscach ulica Królewska, Świętokrzyska (zwłaszcza po jej przebiciu do ul. Kopernika) czy Al. Jerozolimskie. (Cytaty powyższe pochodzą ze wstępu prof. Bolesława Szmidta do książki Juliusza A. Chrościckiego „Trakt Królewski", Warszawa 1981, s. 10).

Oś Saska jest więc linią czy raczej pasmem (bo musi mieć przestrzeń) nie rzeczywistym, lecz raczej wyobrażonym (ma tylko rzeczywiste, materialne punkty, które łączy), ale mimo to oddziałującym wzbogacająco na przestrzeń Traktu Królewskiego w miejscu, gdzie się z nim krzyżuje.

To Ludwik Krzywicki w swoich „Wspomnieniach" zauważył, że Warszawa przez cały niemal XIX w. była miastem niskopiennym. Zmieniło się to – zaznaczał – dopiero na przełomie XIX i XX w., kiedy to wzdłuż Marszałkowskiej i Al. Jerozolimskich zaczęto budować wyższe, pięcio- czy nawet sześciopiętrowe kamienice i Warszawa urosła, by w czasach, gdy to pisał, zyskać miano Paryża Północy (lecz jedynie w mniemaniu Polaków).

Charakterystyczne, że przebudowując pałac, polscy budowniczowie pozostawili fragmenty starego muru, mogąc to tłumaczyć potrzebą oszczędności, a w istocie – jak można sądzić – szło o zaznaczenie symbolicznego związku między dawną i nową budowlą. Tym bardziej że w małych elementach architektonicznych wzorowano się na tych poprzednich, ogólnie dbając o zachowanie jednolitego stylu klasycystycznego.

Realnie sprawa wyglądała tak, że Rosjanie, nie wiedząc, co zrobić z gwałtownie wymagającym co najmniej renowacji pałacem w latach 30. XIX w., sprzedali go Janowi Skwarcowowi, zamożnemu kupcowi rosyjskiemu działającemu w Królestwie Polskim, zobowiązując go jednocześnie do przebudowy całego kompleksu. Rzecz jasna, że wszystkie ważne decyzje podejmował Iwan Paskiewicz, namiestnik cara

Fot. Biblioteka Narodowa

eprasa.pl 70b088b833

w Warszawie, projekty – jako się rzekło – zatwierdzał car, Paskiewicz zapewne także co najmniej współfinansował, jeśli nie w pełni dotował odbudowę, mając wobec przyszłego odnowionego gmachu swoje zamysły. Ale *ad usum Delphini*, dla ludu warszawskiego, który kochał ogród Saski i jego budowle, ważny miał być Skwarcow jako odpowiedzialny za odbudowę. Przez pewien czas pałac nosił nawet miano Domu Skwarcowa, ale nazwa się nie przyjęła, a jej patron zmarł w 1850 r. Jak wiadomo, Rosjanie zawsze byli i są mistrzami tzw. maskirowki.

Już jednak 29 listopada 1841 r. szydło wyszło z worka, gdy przed nowym pałacem postawiono wysoki obelisk na pamiątkę wiernych carowi (jak myślał) generałów, których powstańcy rozstrzelali w pierwszych dniach powstania listopadowego. W rzeczywistości było nieco inaczej, gdyż niektórych spośród tej siódemki zastrzelono przez pomyłkę albo z powodu zemsty osobistej, tak że tych wiernych pozostało najwyżej trzech albo czterech. Tak pisał o obelisku Andrzej Niemojewski w wierszu „Na Saskim placu":

Na Saskim placu pół wieku szarzeje
Ten posąg hańby, monument niewoli.
Tu kończą pochód nowożytne dzieje,
Sztandar ich rozdarł gwałtu szpon sokoli.
Przed tym pomnikiem historia z kulturą
Wzrok opuszczają ku ziemi ponuro.

Nie spodziewał się Paskiewicz, że ów pomnik hańby stanie się obiektem pewnych nieoczekiwanych praktyk. Oto bowiem każdy przechodzień o polskim sercu, przechodząc obok tego monumentu, czuł się zobowiązany do dyskretnego splunięcia w jego kierunku lub wprost na niego. Jest pyszna anegdota o Marii Skłodowskiej, która jako licealistka też to zobowiązanie wypełniała gorliwie, jakkolwiek licealistce pluć na ulicy nie przystoi nawet dzisiaj, a cóż dopiero wówczas. Zdarzyło się raz, że Maria, idąc tamtędy z koleżanką, minęła pomnik bez splunięcia, bo były zagadane. Po kilku krokach zdały sobie z tego sprawę, powróciły i... spełniły swój obowiązek.

Pomnik został usunięty dopiero po mniej więcej 50 latach, gdy rozpoczęto budowę sławetnego soboru pw. św. Aleksandra Newskiego, wznoszonego przez 12 lat wraz z 70-metrowej wysokości dzwonnicą, psując w ten sposób i niszcząc piękno założenia architektoniczno-urbanistycznego pl. Saskiego. Obelisk przewieziono na pl. Zielony (dziś pl. Jana Henryka Dąbrowskiego). Jak wiadomo, Polacy w 1926 r. rozebrali cerkiew, co było niełatwym i kosztownym przedsięwzięciem, ale ze wszech miar słusznym.

SALON WARSZAWY

Natychmiast po dokonaniu przebudowy, jeszcze za życia Skwarcowa, zaczęli się wprowadzać do pałacu zamożniejsi warszawianie (czynsze nie były niskie). W 1854 r. doliczono się 54 głównych najemców. Spośród sław Warszawy w budynku mieszkali m.in.: dr Jan Oczapowski, lekarz (ulica jego imienia znajduje się na Bielanach), pomysłodawca nazwy pierwiastka „tlen", a także Apolinary Kątski, skrzypek, kompozytor i pedagog, założyciel Instytutu Muzycznego w Warszawie. Pałac mieścił także, jak za czasów bursy Mikołaja Chopina, instytucje edukacyjne, np. pensję dla panien prowadzoną przez Laurę z Brzezińskich Guérin, w której polskiego uczył Stanisław Jachowicz, poeta, autor znanych wierszy dla dzieci. W pałacu znajdowały się magazyn mody francuskiej Adeli Hoffman, handel win, funkcjonowała galeria obrazów, a także kancelaria konsulatu austriackiego w Warszawie, sławne cukiernie itp.

W ciągu następnych 20 lat pałac Saski tętnił życiem, urządzano tu bale, wystawy i koncerty, u państwa Karskich bywał często Józef Ignacy Kraszewski, zainteresowany córką gospodarzy, Bronisławą, salon literacko-artystyczny prowadzili państwo Łuszczewscy, tu jako recytatorka i improwizatorka poezji debiutowała i następnie występowała przez lata ich córka Jadwiga, która na miejsce nazwiska przyjęła później pseudonim literacki Deotyma. Z czasem pisarka o niemałej sławie, autorka kilku książek, przez lata prowadziła pierwszy (czyli najważniejszy) salon literacki Warszawy.

Jak widać XIX-wieczni Polacy z zamożniejszych sfer nie pytali, kto opłacał przebudowę pałacu i kto go odbudowywał, po prostu korzystali z niego, mieszkając w nim, bawiąc się, słuchając muzyki i ciesząc się jego pięknem. Po upadku powstania styczniowego, podczas którego ucierpiał ogród Saski, pałac przejęło rosyjskie wojsko.

Z ENIGMĄ W TLE

Kiedy zaś w 20-leciu międzywojennym pałac Saski przejął Sztab Generalny Wojska Polskiego (a jego szef, marszałek Józef Piłsudski, w latach 1922–1923 mieszkał tam razem z rodziną) i gdy trzej poznańscy matematycy (Rejewski, Różycki i Zygalski) tam pracowali, by w 1932 r. złamać system szyfrowy niemieckiej Enigmy, i gdy wcześniej, w 1925 r. w kolumnadę wkomponowano Grób Nieznanego Żołnierza Polskiego, została przybita na nim ostateczna pieczęć polskości.

W II Rzeczypospolitej dopiero 3 maja 1923 r. został uroczyście poświęcony, postawiony już wcześniej przed kolumnadą, po blisko 100-letniej tułaczce, pomnik księcia Józefa Poniatowskiego, wzorowany na rzymskim pomniku Marka Aureliusza, dłuta Bertela Thorvaldsena.

Nie omawiam otoczenia obu pałaców, popularnych inwestycji w ogrodzie Saskim, takich jak wodozbiór czy teatr letni, w którym w 1874 r. występowała Helena Modrzejewska, fontanny, która przetrwała, ani niezwykłych rzeźb symbolizujących różne dziedziny nauki i kultury, z których (ponad 70) zostało tylko ok. 20. Skupiłem się bowiem na polskości pałacu – jest przecież jej symbolem – jak napisano w ustawie Sejmu o jego odbudowie.

PS Pisząc powyższe, czerpałem informacje z książki Joanny Borowskiej (m.in. fotografki i dokumentalistki prac archeologicznych na pl. Piłsudskiego) pt. „Niezwykła historia pałacu Saskiego", Warszawa 2020

Fot. Materiały prasowe

eprasa.pl 70b088b833

Trwają prace nad drugim sezonem serialu „Korona królów. Jagiellonowie". Pojawią się w nim nowe, znaczące postacie. W ważne dla władcy bohaterki wcielają się Maria Pawłowska i Maja Szopa. Historyczny kostium przywdzieje też Przemysław Stippa

Zmiany na królewskim dworze

Fot. Anna Gostkowska

eprasa.pl 70b088b833

JOLANTA GAJDA–ZADWORNA

Kojarzymy ich z rolami w popularnych serialach. Marię Pawłowską możemy dziś oglądać jako Ewę w „Leśniczówce" (w „Stuleciu Winnych" grała Michelle Winny) – na planie drugiego sezonu „Korony królów. Jagiellonów" wciela się w ostatnią żonę władcy.

Maja Szopa (znana zarówno z „Belfra", jak i „Wojennych dziewczyn") gra dorastającą córkę Jagiełły, Jadwigę. A Przemysław Stippa po brawurowej roli w „Polowaniu na ćmy" (wciąż obecny w „Leśniczówce") tym razem wraz ze swoim bohaterem, biskupem krakowskim Zbigniewem Oleśnickim, sięga po władzę nie tylko duchową.

DZIEJE SIĘ NA WAWELU

Nie ucichły jeszcze echa koronacji Karola III, więc na małym ekranie wciąż możemy śledzić zakulisowe wydarzenia na dworze Władysława Jagiełły. Nowe królewskie wątki są rozwijane na serialowym planie.

Jak zdradzają przedstawiciele produkcji, drugi sezon „Korony królów. Jagiellonów" rozpocznie się w 1420 r., kilka miesięcy po wydarzeniach kończących obecną emisję. Władysław Jagiełło (Sebastian Skoczeń) niechętny nowemu ożenkowi, ale rozumiejący jego konieczność, za namową Witolda (Michał Chorosiński) rozpocznie starania o młodziutką córkę kniazia Andrzeja Holszańskiego, Sonkę (w tej właśnie roli pojawi się Maria Pawłowska).

W 125 odcinkach zobaczymy wydarzenia z dwóch dekad, ale – jak w emitowanym obecnie sezonie – zarówno historyczne, jak i polityczne fakty będą stanowiły jedynie tło dla opowieści obyczajowej.

SYNOWIE I CÓRKI

Głównym tematem stanie się małżeństwo króla z Sonką. Młodziutkiej królowej początkowo trudno będzie odnaleźć się na Wawelu. Władca nie od razu zapałał do niej uczuciem. Z czasem jednak zacznie doceniać jej charakter i temperament, a młoda żona da mu upragnionych następców tronu.

Twórcy serii obiecują: staniemy się świadkami wielkiej radości z narodzin następców Jagiełły, zobaczymy też rozpacz po śmierci drugiego syna króla.

Istotnym wątkiem obyczajowym ma być rywalizacja między Sonką a dorastającą córką Jagiełły, Jadwigą (Maja Szopa), czy platoniczna miłość królowej i młodego Jana Hinczy (Kamil Szklany). Emocje rozgrzeje również walka o władzę między królową a rosnącym w siłę Zbigniewem Oleśnickim (Przemysław Stippa).

WALKA O TRON

Główną bohaterką serii, jak zapowiadają producenci, będzie Sonka. Po śmierci męża stanie do walki o tron dla swoich synów. Sezon zakończy się w 1440 r., sześć lat po śmierci Jagiełły, w momencie wyjazdu młodego króla Władysława na Węgry. Młodzi Jagiellończycy będą daleko, królowa zamknie się w Sanoku, a tron w Krakowie zostanie pusty.

„Widzowie zostaną z pytaniem: kto będzie rządził Polską?" – czytamy w producenckiej zapowiedzi. W tle głównych wydarzeń mają pojawić się wątki romantyczne, nie zabraknie też sytuacji komediowych z udziałem bohaterów drugiego planu.

O KULISACH PRODUKCJI

Oprócz znanych z poprzednich sezonów postaci, a także Marii Pawłowskiej w roli Sonki zobaczymy m.in. takich aktorów jak Zbigniew Stryj, Małgorzata Ostrowska-Królikowska czy Ilona Wrońska. Reżyserem tej serii jest Krzysztof Łukaszewicz, który odpowiadał również za realizację poprzedniego sezonu. Za kostiumy – zespół niezwykle cenionej Elżbiety Radke. Zdjęcia są realizowane m.in. w kompleksie Muzeum Archeologicznego w Biskupinie, Rogalińskim Parku Krajobrazowym, na Zamku w Lublinie, w kaplicy Trójcy Świętej, opactwie Cystersów w Wąchocku czy w zabytkach w Inowłodzu.

Emisja drugiego sezonu jest planowana na przyszły rok.

Fot. Anna Gostkowska

eprasa.pl 70b088b833

Kiedy nasze dłonie się zetkną

„Nawet jeśli stoimy na dwóch kawałkach lodu, które za chwilę się od siebie oddalą, powinniśmy otwierać się na innych". O filmie „Bliscy" z *Olafem Lubaszenką* rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Czy „Bliscy" – tytuł filmu, który trafił właśnie do kin – znaczą dziś dla pana coś innego niż w trakcie zdjęć?

Olaf Lubaszenko: Na pewno nie zmieniło się to, że tytuł jest pewnego rodzaju prowokacją. Zabarwioną gorzką ironią. Myślę, że zamiarem reżysera Grzegorza Jaroszuka było sprowokowanie widza właśnie do zastanowienia się, co to słowo znaczy. Czy jeszcze coś znaczy. Czy może jest już tylko pustym dźwiękiem. Albo literami napisanymi gdzieś na klawiaturze. Lub długopisem.

To niezwykłe, co się dzieje z naszym światem. Coraz bardziej przypomina mi to eksperyment – socjologiczny czy antropologiczny, w którym pędzimy w nieznaną bliżej przyszłość, podlegając różnego rodzaju mechanizmom. Czasami kierują nami algorytmy, czasami jakieś zbiorowe emocje, które też mogą być w jakiś sposób inspirowane. Myślę, że w tym eksperymencie nawet ci, którzy go ewentualnie stworzyli czy zainicjowali, sami nie wiedzą, dokąd my jako ludzkość dolecimy.

Jaki to ma związek z kameralną, ekranową opowieścią, w której wziął pan udział?

Otóż taki, że tytułowi „Bliscy" to ludzie, którzy temu ogólnoświatowemu zjawisku – czy tym zjawiskom – podlegają. Są pogubieni. Właściwie nie umieją się komunikować. Każdy z nich ucieka w swój świat...

...zastępczy. Ale w pewnym momencie okazuje się, że ci pogubieni, odseparowani od siebie bohaterowie, bliscy jedynie z dokumentów, są w stanie tę bliskość w sobie i między sobą odnaleźć.

Oczywiście, ale film też pokazuje, jak trudny i pracochłonny to musi być proces, że to się nie dzieje ot tak, od razu. I – jak z pielęgnowaniem jakiejś roślinki, którą uprawiamy od nasionka – wymaga to czasu, cierpliwości i uważności.

Zagrał pan ojca dorosłych dzieci (wcielili się w nich Izabela Gwizdak i Adam Bobik), czerpiąc też z własnych doświadczeń i obserwacji? A może również dowiadując się, co znaczy być ojcem we współczesnym świecie?

„Bliscy" nie byli dla mnie lekcją ojcostwa w ścisłym sensie. Raczej lekcją wspomnianej już uważności. Takiej ludzkiej... Mam pewne doświadczenie w zamykaniu się, uciekaniu w zastępcze światy. I ten film jest oczywiście nie pierwszym, ale bardzo silnym bodźcem do tego, żeby tego nie robić, żeby próbować się otwierać, próbować podawać sobie rękę z innymi ludźmi. Nawet jeśli stoimy na dwóch kawałkach lodu, które za chwilę się od siebie oddalą. Jednak przez tę jedną chwilę nasze dłonie się zetkną i będziemy mieć poczucie, że coś w tej sprawie zrobiliśmy.

Fot. Materiały prasowe

eprasa.pl 70b088b833

„Nad Niemnem” wiecznie żywe

Byłam wtedy studentką trzeciego roku Szkoły Filmowej w Łodzi. Dostałam zaproszenie na zdjęcia próbne do „Nad Niemnem”. Po tygodniu do szkoły przyszła informacja, że zostałam wybrana do tej roli. Byłam w szoku, przeraziłam się, byłam szczęśliwa. Mieszanka emocji. Nie byłam pewna, czy powinnam wystąpić. Ale mój mąż Jacek Pawlak mnie przekonał. Powiedział mi, że wezmę udział w czymś ważnym, bo film „Nad Niemnem” zawsze będzie oglądany. Miał rację

Z aktorką Iwoną Katarzyną Pawlak, odtwórczynią roli Justyny Orzelskiej w „Nad Niemnem”, rozmawia Dorota Łosiewicz

„Nad Niemnem” wróciło w odświeżonej wersji. Serial TVP już jest dostępny, teraz kolej na wersję kinową. Cieszy się pani?

Iwona Katarzyna Pawlak: Jestem zachwycona. Od dłuższego czasu w imieniu całej ekipy nawet się o to starałam, prowadząc korespondencję z Filmoteką Narodową – Instytutem Audiowizualnym, bo do niej należy wersja kinowa. Stara się o to także od lat kierownik produkcji Piotr Dzięcioł. TVP zrealizowała serial, który zremasteryzowała. Jest on dostępny m.in. na DVD i Blu-ray. Efekty są znakomite. Mamy niemal zupełnie nowy film, świetnie uwypukliły się detale, twarze aktorów widać wyraźniej. Jeśli chodzi o wersję kinową, to wygląda na to, że się doczekaliśmy i jest nadzieja, że będzie ona gotowa na Narodowe Czytanie. Pan prezydent z panią prezydentową wybrali właśnie „Nad Niemnem”. A z tego, co wiem, od maja Tomek Tarasin, operator obrazu, jest ekspertem przy procesie remasteryzacji. Liczymy na duży pokaz z tej okazji.

Jest pani w kontakcie z całą ekipą?

Z częścią, ale wiele z osób, które wystąpiły na planie, nie widziały się od ponad 35 lat. Ja, Piotr Dzięcioł, Tomek Tarasin, Adam Marjański i Renata Kretówna mieliśmy to szczęście, że zostaliśmy zaproszeni przez filologa, historyka i badacza literatury Elizy Orzeszkowej Roberta Pawłowskiego do Grodna, na Białoruś. On wcześniej wyruszył śladami bohaterów „Nad Niemnem”. Chciał napisać książkę, a jej fragment poświęcić realizacji filmu i serialu. Stąd pomysł, by nas tam zabrać, popytać o wspomnienia. Przy tej okazji powstał znakomity reportaż. I książka, i film noszą tytuł „Niemy Niemen”. Pan Robert wpadł też na pomysł, żeby napisać powieść na podstawie odkryć, których dokonał. I napisał. Tak powstała książka „Płynąc po dnie Niemna”, która jest dalszym ciągiem losów bohaterów powieści Elizy Orzeszkowej. Powstał również scenariusz, może będzie więc filmowa kontynuacja „Nad Niemnem”. Myślę, że chętnych do oglądania wersji zremasteryzowanej i dalszego ciągu losu bohaterów nie zabraknie, bo pamięć o tej powieści jest zaskakująco żywa. Przekonałam się o tym, będąc w Grodnie w 2019 r. Spotykaliśmy wycieczkę, która niezwykle emocjonalnie zareagowała na naszą obecność. Nie mogli uwierzyć, że widzą Jana i Justynę. Były zdjęcia, fotografie, łzy, emocje. Wciąż istnieje kurhan Jana i Cecylii, prawdziwy dom Jana i Justyny, choć dziś już w ruinie, więc wycieczki chętnie tam jeżdżą. Nasze spotkanie, tzn. części ekipy, po latach też było wspaniałe. Było tak, jakby wszystko wydarzyło się wczoraj. Relacje i emocje w ogóle się nie zmieniły.

Cofnijmy się więc o parę dekad. Jak została pani Justynką Orzelską?

Byłam wtedy studentką trzeciego roku Szkoły Filmowej w Łodzi. Szykowałam się do egzaminów teoretycznych, m.in. z historii teatru. Dostałam zaproszenie na zdjęcia próbne do „Nad Niemnem”. Reżyser Zbigniew Kuźmiński poprosił mnie, żebym przeczytała monolog z powieści, z tej ostatniej sceny, gdy Justyna mówi, że nie wyjdzie za Teofila Różyca, tylko za Janka. Przeczytałam najpierw w studiu, a potem przed kamerą. Wróciłam do szkoły, uczyłam się dalej. Po tygodniu do szkoły przyszła informacja, że zostałam wybrana

Fot. Andrzej Skwarczyński

eprasa.pl 70b088b833

do tej roli. Po latach dowiedziałam się, że w zdjęciach próbnych wzięło udział mnóstwo dziewcząt z całej Polski. Nawet Grażyna Wolszczak, która była mocno rozważana do tej roli, ale z jakiegoś powodu jej nie przyjęła. Byłam w szoku, przeraziłam się, byłam szczęśliwa. Mieszanka emocji. Nie byłam pewna, czy powinnam wystąpić. Ale mój mąż Jacek Pawlak, wtedy już aktor Teatru Nowego w Łodzi, mnie przekonał. Powiedział mi, że wezmę udział w czymś ważnym, bo film „Nad Niemnem" zawsze będzie oglądany. Miał rację.

Pamięta pani swoje pierwsze spotkanie z Janem Bohatyrowiczem, czyli Adamem Marjańskim?

Ja dość słabo, ale ostatnio on o tym opowiadał w jednym z wywiadów. Wszedł do pokoju. Ja siedziałam w kucki pod ścianą, piłam herbatę. I on wtedy oczom nie mógł uwierzyć, że to ja mam być Justyną. Dopiero gdy wstałam i się odezwałam, to zrozumiał dlaczego.

Jaki był odzew widzów?

Do teatru przychodziła masa listów. Wtedy to był przecież jedyny sposób kontaktu z tzw. gwiazdami, choć ja nią nigdy nie byłam i tak się nie czułam. Było w tych listach dużo miłych słów, było też kilka propozycji matrymonialnych. Mąż do tego podchodził z humorem, mówił, żebym się nie przejmowała, bo to normalne. Jeśli chodzi o reakcję publiczności, to jedna sytuacja była dość nieprzyjemna. Poszliśmy potańczyć na dyskotekę, miałam krótką spódniczkę, bawiłam się. Nagle podeszły do mnie dwie panie w średnim wieku, jedna szarpnęła mnie za ramię, mówiąc, że Justyna nie może się tak zachowywać i one sobie tego nie życzą, bo to wstyd. Mąż długo mnie uspokajał.

I postanowiła pani to wszystko rzucić i zostać w Australii. Jak to się stało?

Była wtedy promocja „Nad Niemnem" w Australii właśnie. Jeździliśmy z filmem, były spotkania z Polonią, wywiady, prelekcje. Już jadąc, myślałam i miałam to przedyskutowane z mężem, że gdyby pojawiła się sprzyjająca okazja, to zostanę. Poznałam środowisko polonijne, które udzieliło mi pomocy w realizacji tego zamysłu i ekipa wróciła, a ja nie. To był 1987 r. Jakiś czas pracowałam w Australii, ale to były prace dorywcze, niezwiązane z aktorstwem. Dopiero gdy poznałam agentkę Teren Nildt i przeniosłam się do Nowej Zelandii, pojawiły się nowe możliwości. Ostro ruszyłyśmy z pracą. Agentka posyłała mnie na wszelkie możliwe castingi, głównie w modelingu, bo musiałam najpierw podszkolić język. Brałam udział w sesjach odzieżowych i do magazynów mody. Miałam profesjonalne portfolio. Byłam wówczas zupełnie zielona, bo przecież wtedy nie mieliśmy ani telefonów komórkowych, ani agentów, ani nie było mediów społecznościowych, nie było PR, reżyserów castingów. I nagle cały tan świat zaczął się przede mną otwierać. Na początku przez kilka miesięcy mieszkałam u Taren, nie miałam żadnego kontaktu z Polakami. Intensywnie uczyłam się języka. Nazywano mnie Keszią Polek. Z czasem zaczęłam grać m.in. w kultowym w Nowej Zelandii serialu „Gloss", opowiadającym o agencji modelek. Tam było miejsce na gościnne występy artystów z innych krajów. Zagrałam narzeczoną głównego bohatera. Zarobiłam tyle, że było mnie stać na wynajęcie połowy domu, z drzewem pomarańczowym i cytrynami w ogrodzie. Wtedy zasmakowałam takiego życia, jakie prowadzi się teraz w naszym show-biznesie. To po Domu Aktora, w którym mieszkaliśmy, była duża różnica. Wystąpiłam w filmie Marvina Chomskiego „Braterstwo Róży" u boku Roberta Mitchuma. Bywałam nawet bardziej rozpoznawalna tam niż w Polsce. Ale łapałam się też prac dorywczych. Byłam elegancką hostessą w restauracji, opiekowałam się starszą osobą.

> TVP zrealizowała serial „Nad Niemnem", który zremasteryzowała. Jest on dostępny m.in. na DVD i Blu-ray. Efekty są znakomite. Mamy niemal zupełnie nowy film, świetnie uwypukliły się detale, twarze aktorów widać wyraźniej. Jeśli chodzi o wersję kinową, to wygląda na to, że się jej doczekaliśmy

Nie tęskniła pani?

Strasznie tęskniłam. Za mężem, kulturą, książkami, Polakami, językiem. Jacek wysyłał mi książki, kasety. Ale tęsknota była nieznośna. Pojawił się wreszcie pomysł, żeby ściągnąć męża do Nowej Zelandii. Wysłałam mu pieniądze na podróż, ale zaginęły. I gdy rozmawialiśmy, on powiedział: „A może byś wróciła?". I jeszcze dowiedziałam się, że mogę wrócić do Teatru Nowego w Łodzi, więc już ani chwili nie czekałam i wróciłam. To był początek lat 90. Jacek odebrał mnie z lotniska, a miałam po tych kilku latach mnóstwo bagażu. Przywiozłam mu nawet rolanda, taki instrument klawiszowy. W podróży, w Tajlandii, zginęła mi jedna nieduża szyfrowana walizeczka, w której miałam wszystkie pamiątki, zdjęcia, kasety. Całą dokumentację z pobytu w Nowej Zelandii. Jedyna pamiątka, która została po tamtym okresie, to film, dyplom reżyserski PWSFTviT w Łodzi Životy Saratlicia ze zdjęciami Adama Sikory. To była dokumentacja mojego powrotu do Polski.

Obejrzałam ten film. Wróciła pani w skromne progi Domu Aktora, do sardynek w lodówce, braku mydła w łazience i zakupów za dewizy. Nie żałowała pani?

Sardynki to był rarytas! Nigdy nie żałowałam, że wyjechałam ani że wróciłam, choć często słyszałam, że gdybym nie

eprasa.pl 70b088b833

Fot. EAST NEWS/INPLUS

wyjechała, to moja tzw. kariera inaczej by się potoczyła. Ale ja zaraz po powrocie zaczęłam grać w Teatrze Nowym, później zagrałam w filmie Leszka Barona „Leśmian" Dorę Lebenthal, czyli kochankę poety, dla której napisał „W malinowym chruśniaku". Zaraz była „Siwa legenda". Zagrałam tam takiego Bohuna w spódnicy. Więc tej pracy od razu było sporo. Poza tym Dom Aktora to było wspaniałe miejsce. Może warunki były trudne i nie był to dom z drzewem pomarańczowym w ogrodzie, ale niczym się nie trzeba było martwić. Opłacaliśmy pobyt i już nie musieliśmy myśleć o rachunkach za gaz czy światło. Zmieniano nam pościel, były meble. Ludzie, którzy tam mieszkali, to było szerokie grono artystyczne z wszystkich łódzkich teatrów. Był balet, opera. Żyliśmy sobie razem, wspieraliśmy się, świętowaliśmy wspólnie imieniny, urodziny, sylwestry. To był piękny czas.

> Lubię mieć plan B. Nauczyłam się tego za granicą, gdzie aktorzy oprócz grania mają przeważnie inne zawody. W aktorstwie jest się raz na wozie, raz pod wozem. Skończyłam więc podyplomowo zarządzanie w mediach dla producentów filmowych i TV. Od strony produkcyjnej wiem bardzo dużo. Wiem, jak zrobić film

Później grała pani m.in. w „Nowy Jork, czwarta rano" Krzysztofa Krauzego, w „Psach 2", w „Psach 3" Władysława Pasikowskiego, w serialach „Na dobre i na złe", „Czas honoru". A teraz jest pani zielarką Gretą w „Koronie królów. Jagiellonowie". Lubi pani tę postać?

Czuję się w tej roli jak ryba w wodzie. To mój powrót do grania po 20 latach. Pomijając drobiazgi, miałam przerwę,jak Jan Gajos po „Czterech pancernych". A „nowych początków" miałam z osiem. Nigdy nie miałam oczekiwań, ale zawsze miałam marzenia. I nigdy nie przestałam marzyć o graniu. Byłam szczęśliwa, gdy dostałam tę rolę. Uwielbiam filmy kostiumowe. Rola Grety w poprzedniej części produkcji bardzo się rozrosła. Zostałam zaproszona do kolejnej serii. Choć rola jest już mniejsza, bo bohaterowie są starsi. Moja bohaterka była ścigana, topiona, torturowana, to bardzo ciekawa postać. Przez chwilę martwiło mnie przy okazji tej roli, że to stara baba z lasu, że zamiast być pięknie umalowana, mam się nie malować. A przecież każda kobieta chce być piękna. Ale sytuacja Grety się poprawia i przestaje być babą z lasu.

Lubi się pani oglądać?

Nie, żeby się zachwycać, ale patrzę na warsztat, co jeszcze można poprawić. W pracy bardzo pomaga mi mąż. Radzi, podpowiada. Zawsze pomagał. Jest doświadczonym, znakomitym aktorem. Wszędzie jeździmy razem. Teraz mieszkamy na dwa domy. Cały sezon jeździłam pociągiem i autobusem między Zieloną Górą a Warszawą. W tym roku

eprasa.pl 70b088b833

Fot. Andrzej Skwarczyński

przenosimy się do Warszawy i postanowiliśmy zacząć od nowa po raz ósmy. Wcześniej, gdy on dostał dobrą pracę w Zielonej Górze, ja pojechałam za nim. Zawsze jesteśmy razem. A ponieważ nie mamy dzieci, to podejmowanie decyzji i logistyka są łatwiejsze.

A co pani robiła, gdy pani nie grała?

Lubię mieć plan B. Nauczyłam się tego za granicą, gdzie aktorzy oprócz grania mają przeważnie inne zawody. W aktorstwie jest się raz na wozie, raz pod wozem. Skończyłam więc podyplomowo zarządzanie w mediach dla producentów filmowych i TV w Akademii Leona Koźmińskiego w Warszawie. Świetne studia. Od strony produkcyjnej wiem bardzo dużo. Wiem, jak zrobić film. Przez osiem lat pracowałam też w banku jako asystent wiceprezesa. To był bank, który dotował filmy, więc był potrzebny ktoś, kto zna się na kinie, filmie. To była bardzo dobra praca. Jedna z koleżanek, która pracowała ze mną w banku, pracuje teraz od strony administracyjnej przy „Koronie królów". Często więc wspominamy.

Kino czy teatr?

Teatr to rzemiosło, doświadczenie, mistrzostwo. Bez teatru nie ma aktora. Jeśli ktoś nie grał w teatrze, a gra w filmie, wciąż jest amatorem.

Wspomniała pani wcześniej o urodzie, zapytam więc o to, czy wiek, przemijanie są dla aktorki szczególnie trudne. W październiku skończy pani 60 lat, a w ogóle tego nie widać.

Każdy wiek jest dobry, by zaczynać od nowa. Dzięki wiekowi mogę być zielarką Gretą. Cieszę się, bo za chwilę będę mogła mieć status seniorki, którą w ogóle się nie czuję. Będę za to mogła kupować bilet kolejowy z 50-proc. ulgą. Meryl Streep powiedziała kiedyś: „Niech nikt nie zmywa zmarszczek z mojego czoła, osiągniętych zdumieniem pięknem życia albo tych zmarszczek wokół ust, które pokazują, jak bardzo się śmiałam i jak dużo całowałam. Ani tych worków pod oczami, w nich jest wspomnienie tego, jak wiele płakałem. Są moje i są piękne". Podpisuję się pod tymi słowami. Zmarszczki są świadectwem życia, doświadczenia. Nie korzystam z medycyny estetycznej, do kosmetyczki nie chodzę. Dbam o siebie, ale po swojemu. Codziennie ćwiczę. Wspólnie z mężem zresztą. Zaczynamy o świcie, wcześnie chodzimy spać. Jeśli jednak miałabym dostać rolę pomarszczonej staruszki, to zagram z przyjemnością. Jestem szczęśliwa i cieszę się życiem, cieszą mnie relacje z ludźmi, nie myślę o tym, co powinnam, co muszę. Wszystko tylko mogę.

O jakiej roli pani marzy?

Zawsze chciałam zagrać Lady Makbet, choć to nie było mi dane. Przez cztery lata grałam drobną rolę carycy Katarzyny w Teatrze Narodowym, w spektaklu „Miłość na Krymie" w reżyserii śp. Jerzego Jarockiego. Marzyłam, by zagrać Słowackiego czy Norwida. Chcę grać dalej. Każda rola mi odpowiada. Aktor musi umieć zagrać wszystko. Dzięki „Koronie królów. Jagiellonowie" przypomniałam sobie warsztat, rzemiosło. A dużo się zmieniło.

Jak się grało kiedyś, a jak teraz. Co się zmieniło?

Kiedyś kręcono kamerą filmową na taśmie 35 mm. Tej taśmy na jeden film trzeba było mieć kilka tysięcy metrów. Aktorom nie można było się mylić, tzw. duble były sporadyczne. Taśma była bardzo droga. Była więc niezliczona liczba prób, by to jedno ujęcie wyszło perfekcyjnie. Nawet jak duble były, to nie można było ich zobaczyć, bo taśmę trzeba było wywołać. Ona jechała do Warszawy lub innego miasta, potem wszystkie piony oglądały, żeby wiedzieć, czy zdjęcia są skończone, czy nie. A dźwięk po wywołaniu i montażu podkładano jako postsynchron w studiu filmowym, więc rolę odgrywało się dwa razy. Raz na planie, a później przy udźwiękowieniu. Aktor mógł więc się jeszcze poprawić. I kiedyś na zrobienie filmu było więcej czasu. Mogliśmy sobie pozwolić na czekanie w hotelu kilka dni na pogodę. Teraz na taki komfort nie ma czasu.

Odnajduje się pani w mediach społecznościowych?

Staram się, jestem aktywna na Facebooku. Jednak zupełnie nie mogę zrozumieć, że często o angażu czy zaproszeniu na casting decyduje liczba followersów na Instagramie, a nie prawdziwy talent.

eprasa.pl 70b088b833

3 MIŁOŚCI

Kupa gnoju

ROBERT TEKIELI

Bóg oczyszcza Polskę, oczyszcza Kościół, wychodzą na jaw potworne krzywdy. „Jeśli spodobało się Bogu ukryć perłę w kupie gnoju, i tam pójdziemy jej szukać". Tak o zgnitym do dna francuskim Kościele początku XX w. mówił Jacques Maritain. I tak odpowiadam tym, którzy pytają mnie: „Jak możesz tkwić w tym kościelnym bagnie?".

Prawi ludzie się gorszą. Zło niszczy wszystko wokół. Najpierw troska o ofiary. Prawda oczyszcza. Ten, który dziś molestuje, jutro zgwałci. O ile z tej drogi w przepaść nie zawróci go prawda.

Kogo kochasz, instytucję czy jej Założyciela? Ludzie są grzeszni, ze stworzenia nigdy nie należy czynić sobie idola. Święty Kościół, najświętszy, pełen grzesznych ludzi. Bóg się grzechem nie brzydzi, odwraca się od tych, którzy odtrącają wyciągniętą w ich kierunku rękę Jego Syna.

Wierzę w Jezusa, nie w Tradycję, nie w charyzmaty, ufam Jego łasce, szanuję autorytet, patrzę na czyny. Wierni potrzebują przewodnika, pasterza, potrzebują ojca jak każdy. Wypatruję biskupów z Ducha Świętego, modlę się w intencjach papieża, jestem posłuszny proboszczowi.

Mam łzy w oczach, gdy widzę plecy kapłana pochylającego się z nabożnym szacunkiem nad największym skarbem, Jezusem Eucharystycznym. Tyle że każda sztuczna forma mnie odstrasza. Drażnią mnie charyzmatyczni kapłani z Brazylii, gdy wymuszają spoczynek w Duchu Świętym, ale mam łzy w oczach, gdy widzę ich wychodzących do dzieci ulicy, do prostytutek i ludzi pięści o twardych karkach. Upadają też ludzie Ducha, nie ma człowieka bez grzechu. Czcimy bezgrzesznego Jezusa.

Ilu pedofilów z premedytacją wybrało karierę w Kościele, w harcerstwie, jako dyrygenci chórów dziecięcych, redaktorzy dziecięcych programów, opiekunowie młodzików i juniorek? Ale najgorsze jest wykorzystywanie autorytetu instytucji założonej przez Bezgrzesznego, by bezkarnie grzeszyć.

Każdy drapieżnik seksualny, który tak sobie wymyślił życie, wciągnął w bagno wszystkich swoich współbraci i przełożonych, którzy go kryli, przymykali oko, nie mieli siły zmierzyć się z potwornością, nie mieli odwagi, by chronić kolejne ofiary. Są one również na ich sumieniu.

Krzywdzą też kapłani słabi. Zło czyni zło, Bóg ma dla każdego ratunek. Trzeba tylko Mu zaufać.

Kościół był w jeszcze gorszym stanie niż dziś już przynajmniej dwa, a może trzy razy. Podnosił się pokorą świętych zakonników i kapłanów, świętych sióstr oraz świętych świeckich kobiet i mężczyzn. Dziś też się podniesie. Na 400 tys. kapłanów katolickich, ilu jest krzywdzicieli? Skrajna mniejszość. Ale czy taka świadomość sprawia, że mniej boli?

Nie mam złudzeń co do kondycji ludzkiej, nie mam złudzeń co do grzeszności wielu oskarżonych, ale czy ktoś przeprosił oskarżonych niewinnie? Czy któryś z obrońców ofiar zauważył, że fałszywie oskarżeni to również niewinne ofiary?

Bóg oczyszcza Kościół z gnoju, nie broń winnych, nie brudź sobie duszy. Módl się za ofiary, za krzywdzicieli, za oskarżycieli. Ty, który wyrzekasz, wyklinasz, robisz co dzień rachunek sumienia ze swoich czynów miłosierdzia? Modlisz się za bliźnich? Dajesz jałmużnę, ale nie z tego, co ci zbywa?

Bóg oczyszcza Polskę, oczyszcza swój Kościół, dobrze, że boli. Będzie mniej niewinnego cierpienia. Niektórzy pójdą w zaparte. Mam pod powiekami nagrane ukrytą kamerą polowanie Józefa Wesołowskiego na Dominikanie. Gdy usłyszałem od bezpośrednich świadków, co robił bp Paetz w Płocku, o mało nie straciłem wiary, byłem świeżo nawrócony. Dziś cudzy grzech mnie nie zabija. Dziś uginam się pod ciężarem swoich własnych grzechów.

Nie wiem, czy są prawi wszyscy oskarżyciele winnych i niewinnych kapłanów. Czy robią to dla ofiar, czy dla kariery, czy dla rozgłosu. Na pewno determinacja wielu wiernych, którzy dążą od lat, by winni zostali ukarani, jest godna szacunku. O ile nie atakują wspólnoty i nie współdziałają z środowiskami wrogimi Bogu i Kościołowi. Trzeba wspierać ich modlitwą, by zło nie wyrzuciło ich poza obręb mistycznego Ciała Chrystusa. Troska o ofiary, żądanie sprawiedliwości, ukrócenie zgorszenia.

Były łowca niewolników ciągnie w górę wodospadów swoją zbroję i klingi, które skrwawił. Znalazł odpuszczenie swoich grzechów i przebaczenie, zaczął służyć tym, na których polował. Za najgorszy odpuszczony grzech można zadośćuczynić. Nie zginą grzesznicy, zginą ci, którzy nie ufają Bogu, którzy powtarzają: „Jezu, nie ufam Tobie".

Masz czarne podniebienie. Mam czarne podniebienie. Każdy ma. Ale Bóg pamięta, że z prochu mnie ulepił, z miękkiej gliny. Lituje się nad mordercą i gwałcicielem. Oby tylko każdy z nas rzucił się w ramiona Jezusa. Zaufał.

Krew Jezusa oczyszcza mnie z każdego grzechu, muszę tylko nie uciekać przed prawdą. Krwią zostaliśmy wykupieni.

eprasa.pl 70b088b833

WOJNA CYWILIZACJI

Warte „Wyglądała teraz na fizycznie mniejszą, była mała, rozwścieczona i uległa". To cytat z fascynującej feministycznej powieści Ursuli Le Guin. „Oko czapli" jest oświeceniową powiastką dydaktyczną. Ale ten poziom warto pominąć. Moc powieści Le Guin leży w portrecie kobiety i ludzkiej cywilizacji.

Wydawnictwo Prószyński i S-ka zebrało dla nowego pokolenia czytelników w jeden tom trzy powieści Ursuli Le Guin: wspomniane „Oko czapli", przeznaczone dla dorastającej młodzieży fantasy „Miejsce początku" oraz science fiction „Jesteśmy snem", opowiadające oczywistości: możliwość rozwiązywania problemów ludzkości na pstryknięcie palca kończy się czynieniem świata coraz gorszym.

Doskonałe „Oko czapli" opublikowane po raz pierwszy w antologii SF „Millennial Women" niesie z sobą cały bagaż feministycznych złudzeń. Kultura męska, zdobywcza, dumna, przegrywa. Kultura miękka, kobieca – rolniczy Lud Pokoju, zwycięża, urzeczywistniając swoją utopię.

Cywilizacje buduje się przeciwko dzikiemu pazurowi natury. Na pustkowiu ludzie giną. Bohaterką powieści jest 20-letnia kobieta, „dziecko tych, którzy przez 100 lat budowali ściany, by się od pustkowia odgrodzić, i zaprzeczali jego istnieniu". Znali je i bali się go. Pustkowie i cywilizacja.

Ta powieść to studium władzy. Patriarchalny świat. Kulturowe formy ograniczające kobiety. I nie ma co dyskutować z faktami. W XX w. kobiety nie miały w Europie praw obywatelskich, we Francji jeszcze w latach 70. samotna wdowa nie była w stanie przeprowadzać niektórych operacji finansowych na swoim majątku, musiała oddać się choćby pod fikcyjną kuratelę jakiegoś mężczyzny.

Le Guin wyabstrahowała opozycje – pustkowie vs. cywilizacja, mężczyzna vs. kobieta – jak w retorcie. Odarła rzeczywistość ze zbędnych ozdobników, stworzyła model, przeprowadziła wiwisekcję, zoperowała kulturę Zachodu.

Traktowanie przez wieki kobiet jak dzieci, jak osób prawnie niepełnosprawnych owocuje dziś buntem. I co z tego, że jest on absurdalny?

Oto odpowiedź, oto apoteoza feministki i jej autoportret. Oto jak Lev, powieściowy niestosujący przemocy, gotów oddać życie w walce o pokój mężczyzna, widzi Luz, dziewczynę ukształtowaną w ryzach kultury męskiej: „Stała tam kobieta, stała samotnie w miejscu, gdzie nie mogła otrzymać pomocy ani znaleźć schronienia, była kobietą na pustkowiu. Jego żal zginął w podziwie i strachu. Bał się jej. Tkwiła w niej siła czerpana nie z miłości, zaufania czy wspólnoty, siła, która nie pochodziła z żadnego źródła, które powinno ją dawać, z żadnego źródła, jakie znał. Bał się tej siły i jej pragnął". Kto? Mężczyzna z marzeń feministki.

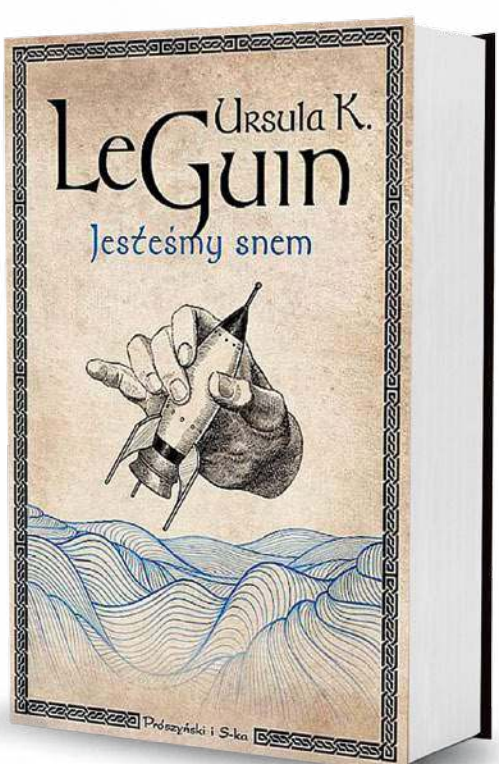

Le Guin stworzyła utopijny świat marzeń, nieistniejący świat ziemskich aniołów. Wszystkie demokratyczne debaty Ludu Pokoju były spokojne, zawsze wspólnie znajdowano mądrość. Tak wygląda królestwo Boże, w świecie rzeczywistym zawsze pojawią się niedojrzałość, strach, ambicje i głupota. Le Guin opisuje świat bez narodów i Kościoła: „Gdy się obejrzała, nie było widać niczego oprócz Wieży Pomnikowej, bladej i zaniedbanej, wskazującej bezsensownie w niebo" – tak jest definiowana filozofia konstytuująca tę narrację. Tyle że cały czas mamy u Le Guin echa chrześcijańskich prawd: „Wolność zdobywa się przez ofiarę".

Chrześcijańska figura ofiary, śmierci uzdrawiającej, przywracającej kosmiczny ład, zamieniona w swoją karykaturę. Umrzeć za ideę? Lewicowy absurd. Można umrzeć, ratując tonącego człowieka, można poświęcić życie za przyjaciela, towarzysza broni, rodaka. Z pomocą idzie się do konkretnej osoby. Tak jak Jezus.

Niechrześcijańska strona dzisiejszego kulturowego i duchowego sporu, nurt buntu, protestu, walki z systemem, patriarchatem, klasą, rasą – wszyscy ci polityczni protestanci wychwytują i wykorzystują napięcia istniejące w społeczeństwach. Lewica dąży do absurdalnych celów, ale wyszukiwanie przez nią słabości jest bezcenne.

Kryzys jest błogosławieństwem. Przynosi oczyszczenie. Zło chce zła, a Bóg wyprowadza ze zła dobro. Trwa feministyczna agresja na małżeństwo i rodzinę. Pismo święte mówi jasno: równa godność, różne powołania. Cokolwiek sądzisz, mężczyzna nie urodzi.

Od roku siedzę w domu dla ważnych racji, moja żona po dwóch dekadach wróciła na rynek pracy. Zamiana ról nie odbiera mężczyźnie męskości, a kobiecie kobiecości. W duecie jedna osoba musi podejmować ostateczne decyzje. Ale nie oznacza to przyzwolenia na łamanie woli kobiety. Władza jest służbą. Mądrze słuchać i nie przywiązywać się do swoich pomysłów. A tu dochodzi jeszcze miłość i jedność. Tylko bezinteresowna miłość nie zawłaszcza drugiej osoby.

Należysz do siebie. To najważniejsza prawda feminizmu. Po prostu prawda. A najważniejsze kłamstwo? Skąd ma pochodzić „kobieca moc" czerpana nie z miłości, zaufania czy wspólnoty?

***Robert Tekieli**, Polskie Radio*

eprasa.pl 70b088b833

Wojciech Stanisławski

Kraj (ludowy) lat dziecinnych

Takiej prozy po prostu nie da się napisać przed osiągnięciem 50. roku życia – bo wówczas wyraźniej widać Arkadię

„Heraklitejscy bogowie ognia tylko czekają, by wstąpić w pospolitego człowieka, posiąść go i spalać od środka" – pisze pogańsko i pięknie Tomasz Różycki w dopiero co wydanej powieści. A ja, zachwycony i wzruszony jego „Złodziejami żarówek" i „Sylwią z Gibalaka", zbiorem opowiadań Wojciecha Chmielewskiego, nieudolnie wtóruję tej myśli i twierdzę: tak, najważniejsze sprawy, jakie mogą się zdarzyć między ludźmi – zauroczenie, rywalizacja, miłość, przyjaźnie dziecięce, nastoletnie i dorosłe, budowanie gęstych relacji pomocy i wymiany – dokonywały się również w przestrzeni, którą odruchowo, jeszcze zanim potwierdzili to w swoich językach antropolodzy i politycy, uważaliśmy za zdegradowaną i nieprzyjazną: w wielkich blokach upadającej komuny.

To zdanie brzmi dość ryzykownie, ale ani mnie, ani – co ważniejsze – żadnemu z obu autorów nie postała w głowie rehabilitacja późnego PRL. Ani polityczna, ani w duchu staruszkowatego utyskiwania: że dzisiaj to wszystkich tylko pieniądz obchodzi, a młodzi w smartfonach siedzą, a kiedyś to ludzie więcej czasu mieli i wspólnie go spędzali, a to na pochód poszli, a to w czynie społecznym obsiali trawnik. Owszem, niesłychane przemiany świata skłaniają do lamentów w tym duchu również ludzi, którym daleko jeszcze do emerytury. W mediach społecznościowych furorę robią rozmazane lub ziarniste zdjęcia smutnych, wyasfaltowanych placyków zabaw z trzepakiem i huśtawką z żeliwnych rur, a pisane pod nimi żarliwe, tęskne pochwały ówczesnego życia (z kluczem na szyi, kromką chleba z cukrem i torem do kapsli wykreślonym kredą) są tak liczne, że doczekały się z kolei niezliczonych past i parodii, pisanych przez bezlitosne pokolenie Z. Różycki i Chmielewski są świadomi tych nostalgii i ich mocy, nie są wobec nich obojętni, ale to nie znaczy, że się nimi żywią.

Nie chodziło im też w żadnym razie o „mały realizm", o lekko sfabularyzowany obraz życia codziennego w polskim blokowisku epoki późnego Gierka i stanu wojennego. Takich zapisów i świadectw mamy bez liku, od znakomitej komiksowej „Marzi" Marzeny Sowy i Sylvaina Savoia po urbanistyczny esej „Betonia. Dom dla każdego" Beaty Chomątowskiej. W blokowiskach tamtego czasu umieszczano akcję powieści politycznych, kryminałów i romansów, często po to tylko, by opisać jakiś detal, pamiętany przez wszystkich mieszkańców Wawrzyszewa i Azorów, Przymorza i Chabrów, Piastowskiego i Piasków: drzwi wejściowe do mieszkań z dwóch warstw sklejki pomalowanej na szaro, czerwone lub szafirowe linoleum, którym obciągnięto poręcz schodów, spalone guziki windy, szczękające sople skrzynek pokrytych lakierem młotkowym.

Nie o to chodziło obu autorom, choć pamięć Różyckiego zdumiewa, opisał tak typową dla lat 80. manierę przyklejania zapalonych zapałek do sufitów, pachnące krochmalem i kurzem osiedlowe suszarnie z podłogą z lastryko, a nawet rarytas architektoniczny, który – wydawało mi się – już tylko ja przechowałem w najprywatniejszym miejscu pamięci: korytarz ciągnący się na poziomie strychów, łączący sześć czy osiem klatek schodowych, miejsce groźne, wietrzne, jasne i puste. A u Chmielewskiego, Za Żelazną Bramą, też grają czarne od mazutu windy, którymi wraca się z biblioteki osiedlowej albo zjeżdża na błotniste, nabijane kapslami podwórko z wiecznym echem.

Nie o to im chodziło. Zwłaszcza „Złodzieje żarówek" od pierwszych zdań podejmują grę literacką, wskazują na umowność opowieści, Różycki, czuły i drwiący, w obsesyjnym, kołującym monologu osnuwa całą rzeczywistość opolskiego osiedla groteską: znacząco „literackie" i umowne są nazwiska blokowiskowych rodzin, od Zasławskich, Tyszkiewiczów i Koniecpolskich po Strawińskich, Szostakowiczów i Wertyńskich, groteskowe jest przywołanie słowiańskiej tytulatury pokrewieństw, wszystkich tych paszenogów i zełw, groteskowy i niepokojący obraz „braci i sióstr" (zawsze w licznie mnogiej), nieludzkich crittersów „strojących głupie miny ze swych okratowanych łóżeczek". Groteskowe są dokonania sąsiada Stefana (ów *vir incomparabilis* potrafił wszystko: „wkręcić i wykrę-

eprasa.pl 70b088b833

cić nawet najbardziej zapiekły kran, zawór czy śrubę [...], doskonale założyć druty tak, by pobierać prąd za darmo ze spółdzielczego licznika") oraz przywoływanie znanych i zgranych toposów literatury socnostalgicznej, wszystkich tych kubańskich zielonych bananów, rzucanych przed świętami, ulepkowatego Ciociosanu i bimbru pędzonego w kuchniach.

Groteska kryje wzruszenie, ale pozwala też ukryć autorskie sygnały, tak, by nie stały się oczywiste zbyt szybko. Podejmowane przez narratora maniakalne próby uściślenia wypowiedzi („czarno-biały telewizor – zdaje się, że to były dwa neptuny, a może ametyst, a potem neptun?", „Głęboką na – czy ja wiem? – 25, może 30, no, góra 35 m jamę") wskazują, że mamy do pewnego momentu do czynienia z wielkim i daremnym wysiłkiem przypomnienia, wydobycia z niepamięci wiernego obrazu dawnych czasów, wysiłkiem skazanym na porażkę. Jak napisał swego czasu Barańczak: „Sen, jakby uderzył w ścianę, staje nagle w miejscu, / z męczącym natężeniem skupiając się na niepewnym szczególe: / czy gałka była porcelanowa, czy mosiężna. / Śpiąc jeszcze, wiesz przeraźliwie jasno, że od tego wszystko zależy. / Budząc się, wiesz równie jasno, że nigdy się nie przekonasz".

W tle tych wysiłków, tych obrazów i figli rozwija się w „Złodziejach żarówek" poemat dygresyjny prozą, bluszczowata opowieść o wędrówce z woreczkiem cudem wystanej w kolejce kawy, która pozwala przedstawić klany znajomych, ówczesne prezenty i pomysły na spotkania towarzyskie, bójki, dumę, upadek oraz sposoby postępowania z dziećmi i w okrucieństwie, i w dobroci różne od naszych. Opowieść piekielnie precyzyjna, lubująca się w dobrze skonstruowanych nawiązaniach i aluzjach (nawet gałązka krzewu kawowego z XIX-wiecznej ryciny George'a de Alvisa nie znalazła się na okładce przypadkiem). Dokąd ta opowieść zmierza? O tym za chwilę.

Bo jest jeszcze Wojciech Chmielewski i jego zbiorek opowiadań. Czasem nawet mniej, po prostu migawek czy zapisów. Co robić z pisarzami, którzy są bliscy nie tylko nam, lecz także kręgowi czytelników, że – wydawałoby się – wystarczyłoby napisać „nowa proza Chmielewskiego" i już nic nie trzeba by dodawać, wiadomo, że będzie tam moment wieczny, stojąca fala teraźniejszości: „Chłód w klimatyzowanym tramwaju, miasto rozgrzane. Pojazd posuwa się bezszelestnie [...], rozcina gorące powietrze, pasażerowie oddychają głębiej"? Tą pozorną prostotą, zapisem ulotnych rzeczy i spotkań, którym przydaje wagi wyłącznie za sprawą swojego spojrzenia, autor przyciąga od lat. Tym razem zostało opisane pogranicze światów, osiedla Za Żelazną Bramą i sąsiadujących z nim resztek zabudowy przedwojennej Warszawy (w tym okupacyjnego getta), którym towarzyszy coraz mocniejszy u narratorów/bohaterów Chmielewskiego żal z racji niespełnienia planów, przekonanie o porażce. Sklep na Twardej. Blok na Krochmalnej 2. „Dziś w tym miejscu jest nowy budynek mieszkalny" – powraca w „Sylwii z Gibalaka". Czyli: tu było, tu stało.

Jestem zdania, że zapisy dokonane przez Chmielewskiego (rocznik 1969) i Różyckiego (1970) to zapisy doświadczenia pokoleniowego, może wręcz proza pokoleniowa. Raz jeszcze: nie chodzi mi o wybór tła lub tematu, jakim jest blok z czasów PRL i życie w nim, ani o sprawność w opisaniu jego detali. Raczej o opisanie relacji i miejsca, zapamiętanych z dzieciństwa jako czegoś doskonałego i absolutnie już niedostępnego. Takiej prozy po prostu nie da się napisać przed osiągnięciem 50. roku życia – bo wówczas wyraźniej widać Arkadię i można zrozumieć, co od niej dzieli. I w obu książkach (powieść Różyckiego, obrazki Chmielewskiego) proporcje żartu i zachwytu zmieniają się na niekorzyść tego pierwszego. Bo i jest co wspominać, choćby w bloku wymazanym lamperiami, kopciem i smarem. Krajobraz, do którego dziś nie można wejść, ale jest na pewno. „Nie zaburzony błędów przypomnieniem, / Nie podkopany nadziei złudzeniem / Ani zmieniony wypadków strumieniem".

DO KUPIENIA NA STRONIE WSKLEPIKU.PL

DO KUPIENIA NA STRONIE WSKLEPIKU.PL

Tomasz Różycki, „Złodzieje żarówek", Czarne, 2023.
Wojciech Chmielewski, „Sylwia z Gibalaka i inne opowiadania", Arcana, 2023

eprasa.pl 70b088b833

Rynek usług audytorskich pod lupą PANA

Wraz ze wzrostem uwarunkowań prawnych i finansowych związanych z prowadzeniem biznesu rośnie znaczenie pracy biegłych rewidentów. Podstawowym źródłem informacji o podmiotach gospodarczych są sprawozdania finansowe, a zadaniem audytu jest weryfikacja zarówno rzetelności sprawozdań finansowych, jak i ich zgodności z przepisami prawa. A kto kontroluje kontrolerów? To działająca od trzech lat Polska Agencja Nadzoru Audytowego

Brak audytu i rzetelnego, niezależnego nadzoru nad wykonywaniem badań sprawozdań finansowych może stwarzać warunki do manipulowania wynikami finansowymi i przedstawiania nieprawdziwego obrazu sytuacji firmy, a to z kolei może powodować nieuczciwą konkurencję rynkową, wprowadzanie w błąd kooperantów i klientów oraz podejmowanie błędnych decyzji biznesowych. Audyt stanowi także pierwsza linię obrony przed oszustwami podatkowymi.

Przypomnijmy sobie wielki krach firmy energetycznej Enron w 2001 r., wywołany właśnie przez oszustwa księgowe, który wskutek niewłaściwego nadzoru ze strony audytorów spowodował utratę pracy przez wiele osób. Krach ten wpłynął na funkcjonowanie rynku kapitałowego, wycofując z giełdy inwestorów, powodując również silne wyhamowanie wzrostu gospodarczego.

– Jak się cofniemy do dużej, amerykańskiej sprawy Enronu sprzed ponad 20 lat, to uświadomimy sobie, że audytorzy są bardzo ważni, chociaż afera nie była spowodowana tylko przez nich. To było rozległe oszustwo. Enron był grupą wielu powiązanych z sobą podmiotów. Proces sądowy, który miał wtedy miejsce, wykazał, że audytorzy wiedzieli, że były bardzo silne relacje między nimi a Enronem. Nie byli niezależni, przez to przymykali oko, nie zwracali uwagi też na to, co ważne, oraz nie dali sygnału rynkom i inwestorom, że jest zagrożenie dla zainwestowanych środków.

Audytorzy są dzisiaj trochę jak tłumacze w czasach niepiśmiennych – potrafili czytać i pisać oraz przekazywali coś, co było zawarte w księgach, wszystkim tym, którzy nie znali alfabetu. Audytorzy, którzy badają sprawozdania finansowe, są dzisiaj właśnie jak tacy mnisi kiedyś. Sprawdzają bowiem informacje zawarte w kilkusetstronicowych, często bardzo skomplikowanych sprawozdaniach, zadają odpowiednie pytania, m.in. dotyczące kontroli wewnętrznej, i przekazują dalej osobom nieposiadającym wiedzy o rachunkowości, finansach i podatkach, czy w sprawozdaniu finansowym nie ma błędów lub nie ma znamion oszustwa – mówi Marcin Obroniecki, prezes Polskiej Agencji Nadzoru Audytowego.

Konieczność sporządzania wiarygodnych, rzetelnych sprawozdań finansowych jest niezwykle istotna, a kontrola obejmująca działania audytorów wydaje się jak najbardziej uzasadniona. Polska Agencja Nadzoru Audytowego (PANA) rozpoczęła działalność 1 stycznia 2020 r. w ramach reformy nadzoru nad sprawozdawczością finansową. Została powołana w celu sprawowania niezależnego nadzoru nad biegłymi rewidentami, firmami audytorskimi oraz samorządem zawodowym biegłych rewidentów.

– Przeprowadzane przez nas kontrole w firmach audytorskich są bardzo dokładne. Jak na razie widać, że w 70–80 proc. dokumentacji z badania są nieprawidłowości. Zdarzają się takie niewielkiego kalibru, ale bywają też błędy istotne, dotyczące np. wycen różnych składników majątku. Jako Polska Agencja Nadzoru Audytowego sprawdzamy też, czy firma ma odpowiednie procedury, wynikające ze standardów czy z ustawy o biegłych rewidentach. Potem w ramach analizy ryzyka sprawdzamy dokumentacje badań. Z wszystkich badań, które przeprowadziła firma audytorska, wybieramy te, które wydają nam się najbardziej ryzykowne i sprawdzamy, czy te badania zostały poprawnie przeprowadzone – wyjaśnia prezes Obroniecki.

W Polsce działa prawie 1,5 tys. firm audytorskich. Z roku na rok jest ich jednak coraz mniej.

– PANA istnieje od ponad trzech lat i od początku zatrudniamy osoby z misją, osoby o właściwym poczuciu etyki. Audytujemy audytorów. Wobec ogromu przepisów, standardów to ciężka i odpowiedzialna praca – podkreśla prezes PANA.

Przepisy nakładają na audytorów wiele procedur, standardów i obowiązków. Jak powiedział nam prezes PANA, poza konieczną wieloletnią edukacją i zdobywaniem doświadczenia biegły rewident musi ciągle poszerzać wiedzę z różnych obszarów, w tym m.in. z dziedzin nowych, związanych z innowacyjnymi technologiami czy coraz bardziej skomplikowanymi instrumentami finansowymi. Dużym wyzwaniem jest dlatego zachęcanie młodych osób do uzyskiwania uprawnień biegłego rewidenta. Zmiana pokoleniowa wydaje się niezbędna, a co za tym idzie – także inwestycje związane z technologią. Wszystko po to, by utrzymać w Polsce wysokie standardy audytorskie.

Joanna Buczyńska

eprasa.pl 70b088b833

DODATEK SPECJALNY
SIECI
GAZETA BANKOWA
wGospodarce.pl

Liderzy polskiej gospodarki na kongresie ImpactCEE 2023

W POZNANIU O WPŁYWIE LOKALNYCH WYDARZEŃ NA GLOBALNĄ EKONOMIĘ

Technologia przyszłości jest z nami już dziś

Transformacja energetyczna – szansa, wyzwanie czy zagrożenie?

Odporność polskich banków na globalne wydarzenia

Czempioni polskiej gospodarki z mistrzami sportu

Relacje i wywiady wideo z uczestnikami kongresu dostępne na stronach **wGospodarce.pl** i **wPolsce.pl**

Partnerzy

BGK BANK GOSPODARSTWA KRAJOWEGO

Bank Pekao

Partner strategiczny

ORLEN

eprasa.pl 70b088b833

IMPACT jak w banku

Kongres Impact to wydarzenie bez wątpienia ze światowym rozmachem, zacięciem i na światowym poziomie. Wiadomo, że jeśli można mieć na coś wpływ (ang. impact), to trzeba mieć na to wpływ. Goście oraz prelegenci z Polski i zagranicy przez dwa dni debatowali o tym, jak można odpowiedzieć na najważniejsze współczesne wyzwania i na co tak naprawdę mamy ten wpływ. A mamy na więcej, niż sądzimy

Podczas tegorocznej edycji konferencji Impact'23, wydarzenia poświęconego zmianom społeczno-gospodarczym i nowym technologiom, w br. szczególnie dużo uwagi poświęcono sztucznej inteligencji, jednak cały czas wątek Ukrainy był również silnie obecny. Przedstawiciele Banku Gospodarstwa Krajowego (BGK) szczególnie byli aktywni właśnie na tym ostatnim polu. Nic dziwnego. Jak podkreślali, w odbudowie Ukrainy Polska ma do odegrania szczególną rolę nie tylko w wyniku swojego sąsiedztwa z tym krajem. Ukraina, by trwale związać się z Zachodem, musi podążyć tą samą drogą co Polska. To oznacza, że również w powojennej Ukrainie mogą pojawić się napięcia społeczne, które można rozwiązać, m.in. korzystając z polskich doświadczeń tego, co u nas zdało egzamin, a co nie.

Na globalne wyzwanie w trakcie wojny na Ukrainie i po jej zakończeniu zwracała uwagę Beata Daszyńska-Muzyczka, prezes BGK, podczas panelu „Globalne wyzwania w erze nowego pokoju". W debacie udział wzięli także m.in. Mark Brzezinski, ambasador USA w Polsce, oraz Valerie Jarrett, założycielka Obama Foundation, była doradczyni prezydenta Baracka Obamy za jego kadencji. Prezes Daszyńska-Muzyczka zwracała uwagę, jak bardzo wpłynęły na nas ostatnie wydarzenia oraz na różnice między nimi. – Kryzys covidowy przyniósł wiele niepewności, obaw ludzi o swoje życie, rodziny, zdrowie i nikt nie wiedział, co wydarzy się jutro. Ale taki kryzys to też możliwości i szanse. Wojna na Ukrainie to inny kryzys. To sprawdzian dla całego zachodniego społeczeństwa ze społecznej odpowiedzialności i sposobów reagowania – mówiła Beata Daszyńska-Muzyczka, prezes BGK. – Odwiedziłam wiele krajów i gdy pytano mnie, skąd jestem, mówiono, że to wspaniale, że jestem z Polski, a Polacy są tak niesamowici, pomagając Ukraińcom. Możemy być i jesteśmy przykładem dla innych narodów – dodała.

Zwróciła przy tym uwagę na kwestie energetyczne. Podkreśliła, jak ważne było to, że obecny rząd swoją pracę nad uniezależnieniem się od rosyjskich surowców rozpoczął na długo przed inwazją Rosji na Ukrainę. – Wojna w Ukrainie to też kryzys energetyczny i wyzwanie dla wszystkich. Polska była dość dobrze przygotowana na to wyzwanie z własnym gazoportem i możliwością dywersyfikacji. Pytałam wtedy znajomych, jaki byłby najlepszy sposób na pokonanie Putina? Odpowiadali, że przyspieszenie transformacji energetycznej. Uważam, że ten kryzys daje nowe możliwości. Polska i cały region mają szansę zachęcić inwestorów, by tu inwestowali, mamy szansę przekonać innych, że Polska to najlepsze miejsce na nowe inwestycje – mówiła prezes BGK.

O transformacji energetycznej w Polsce wspominał też ambasador USA w Polsce. – Nasze dzieci odziedziczą ten świat, więc politycy poważnie powinni brać i biorą sobie do serca te sprawy. Oddajemy cześć Polakom, że sięgają głęboko do swoich kieszeni, by zmieniać tę energetyczną infrastrukturę, bo to nie są tanie rzeczy. Ale nasz SMR i Westinghouse da przyszłym pokoleniom Polaków czystą i stabilną energię. W miarę jak Polska się zmienia, a Ukraińcy wygrają, czeka nas ten etap energetycznej transformacji Europy, który zakończy te zmiany – ocenił Mark Brzezinski, ambasador Stanów Zjednoczonych w Polsce.

O niezbędnych zmianach, które muszą zajść w Europie i na Ukrainie, by po wojnie zagościł trwały pokój, mówił w swoim wystąpieniu „Doświadczenia transformacji Europy Środkowej i Wschodniej – przesłania dla Ukrainy" Mateusz Walewski, główny ekonomista BGK. – Rolą naszego regionu, Europy Środkowo-Wschodniej, Trójmorza, będzie nie tylko służenie za hub transportowy, miejsce zaplecza dla tej odbudowy, lecz także służenie pomocą i radą Ukrainie w odbudowie gospodarki wolnorynkowej – powiedział. – Ukraina ma do przejścia ogromną drogę do zbudowania bezpiecznej, efektywnej, uczciwej gospodarki rynkowej integrowalnej z europejską. Doświadczenie organizacyjne naszych krajów gra tu ogromną rolę. Poza wszystkim warunkiem powodzenia

eprasa.pl 70b088b833

całości jest gwarancja bezpieczeństwa Ukrainy. Bez niego nie ma transformacji. Bez objęcia Ukrainy parasolem NATO na dłuższą metę nic z tego się nie uda – ocenił Mateusz Walewski, główny ekonomista BGK.

TECHNOLOGIA W SŁUŻBIE CZŁOWIEKA CZY CZŁOWIEK W SŁUŻBIE TECHNOLOGII?

W wątku o wyzwaniach, jakie dla współczesnej gospodarki będzie stawiać sztuczna inteligencja (AI), Beata Daszyńska-Muzyczka, prezes BGK, oceniła, że mimo całej doskonałości wyliczeń oraz analiz, które może przeprowadzać AI, do właściwych wniosków cały czas potrzeba będzie ludzkiej wrażliwości, nie chłodnej, maszynowej kalkulacji. – Nowe technologie to też szanse i zagrożenia. Wielu z nas miało już doświadczania z chatbotami. AI to fascynujące narzędzie, ale tylko narzędzie. Może nie tylko rozwiązać wiele problemów, lecz także oferuje wiele wyzwań. Nie możemy przeceniać sztucznej inteligencji, bo tylko ona może wskazać właściwą drogę rozwiązania globalnych problemów. Wierzę w bycie człowiekiem, ludzką empatię i ludzką wrażliwość w tej technologicznej przyszłości. Pieniądze to nie wszystko – podsumowała prezes BGK.

Podczas panelu „Jak technologia może wspierać trzeci z filarów piątej rewolucji przemysłowej, czyli odporność na ewentualne zagrożenia i kryzysy", zwracano uwagę, że zamiast o rewolucji 4.0, dziś już wszyscy mówią o rewolucji 5.0 i to zanim ta 4.0 tak naprawdę zdążyła się rozkręcić. Zdaniem uczestników dyskusji zapomnieliśmy o człowieku i teraz możemy albo zaprogramować robota tak, by rozumiał człowieka, albo zaprogramujemy robota od razu na podobieństwo człowieka. Jak wskazywano, w myśleniu AI różni się tym od człowieka, że człowiek zawsze myśli kontekstowo, a sposób myślenia AI jest niczym nieskrępowany. Człowiek całe życie się uczy, co jest dobre, a co złe, narzuca to pewne granice w wyciąganiu wniosków. AI nie ma tej ramki myślowej, wychodzi poza nią, co dla człowieka może być nawet niebezpieczne. Jeśli np. AI uzna, że to człowiek jest największym zagrożeniem dla planety i żyjących na niej gatunków, to mogłoby rozwiązać problem w bezwzględny i brutalny dla nas sposób. Dlatego na powstawanie coraz potężniejszych sztucznych inteligencji również trzeba mieć coraz większy wpływ. Podobnie jak chcemy mieć coraz większy, pozytywny wpływ na klimat. – Kryzysy były, są i będą. Wynikają z wielu działań, które się z sobą splatają. Nagłe osłabienie gospodarcze, kryzys klimatyczny, który jest czymś, co nie dotknęło nas dzisiaj, tylko trwał lata i dekady. Chcielibyśmy mieć wiodącą rolę, by jakoś temu przeciwdziałać, ale sami nie damy rady nic zmienić – mówił Marcin Terebelski, dyrektor programu „Rozwój przemysłu" Banku Gospodarstwa Krajowego.

Jak wskazano, nadal stoimy przed fundamentalnym wyzwaniem, na które musimy odpowiedzieć globalnie. Jest nim brak realnie wspólnego zaangażowania wszystkich krajów w zieloną transformację i ochronę środowiska. Jeśli np. jeden kraj nie przestrzega zasad, to nie będzie dostatecznego wpływu, by coś zmienić. O tym, jak temu zapobiec i mieć dostateczny „impact" w tej sprawie, dyskusje będą się toczyć dalej.

Maksymilian Wysocki

Fot. Materiały prasowe

Artykuł sponsorowany | 24/0523/F

eprasa.pl 70b088b833

Sponsoring sportu to przepustka na zagraniczne rynki

„Grupa ORLEN to największy i najbardziej aktywny sponsor sportu w Polsce. Kompleksowym wsparciem obejmujemy blisko 100 utalentowanych zawodników, 70 klubów sportowych, 11 związków i 2 komitety" – czytamy na łamach ogłoszonego 11 maja raportu sponsoringowego Grupy ORLEN za 2022 r. ORLEN Team i zawodnicy wspierani przez koncern byli licznie obecni na majowym kongresie Impact'23 w Poznaniu

Od lewej Adam Góral Prezes Acceco Poland S.A., Adam Burak – Członek Zarządu ds. Komunikacji i Marketingu PKN ORLEN S.A.

Grupa ORLEN w ostatnim roku umocniła pozycję największego sponsora w Polsce. Koncern wspiera polski sport i kulturę, a jako odpowiedzialna społecznie firma popularyzuje aktywności sportowe wśród dzieci i osób z niepełnosprawnościami. Przez ostatnie kilka lat sponsoring stał się dla PKN ORLEN narzędziem wspierającym globalny biznes prowadzony w ponad 90 krajach świata.

O działalności sponsoringowej Orlenu mówił na poznańskim kongresie Adam Burak, członek zarządu ds. komunikacji i marketingu. – Lwia część dochodów Grupy ORLEN pochodzi z rynków zagranicznych, dlatego marketing sportowy kierujemy na cały świat. Rozwój grupy na rynkach zagranicznych zainspirował nas, by taką drogą podążać także w marketingu – mówił.

Fot. Materiały prasowe

eprasa.pl 70b088b833

MARKA

Faktycznie, logo ORLEN pojawia się na koszulkach i strojach sportowców dyscyplin popularnych na całym świecie, dzięki ich sukcesom w międzynarodowych zawodach marka staje się rozpoznawalna niemal w każdym zakątku globu.

– Marketing sportowy to moim zdaniem najlepsza platforma do komunikacji i budowania rozpoznawalności marki, bo buduje zaufanie. Inwestujemy zatem w dyscypliny szczególnie ważne w krajach, w których jesteśmy obecni – wyjaśniał prezes Burak. – Formuła 1 to nasz sztandarowy projekt globalny, ale w Niemczech jesteśmy sponsorem w piłce ręcznej, w Czechach w hokeju, na Litwie jesteśmy obecni oczywiście w koszykówce, a w br. po raz pierwszy angażujemy się mocno w kolarski Wyścig Narodów, w którym występują zawodnicy z Polski, Czech, ze Słowacji i z Węgier, gdzie ten sport jest też bardzo popularny – mówi Adam Burak.

Grupa cały czas współpracowała z klubami sportowymi piłki nożnej, ręcznej i koszykówki z miejscowości, w których jej spółki mają swoje siedziby: Wisłą Płock (piłka ręczna i piłka nożna), Wisłą Kraków, Lechią Gdańsk i Anwilem Włocławek. W ub.r. PKN ORLEN kontynuował wspólne projekty z Lang Team dotyczące organizacji prestiżowych wyścigów kolarskich dla zawodowców i amatorów – czytamy w raporcie sponsoringowym.

ZAUFANIE

W czasie panelu na kongresie Impact'23, w którym uczestniczyli także Adam Góral, prezes Asseco, i Magdalena Szozda, brands partnership & Kinder Joy of moving manager Ferrero Polska Commercial, wyraźnie wybrzmiało, że sponsorowanie sportu jest dla dużych marek elementem ESG i społecznej odpowiedzialności, a sponsorzy stają się partnerami sportowców i wydarzeń sportowych. To – jak podkreślano – właśnie kwestia zaufania zarówno ze strony kibiców, jak i samych sportowców, którzy stają się ambasadorami marek. W przypadku Orlenu – marki polskiego czempiona.

F1 – KRÓLOWA SPORTOWEGO MARKETINGU

Flagowym projektem marketingu sportowego Orlenu jest Formuła 1. – To też królowa sportowego marketingu. Sponsorzy walczą o każdy centymetr bolidu, stroju zawodników i ekipy. Obserwujemy teamy i ich postępy. Gdy wycofaliśmy się z roli sponsora tytularnego zespołu Alfa Romeo F1 Team, nie opuściliśmy świata Formuły 1. W br. nasze logo będzie obecne na bolidach Scuderia AlphaTauri – mówił prezes Burak, podkreślając, że zaangażowanie w F1 przełożyło się też pozytywnie na rozmowy biznesowe z Saudi Aramco. – Nie byliśmy anonimową marką, ale firmą znaną właśnie m.in. z prestiżowych wyścigów F1 – mówił Adam Burak podczas poznańskiego panelu.

Współpraca z Alfa Romeo i wsparcie Roberta Kubicy, jedynego polskiego kierowcy w historii F1, przez trzy lata konsekwentnie zwiększały globalną świadomość marki i były doskonałą platformą do działań marketingowych w Polsce i na rynkach zagranicznych. W 2023 r. ORLEN jako partner główny Scuderia AlphaTauri robi kolejny krok w walce o międzynarodową rozpoznawalność i dotarcie do ponad 400 mln kibiców na całym świecie. Dzięki obecności w padoku królowej motosportu polski czempion plasuje się na 30. miejscu wśród 100 najbardziej eksponowanych sponsorów tej dyscypliny.

Bardzo dużą popularnością na całym świecie cieszy się też Rajd Dakar, na którym kierowcy ORLEN Teamu występują już od ponad 20 lat. Świadomość marki ORLEN gwarantuje blisko 6-mln społeczność skupioną w mediach społecznościowych tego najbardziej wymagającego rajdu na świecie. Liczba fanów rajdu robi wrażenie – 11,6 mln użytkowników, którzy odwiedzili stronę internetową podczas rajdu w 2022 r., oraz ponad 1 tys. redakcji z całego świata relacjonujących zmagania dakarowców.

DŁUGOFALOWE DZIAŁANIA

– Marketing kosztuje, pieniędzy w polskim sporcie wciąż przybywa. Reklama, komunikacja marki, budowanie wizerunku, w końcu też odpowiedzialność społeczna i budowanie zaufania – to działania, które muszą być blisko ludzi. Komunikacja musi być obustronna, pozwalać na natychmiastową reakcję publiczności, kibiców, a to umożliwiają nowe, zmieniające się media, w których jesteśmy obecni – dodał prezes Burak.

Przemyślane i długofalowe podejście do sponsoringu buduje pozycję jednej z największych firm w Europie Środkowej. Grupa ORLEN już dzisiaj dysponuje największą w tej części kontynentu siecią blisko 3,1 tys. stacji paliw. Do 2030 r. udział zagranicznych stacji zgodnie z założeniami ma wzrosnąć do 45 proc., dlatego koncern konsekwentnie stawia na projekty budujące świadomość marki w krajach, w których prowadzi już swoją działalność detaliczną – czytamy w raporcie Grupy ORLEN.

I choć PKN ORLEN działa globalnie, to zawsze na pierwszym miejscu stawia zaangażowanie na rzecz społeczności lokalnych – podkreślają autorzy raportu sponsoringowego. Dzięki akwizycjom skutecznie przeprowadzonym w 2022 r. Grupa ORLEN jest dzisiaj zaangażowana w kompleksowe wsparcie 9 spośród 10 najpopularniejszych dyscyplin sportu wśród Polaków. To piłka nożna, siatkówka, skoki narciarskie, lekkoatletyka, piłka ręczna, koszykówka, Formuła 1, żużel i wyścigi samochodowe.

Koncern nie zapomina też o tworzeniu warunków sprzyjających upowszechnianiu kultury sportu.

– Jesteśmy zaangażowani w aktywizację sportową ponad 300 tys. dzieci w całej Polsce. Dzięki takim projektom, inwestycjom w kluby sportowe i oddolnym działaniom możemy czekać na sukcesy i nową generację sportowców – dodał Adam Burak.

(mac)

Artykuł sponsorowany | 21/0523/F

eprasa.pl 70b088b833

Mecenas polskich sportowców

Od prawej Bartosz Zmarzlik

Kiedy przedstawiciele Grupy ORLEN mówią o wspieraniu sportowców, w ich wypowiedziach oprócz dumy z osiągnięć zawodników zawsze pojawia się kontekst biznesowy. Kierujący multienergetycznym gigantem nie ukrywają, że także w tym aspekcie realizują starannie zaplanowaną strategię, opartą na precyzyjnych wyliczeniach i kalkulacjach. Nie inaczej było na poznańskim Impact'23, gdzie przedstawiciele Grupy ORLEN oraz sportowcy wchodzący w skład ORLEN Team wzięli udział w debatach dotyczących sportu, finansów, biznesu, gospodarki i marketingu

Nie sposób nie zacząć tego tekstu od liczb, bo te, które znalazły się w najnowszym raporcie sponsoringowym zaprezentowanym niedawno przez ORLEN świetnie pokazują skalę zaangażowania koncernu w sport. A ta jest niebagatelna, i co więcej – podobnie jak sam koncern dynamicznie rośnie.

Od 2015 r. liczba indywidualnych umów podpisanych przez Grupę ORLEN ze sportowcami wzrosła z 13 do blisko 100, z klubami sportowymi – z 12 do ponad 70, a ze związkami sportowymi – z 2 do 11. Wśród tych ostatnich są m.in. Polski Związek Piłki Siatkowej i Polski Związek Lekkiej Atletyki, a w efekcie ubiegłorocznego połączenia z Grupą LOTOS i PGNiG koncern rozpoczął współpracę z Polskim Związkiem Piłki Nożnej, Polskim Związkiem Narciarskim, Związkiem Piłki Ręcznej w Polsce.

– Dzięki skutecznie przeprowadzonym procesom akwizycyjnym Grupa ORLEN to dzisiaj największy multienergetyczny koncern w Europie Środkowej. Połączenie PKN ORLEN,

Fot. Materiały prasowe

eprasa.pl 70b088b833

Od prawej Kamil Stoch

Energi, Grupy LOTOS oraz PGNiG otworzyło przed nami nowe możliwości. Do 2030 r. nasze nakłady inwestycyjne wyniosą ok. 320 mld zł. Dynamicznie rozwijamy się także na polu sponsoringu, który jest ważnym elementem naszej strategii. Od kilku lat podchodzimy do niego długofalowo. Widzimy, jak efektywne zarządzanie tym obszarem buduje rozpoznawalność marki ORLEN i wspiera biznes. W 2022 r. dzięki projektom sponsoringowym wypracowaliśmy ponad 2 mln publikacji w mediach, które przełożyły się na rekordowe 1,4 mld zł ekwiwalentu reklamowego – przyznaje Daniel Obajtek, prezes zarządu PKN ORLEN.

Zarówno podczas oficjalnych debat, jak i w mniej formalnych rozmowach przedstawiciele Grupy ORLEN ze szczególną dumą opowiadają o jej strategicznym projekcie, czyli Formule 1 (od 2023 r. ORLEN jest głównym partnerem włoskiego zespołu Scuderia AlphaTauri). Tu znów niezwykle istotny jest kontekst biznesowy, bo sport ma dawać globalną rozpoznawalność i umożliwiać docieranie do kilkuset milionów kibiców motosportu na świecie.

LUDZIE SPORTU W ŚWIECIE BIZNESU

Truizmem będzie konstatacja, iż zarówno w sporcie, jak i w każdej innej sferze działalności najważniejszym walorem są ludzie. W trakcie poznańskiego Impact'23 gościliśmy w studiu „Gazety Bankowej" kilku przedstawicieli ORLEN Teamu. Trzeba przyznać, że polscy sportowcy w miejscu, które nie było ich naturalnym środowiskiem, radzili sobie wyjątkowo sprawnie, choć rytm dnia wyznaczały im spotkania związane z obecnością fanów, mediów i przedstawicieli biznesu. Mimo napiętego harmonogramu przedstawiciele drużyny płockiego giganta sprawiali wrażenie osób, które rozumieją, że współczesny świat wymaga od nich także takich działań. To pokazywało, że Grupie ORLEN udało się zebrać w swoim zespole wiele jednostek wybitnych nie tylko w wymiarze sportowym. Nie sposób nie zauważyć, iż wszyscy zawodnicy z ORLEN Teamu to ludzie świadomi tego, że media, biznes i sport są systemem naczyń połączonych. Rodzaj uprawianej dyscypliny nie miał tu znaczenia – wszak rozmawialiśmy na Impact'23 z Krzysztofem Szopińskim, Kamilem Stochem, Piotrem Żyłą, Tadeuszem Michalakiem, Pawłem Fajdkiem, a także z tegorocznym zdobywcą Nagrody im. Puskasa Marcinem Oleksym.

Ograniczona liczba znaków gazetowej relacji sprawia, że nie możemy opisać wszystkich z tych rozmów. Dlatego zachęcamy do sprawdzenia ich na łamach naszych portali, bo choć nikogo z wymienionych sportowców nie trzeba fanom w Polsce przedstawiać, to warto czasami pokazać i przypomnieć, jakimi ludźmi są nasi idole.

Wśród sportowców wspieranych przez ORLEN nie brakuje olimpijskich mistrzów. Jest wśród nich Kamil Stoch, jeden z najbardziej utytułowanych skoczków narciarskich w historii tej dyscypliny, który w swojej bogatej karierze zdobył m.in. trzy złote medale igrzysk olimpijskich, dwie Kryształowe Kule, dwa złote medale mistrzostw świata (drużynowo i indywidualnie), dodatkowo trzykrotnie triumfował w prestiżowym Turnieju Czterech Skoczni. Jednak podczas rozmowy opowiadał nam o klubie piłkarskim z miasta Beatlesów. Zachowując młodzieńczy entuzjazm, człowiek, który odnosił sportowe sukcesy na tylu różnych imprezach, z ogromnym znawstwem relacjonował swoją wizytę na Anfield Road, gdzie jako sympatyk Liverpoolu miał okazję oglądać mecz swojej ukochanej drużyny.

Znakomity sportowiec, kibic i jednocześnie ktoś, kto z dumą opowiada o swojej wierze i nie wstydzi mówić wprost, że obecne sukcesy zawdzięcza nie tylko ogromnemu talentowi i wielkiej pracy. Na pytanie o to, jak ważne dla niego są wartości, które w życiu wyznaje, odpowiadał niezwykle dojrzale. – To jest temat bardzo rozległy. Moglibyśmy o nim rozmawiać przez kilka godzin. Uważam, że wartości, które wyznajemy i chcemy przekazać światu, muszą być czymś, w co sami wierzymy, czego oczywiście nie będziemy się wstydzić i czego będziemy się trzymać. Raz obrana droga musi nam już przyświecać praktycznie do końca naszej kariery sportowej, a nawet dłużej – do końca życia – mówił nam dwukrotny zdobywca Pucharu Świata. – To czyni nas nie tylko ludźmi wiarygodnymi, lecz także ludźmi żyjącymi w zgodzie z samym sobą. Warto dobrze sobie przemyśleć to, czym się chcemy kierować w życiu, i to, co właśnie chcemy pokazać na zewnątrz, żeby później nie musieć lawirować i błądzić w jakichś, mówiąc kolokwialnie, trudnych sprawach – wyjaśniał.

Wybitny sportowiec, który otwarcie mówi o swoim światopoglądzie i z dumą wypowiada się na temat wyznawanego przez siebie katolicyzmu. Trudno sobie wyobrazić piękniejsze świadectwo i lepszy wzór do naśladowania. Warto dbać o to, żeby to właśnie tacy ludzie jak Kamil Stoch rozsławiali imię biało-czerwonej na wszystkich arenach świata. Niech będą też inspiracją dla tych, którzy chcą się od nich uczyć sportu i życia. Zarówno dziś, jak i w przyszłości.

Artykuł sponsorowany | 21/0523/F

eprasa.pl 70b088b833

Lekcja przewidywalnych zdarzeń, czyli jak odporny jest sektor bankowy w Polsce?

Impact'23, jedno z najbardziej znaczących wydarzeń o tematyce gospodarczo-technologicznej nie tylko w Polsce, lecz także na całym terenie Europy Środkowo-Wschodniej, nie mógł odbyć się bez udziału przedstawicieli liderów polskiego biznesu. Dlatego jednym z kluczowych partnerów Impact'23 był Bank Pekao S.A., którego eksperci byli uczestnikami wielu dyskusji o kluczowych globalnych wyzwaniach dotyczących świata finansów i nowych technologii

Silna reprezentacja banku była widoczna w trakcie 12 paneli tematycznych. Leszek Skiba, prezes Banku Pekao, nie ukrywał, że bardzo zależy mu na tym, by zarządzana przez niego instytucja dobrze wpisała się w rytm finansowych i technologicznych debat podczas Impact'23. – Nasz udział w poznańskim Impact'23 stanowi dla nas świetną możliwość, żeby odnieść się do wszystkich najważniejszych kwestii związanych z polską i światową gospodarką. Obecność tu jest ważna dla wszystkich, którzy chcą się włączać w dyskusje o bieżącej sytuacji i dzielić przewidywaniami i prognozami – mówił Leszek Skiba.

Debaty podczas Impact'23 pozwoliły na dość niecodzienną możliwość konfrontowania swoich opinii i prognoz z opiniami wielu innych liderów ze świata polityki, biznesu czy nauki. Choćby takimi, jak aktorka i aktywistka Natalie Portman czy Nassim Nicholas Taleb, amerykański ekonomista i filozof.

Fot. Filip Radwański

eprasa.pl 70b088b833

CZEGO UCZY NAS AMERYKAŃSKI KRYZYS SEKTORA BANKOWEGO?

Taleb, prof. Uniwersytetu Nowojorskiego i autor wielu bestsellerów, m.in. „Czarny Łabędź. O skutkach nieprzewidywalnych zdarzeń" czy „Antykruchość. O rzeczach, którym służą wstrząsy", wielokrotnie podejmował temat stabilności sektora finansowego i bankowego w Stanach Zjednoczonych.

Dlatego też wiele dyskusji w trakcie Impact'23 poświęcono tematowi, który niezwykle często pojawia się w kontekście obecnych problemów geopolitycznych w naszym regionie, czyli kwestii odporności sektora finansowego na różnorodne kryzysy.

Ważnym głosem dotyczącym tej właśnie sprawy była debata „Próba odporności: sektor finansowy przez kryzys i nie tylko. Czyli jak instytucje finansowe powinny funkcjonować w świecie wysokich stóp procentowych i inflacji?", w której wziął udział Leszek Skiba, prezes Banku Pekao.

Eksperci zaproszeni na debatę odnosili się do głośnych kryzysów sektora bankowego na rynku amerykańskim i podkreślali, że to, co wydarzyło się w Stanach Zjednoczonych, jest świetną lekcją także dla polskiego sektora bankowego. – To, co się dzieje z amerykańskim systemem bankowym, to lekcja dla nas. Choć poszczególne składowe tego zjawiska i te aspekty, które doprowadziły do takiej sytuacji, nie są niczym nowym, to dobrze, że możemy sobie przypomnieć te nauki, o których czasem zapominamy. My w Polsce rzadziej, bo nasz system jest bliższy klasycznego. Dlatego dobrze, że polski system jest znacznie bardziej odporny – mówił Brunon Bartkiewicz, prezes zarządu ING Polska.

Nie sposób było nie zauważyć, iż rolę *advocatus diaboli* w dyskusji zdominowanej przez bankowców wziął na siebie Marek Dietl, prezes Giełdy Papierów Wartościowych, który uznał, że stała stopa procentowa na 20 lat powinna być standardem w polskich bankach. Jak nietrudno zgadnąć, zdania przedstawiciela GPW nie podzielali w większości przedstawiciele sektora bankowego.

Dietl argumentował, że należy jak najszerzej zachęcać klientów do korzystania ze stałych stóp procentowych. Szef GPW dodawał, że banki potrzebują też większej przejrzystości w kontekście swojej oferty kredytowej i nie wolno korzystać z takich instrumentów finansowych, których ludzie nie rozumieją. – Musimy konsumentom proponować taki produkt, przy którym będzie jasne, skąd się bierze stała stopa, która jest ustalona w sposób transparentny. Klientów trzeba nakłaniać do tego, żeby korzystali z tego narzędzia. Mam nadzieję, że rynek finansowy będzie dążył do tego, by zapewniać tego typu transparentność w produktach dopasowanych do potrzeb różnorodnych konsumentów – sugerował Dietl.

Debatujący eksperci zgodzili się, że aby kredyty o stałych stopach dominowały na rynku, musi zostać wprowadzonych i spełnionych kilka warunków. Szef GPW dodawał, że jednym z takich wymogów jest stabilizacja rynku obligacji. – Jeśli popyt na obligacje jest wysoki, to instytucje finansowe mogą emitować obligacje o dłuższych terminach zapadalności (dzień, w którym dłużnik powinien uregulować swoje zobowiązanie wobec wierzyciela). To z kolei pozwala na proponowanie dłuższych kredytów o stałej stopie procentowej – mówił Dietl.

Piotr Kwiatkowski, szef banku Credit Agricole, nie ukrywał, że stałe stopy są dużo trudniejsze dla sektora bankowego. – Tego typu rozwiązania wymagają instrumentów minimalizujących ryzyka po stronie sektora bankowego. Bez tego typu narzędzi narażalibyśmy sektora bankowy na niepotrzebne zagrożenie. Tymczasem kluczowe jest to, by instytucje finansowe były zdolne do udzielania kredytów i prowadzenia działalności z jak najmniejszym możliwym ryzykiem finansowej upadłości – mówił prezes Credit Agricole.

Wodę z ogniem próbował połączyć prezes Banku Pekao, który wspomniał, że najlepszym rozwiązaniem byłoby wprowadzenie takiego mechanizmu, który łączyłby stopę stałą i zmienną. Według niego kredyty ze stałym oprocentowaniem po 10 latach zmieniałyby się w kredyty ze stopą zmienną. – W zasadzie nigdzie na świecie nie ma długoterminowych kredytów ze stałą stopą na 20 czy 30 lat. Może jedynie poza Francją, gdzie bardzo jest silna interwencja państwa. Cywilizowany świat idzie w kierunku czasowo stałych stóp – podkreślił Leszek Skiba. Prezes Banku Pekao dodawał jednocześnie, że kredyty długoterminowe o stałej stopie powinny zacząć dominować dopiero wówczas, kiedy wskaźnik WIRON będzie stałym elementem polskiej gospodarki.

Według Skiby najlepszym momentem na wprowadzenie stałego oprocentowania jest moment niskich stóp procentowych na poziomie 3–3,5 proc. – Stałe stopy procentowe mogą być skutecznym narzędziem tylko wówczas, kiedy inflacja jest na takim poziomie, który można łatwo kontrolować. W przypadku wysokiej inflacji stałe stopy doprowadzą do sytuacji, w której doszłoby do zakłóceń gospodarczych. Podobnie jak sztuczne utrzymywanie niskich stóp procentowych zwiększałoby presję inflacyjną – zauważał prezes Skiba.

NASZE BANKI SĄ BEZPIECZNE

Prezes Banku Pekao S.A. podkreślał, że polskie banki są w dobrej kondycji, a stabilność sektora jest wzmocniona przez pełny nadzór regulatora i gwarancje depozytów. – To, co wydarzyło się w Stanach Zjednoczonych, Szwajcarii, czyli upadłości i łączenie ratunkowe banków, zrodziło oczywiście pytania o to, czy sektor jest stabilny. Z polskiego punktu widzenia, możemy powiedzieć, że nasze banki są bezpieczne, mamy gwarancje depozytów i same banki są w dobrej kondycji – mówił Leszek Skiba.

Odniósł się też do wystąpienia Nassima Taleba. – Taleb mówił, że w obecnych realiach ekonomicznych banki mają wpisaną w swoje funkcjonowanie asymetryczność, klient może spłacić kredyt albo go refinansować, ale banki nie mogą zrobić czegoś symetrycznego. I ta asymetryczność bywa problemem – mówił Skiba.

Prezes Banku Pekao zauważył jednocześnie, że po kryzysie, który po pandemii i rosyjskiej agresji na Ukrainę dotknął polski sektor bankowy, znaczna część gotówki już do banków wróciła. – Obecnie większość banków preferuje lokaty czy konta oszczędnościowe na poziomie 7–8 proc. Takie wartości są atrakcyjne z punktu widzenia klientów. Osób, które zdecydowały się na wpłaty czy w postaci depozytów, czy na konta oszczędnościowe, było całkiem sporo – mówił Leszek Skiba, dodając, że polski sektor bankowy po takim stress teście dowiódł swojej siły i stabilności.

Artykuł sponsorowany | 3/0523/F

eprasa.pl 70b088b833

Suwerenność lasów stale w niebezpieczeństwie

Ostatnie wydarzenia wokół Lasów Państwowych, związane z próbą odebrania Polsce prawa zarządzania lasami, to nic nowego. Zakusy na Lasy Państwowe trwają już od dawna

Jest 2010 r. Al. Ujazdowskimi w Warszawie maszeruje kilka tysięcy leśników. Protestują przeciwko pomysłowi ówczesnego rządu, by Lasy Państwowe włączyć do sektora finansów publicznych. Pomysł spotkał się z ich ostrą krytyką. Wiedzieli, że kryje się za nim coś więcej – demontaż sprawnie działającej organizacji, po to by uczynić ją niewydolną, doprowadzić do destabilizacji, a następnie niechybnie oddać w obce ręce.

ZDESTABILIZOWAĆ, SPRYWATYZOWAĆ

– Lasy Państwowe musiały kłuć w oczy różne neoliberalne środowiska, i to nie tylko krajowe. Jeszcze w latach 90. pojawiały się idee, by potraktować grunty w zarządzie naszej organizacji jako zamienne mienie reprywatyzacyjne. Lawina koncepcji na zmiany, a w istocie na zamach, ruszyła od 2010 r. – wspomina Józef Kubica, dyrektor generalny Lasów Państwowych.

Wtedy ze wsparciem ruszył nieodżałowany prof. Jan Szyszko. Zmobilizował środowisko leśne do sprzeciwu przeciw włączeniu finansów Lasów Państwowych do sfery budżetowej – czyli *de facto* ich pauperyzacji – a od listopada 2010 r. ruszyła akcja zbierania podpisów w obronie polskich lasów.

Profesor Szyszko nie miał wątpliwości, że chodzi o prywatyzację, czyli dobrze znaną powtórkę scenariuszy początku lat 90. – Doprowadzić do upadłości, a potem kupić za grosze i to jeszcze w atmosferze wybawiciela, który ratuje przed ostatecznym upadkiem – przypomina słowa męża Krystyna Szyszko, żona i depozytariuszka spuścizny tego wielkiego Polaka.

NIEUSTAJĄCA MOBILIZACJA SPOŁECZNA

W połowie października 2010 r. profesor przedstawił też projekt uchwały w sprawie ogłoszenia referendum na temat propozycji rządu dotyczącej włączenia Lasów Państwowych do jednostek sektora finansów publicznych. Oczywiście obóz władzy pomysł storpedował.

Podpisy przeciwko prywatyzacji lasów zbierali pracownicy Lasów Państwowych, studenci, uczniowie, pracownicy organizacji pozarządowych, koła Radia Maryja, Polski Związek Łowiecki, organizacje kombatanckie i wojsko. Po roku podpisów było 0,5 mln.

Mobilizacja społeczna była potrzebna, bo co nie udało się w 2010 r., miało zostać zrealizowane rok później, w sposób niezwykle miękki. Chodzi o postulat Rady Programowej II Europejskiego Kongresu Finansowego, który mówił o Funduszu Majątku Państwowego. Byłby on wykorzystany do stworzenia Funduszu Gwarancyjnego Rozwoju Infrastruktury. Miał tam trafić majątek skarbu państwa, a więc i Lasów Państwowych. – Szczęśliwie i ten pomysł udało się zdusić dzięki mobilizacji społecznej – przypomina Józef Kubica.

HARACZ

Ale zbiórki podpisów nie zaprzestano. W 2014 r. już 2,5 mln Polaków wypowiedziało się w obronie lasów! – Mąż podkreślał, że podpisy były zbierane w hołdzie Janowi Pawłowi II. Dlatego

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 70b088b833

że stawał on bardzo mocno w obronie polskich lasów – mówi Krystyna Szyszko.

Podpisy i zainteresowanie sprawą polskich lasów przydały się właśnie w tym roku, gdyż rząd PO-PSL przypuścił serię zamachów na Lasy Państwowe. W lutym 2014 r. przeszła nowelizacja ustawy o lasach, która ściągała z LP jednorazowo haracz na łączną kwotę 1,6 mld zł – 800 mln zł w 2014 r. i 800 mln zł w 2015 roku. A następnie nakazywała im przekazywanie od 2016 r. 2 proc. od wartości sprzedaży drewna. „Nałożony na Polskie Lasy Państwowe haracz jest nie do udźwignięcia – mówił wówczas Radiu Maryja Jan Szyszko. – To jest skumulowany zysk czteroletni, który jest przeznaczany na działalność gospodarczą. Sytuacja rzeczywiście jest niebezpieczna. Lasy Państwowe są zmuszane do większego pozyskania drewna. Jednak nie ma to w tej chwili specjalnego wpływu dlatego, że o ile nie zostanie przekroczony 10-letni plan pozyskania, to wszystko jest w porządku".

NOCNA PRÓBA SPRZEDAŻY LASÓW

Kilka miesięcy po uchwaleniu nowelizacji rząd PO-PSL chciał wpisać polskie lasy do konstytucji. Pozornie chodziło o zabezpieczenie przed prywatyzacją, ale *de facto* – otwierało do niej drogę.

Pomysł zakładał dodanie do ustawy zasadniczej punktu 74a w brzmieniu: „Lasy stanowiące własność skarbu państwa nie podlegają przekształceniom własnościowym, z wyjątkiem przypadków określonych w ustawie". Głosowanie odbywało się nocą z 17 na 18 grudnia 2014 r. – Byłem wtedy w Sejmie i dobrze pamiętam trafne pytania, które zadawał prof. Szyszko – wspomina dyrektor Kubica. – Wmawiano nam, że lasy stanowiące własność skarbu państwa nie będą podlegały przekształceniom własnościowym, ale chodziło dokładnie o coś innego. „Z wyjątkiem przypadków przewidzianych w ustawie". W której ustawie? W tej, która dopiero miała powstać i sprywatyzować lasy.

Ostatecznie konstytucji nie zmieniono. Podczas głosowania zaledwie pięć głosów przechyliło szalę.

EKOTERRORYŚCI NIE PRÓŻNUJĄ

A gdy zawodzą narzędzia wpływu politycznego, do gry wkracza pospolite ruszenie. Tak jak w Puszczy Białowieskiej w 2016 r.

Edward Siarka, wiceminister klimatu i środowiska mówi: Lasy Państwowe opiekują się Puszczą Białowieską od blisko 100 lat. Staraniem leśników utworzono Białowieski Park Narodowy, a potem liczne rezerwaty. To oni odnawiali puszczę po dewastacyjnych wyrębach Niemców, Rosjan czy brytyjskiej kompanii The Century. Przywrócili puszczy, a potem innym polskim lasom żubra. Chronili ją przed różnymi zagrożeniami i gospodarowali w niej według zaleceń naukowców, by odtwarzać jej jak najbardziej naturalny, zróżnicowany charakter. Pozyskiwali też drewno dla lokalnej społeczności, nie zagrażając przy tym trwałości i bogactwu przyrodniczemu puszczy.

Ale część aktywistów ekologicznych, naukowców i mediów próbowała wmówić Polakom, że to leśnicy niszczą Puszczę Białowieską, pomawiała ich o najgorsze intencje i postępki. Przykuci do maszyn, drzew, zablokowali jedyną skuteczną możliwość walki z gradacją kornika drukarza. – W ten sposób, zamiast w porę usunąć kilkadziesiąt, kilkaset zainfekowanych drzew, doprowadzili do tego, że w puszczy obumarło kilka milionów drzew. Pod kuratelą Unii Europejskiej zdezawuowano dorobek Lasów Państwowych i wielu pokoleń leśników i sprowadzono na puszczę zagładę – mówi Kubica.

ZAMACH I ATAK HYBRYDOWY

W sierpniu ub.r. tylko szczęście uratowało leśnika w Nadleśnictwie Cisna przed poważnymi obrażeniami, gdy piłą natrafił na wbity w drzewo gwóźdź. Fragmenty metalu zostały dostrzeżone stosunkowo wcześniej. Brakowało chwili, by pędzący łańcuch eksplodował i zranił pracujących wokół ludzi. Zranił albo uśmiercił. Po sprawdzeniu okolicznych drzew detektorami metalu leśnicy znaleźli jeszcze cztery jodły z ponabijanymi gwoździami. Niektóre miały wbity metal wysoko, co poszerzało krąg potencjalnych ofiar ekoszaleńców o pracowników tartaku i stolarzy, gdyby takie drzewo do nich trafiło.

Pseudomiłośnicy natury nie mają obiekcji, by wbijać gwoździe w rosnące drzewa. Gdzie mają wówczas deklarowaną miłość do przyrody? – Agresja pseudoekologów zagraża już bezpośrednio zdrowiu i życiu leśników. Nasilenie ich przestępczych działań to także wynik przyzwolenia na takie zachowanie ze strony oficjalnych organizacji ekologicznych, które już nie tylko rozpowszechniają nieprawdziwe lub zmanipulowane informacje o działalności Lasów Państwowych, lecz także same zaczęły przekraczać prawo – podkreśla rzecznik Lasów Państwowych Michał Gzowski.

Wtedy leśnikom wydawało się tylko, że przeciwko Lasom Państwowym rozpoczęły się zaplanowane działania hybrydowe, mające narzucić polskiej opinii publicznej, że leśnicy, stojący przecież na straży naszych lasów od prawie 100 lat, są zagrożeniem dla polskiej przyrody i należy to przedsiębiorstwo zlikwidować.

– Dziś już nie mamy najmniejszych wątpliwości – podkreśla Michał Gzowski. – Wykorzystywane są do tego polskojęzyczne media i popularne serwisy społecznościowe. Lasy Państwowe nie kryją bowiem swojego sprzeciwu wobec unijnych planów wprowadzenia katastrofalnego dla polskiej gospodarki pakietu klimatycznego „Gotowi na 55", którego konsekwencją będzie m.in. upadek przemysłu drzewnego, bezrobocie dla prawie 0,5 mln osób i wprowadzenie zakazu wstępu do co dziesiątego lasu w Polsce. My mówimy temu „nie", dlatego staliśmy się wrogiem numer jeden dla międzynarodowych organizacji ekologicznych.

To dlatego, gdy po uchwale Komisji Europejskiej odbierającej decyzyjność polskim leśnikom i skandalicznym wyroku unijnego Trybunału Sprawiedliwości była potrzebna kolejna mobilizacja społeczna i kolejna zbiórka podpisów, Polacy, świadomi tego, jakie siły czyhają na polskie lasy, nadzwyczajnie się skrzyknęli. – Przez kilka wiosennych tygodni Polacy zebrali pół miliona podpisów w obronie polskich lasów! Dziękujemy wszystkim zaangażowanym.

Andrzej Dąbrowski

Lasy Państwowe

Artykuł sponsorowany | 41/0423/F

eprasa.pl 70b088b833

23 czerwca 2023 r. zapraszamy na żużlowe ORLEN Golden Boy Trophy 2023 o Puchar im. Zenona Plecha

W hołdzie dla ojca, z miłości do żużla

Sportowa żużlowa Polska żyje nie tylko emocjami związanymi z rywalizacją ligową czy cyklem Grand Prix. Jeszcze dobrze nie opadł kurz na Stadionie Narodowym po niezwykle emocjonującym ORLEN FIM Speedway Grand Prix of Poland, gdy już możemy zapowiedzieć kolejne niezwykle ciekawe wydarzenie, tym razem związane z poszukiwaniem następców Bartosza Zmarzlika

Golden Boy, czyli złoty chłopak – taki przydomek nadali żużlowi fani z Wysp Brytyjskich Zenonowi Plechowi, kiedy startował w tamtejszej lidze. To właśnie ten przydomek został użyty przez jego syna Krystiana do nadania nazwy turnieju dla młodych adeptów tej dyscypliny sportu, która raz do roku odbywa się w Gdańsku. Zmarły w 2020 r. Zenon Plech jest legendą czarnego sportu w Polsce i na świecie. Po zakończeniu swojej bogatej kariery zawodniczej mocno zaangażował się w szkolenie młodzieży i w 2006 r. utworzył szkółkę miniżużlową przy klubie Wybrzeże Gdańsk, dla którego startował przez wiele lat swojej kariery. Po śmierci Zenona Plecha jego syn Krystian czynił starania, by w jak najbardziej godny sposób uczcić pamięć swojego ojca. Wpadł na pomysł, by co roku właśnie w przypadający 23 czerwca Dzień Ojca organizować najbardziej profesjonalnie zorganizowany turniej dla młodych adeptów tego trudnego sportu. Za nami już dwie edycje zawodów, a tegoroczna trzecia edycja wyjątkowo odbędzie się 30 czerwca.

– Od samego początku naszym celem było zorganizowanie turnieju w Gdańsku, który upamiętniałby mojego tatę. To miasto miało dla niego szczególne znaczenie i licznych fanów. Dodatkowo, po tym jak zakończył karierę, gdański obiekt miniżużlowy stał się istotną częścią jego życia. Tutaj mieściła się siedziba jego fundacji, a on sam poświęcał wiele wysiłku na remont budynku starego klubowego warsztatu, organizację bezpłatnego lodowiska dla mieszkańców Gdańska i otwarcie szkółki miniżużlowej. Praca z młodzieżą przynosiła mu ogromną satysfakcję i stanowiła dla niego źródło motywacji. Dlatego było dla nas oczywiste, żeby zorganizować zawody o puchar jego imienia w najmniejszej odmianie speedwaya – mówi Krystian Plech. – Dzień Ojca idealnie wpisuje się w ideę nie tylko uczczenia i wyrażenia mojej wdzięczności dla taty za wszystko, co dla nas zrobił. To również doskonały dzień dla każdego kibica i zawodnika żużla. To nasi ojcowie najczęściej prowadzili nas za rękę na pierwsze zawody sportowe i treningi. To oni tłumaczyli nam zasady, pokazywali miłość i szacunek do barw klubowych oraz dopingowali nas podczas rywalizacji. Dla wszystkich, którzy kibicują lub uprawiają sport, tata jest ważnym ogniwem, od którego ta miłość się zaczęła. Dlatego w tym dniu pragniemy, by każdy uczestnik tego wydarzenia – zarówno na trybunach, jak i podczas rywalizacji – mógł podziękować swojemu tacie za to, że zaszczepił w nim pasję do sportu.

Fot. Materiały prasowe

epraca.pl 70b088b833

Zawody, które organizuje Krystian Plech, są bardzo cennym polem kontaktu młodych polskich zawodników ze swoimi rówieśnikami z innych krajów. Zawody są otwarte, a startują w nich zawodnicy z całej Europy, którzy mają licencję miniżużlową.

– Tata miał kibiców na całym świecie, więc turniej jego imienia jest wszędzie rozpoznawalny, ale oczywiście zależy nam na tym, by startowało jak najwięcej chłopaków z Polski. Chemy, żeby nawiązywali międzynarodowe kontakty, mieli okazję popatrzeć, jak rozwinięty technologicznie jest świat miniżużla w krajach zachodnich, bo trzeba przyznać, że na tym polu nieco odstajemy od reszty Europy. Nasi seniorzy z Bartkiem Zmarzlikiem na czele mogą rywalizować z najlepszymi, ale jeśli chodzi o młodych chłopaków, to tutaj mamy wiele do nadrobienia. Tymczasem wydarzenie, które organizujemy, właśnie pozwala skrócić ten dystans – mówi Krystian Plech.

Od pierwszej edycji Golden Boy Trophy wydarzenie wspiera PKN ORLEN, co pozwala organizatorom na przygotowanie turnieju na poziomie, który na długo zostaje w pamięci młodych żużlowców.

– Jestem bardzo wdzięczny, że największy polski mecenas nie zapomina o sporcie młodzieżowym, że takie projekty jak nasz nie uchodzą PKN ORLEN obojętnie. Koncern jest naszym sponsorem tytularnym od pierwszej edycji, co pozwala nam godnie upamiętnić mojego tatę, na czym mnie osobiście bardzo zależy. Zawsze chciałem też, żeby było to wydarzenie, podczas którego dzieci będą czuły się bardzo wyjątkowo. Potrzebne jest zatem bardzo dużo nagród, w pełni profesjonalna organizacja. Nie brzmi to może zbyt skromnie, ale zawsze chciałem, by było to najbardziej prestiżowe wydarzenie na miniżużlu, przebijające swoją organizacją nawet mistrzostwa świata i z opinii zawodników i ich opiekunów wiem, że tak właśnie jest – mówi Krystian Plech.

ORLEN Golden Boy Trophy ma dzięki wsparciu sponsora znakomite zaplecze. Własne plastrony, branding, nowoczesny system akredytacyjny – to elementy, których próżno szukać w miniżużlu nawet w czasie zawodów rangi mistrzowskiej. Zmagania można śledzić podczas transmisji internetowej na żywo, a całe wydarzenie jest otwarte dla mieszkańców Gdańska, którzy oprócz sportowych emocji mogą wziąć udział w festynie. Zawodom towarzyszą atrakcje takie jak stoiska ze słodyczami, a także wystawa replik motocykli, na jakich ścigał się Zenon Plech, czy też jego kombinezonów. Krystian Plech zawsze stara się też zaprosić jakiegoś znanego, legendarnego żużlowca, który swoją obecnością uświetnia to wydarzenie. Jeszcze nie zdradza, kto będzie gościem specjalnym w br., ale w rok temu z gdańskimi kibicami spotkał się Anglik Marvyn Cox, który w latach 90. był jednym z najlepszych zawodników Wybrzeża.

W turnieju startują chłopcy w wieku od 10 do 14 lat. Dosiadają motocykli, których silniki mają pojemność od 85 (w przypadku motorów dwuzaworowych) do 144 cm³ pojemności (dla maszyn czterozaworowych), co pozwala im osiągać prędkości dochodzące do 70 km/godz. Gdański tor do miniżużla ma 128 m długości, co oznacza, że jest blisko dwie trzecie krótszy od toru seniorskiego.

– U nas wszystko jest tak samo jak w normalnym żużlu, tylko nieco mniejsze, może poza emocjami, które są na tym samym wysokim poziomie – podsumowuje Krystian Plech.

Początek ORLEN Golden Boy Trophy 2023 o Puchar im. Zenona Plecha już 30 czerwca o godz. 18 w Gdańsku na obiektach Wybrzeża.

Patron zawodów

Zenon Plech to jeden z najlepszych polskich żużlowców w historii. Urodzony w 1953 r. w lubuskim Zwierzynie, żużlowego fachu nauczył się w Stali Gorzów, o której sile stanowił w latach 1970–1976 i z którą zdobył trzy złote i dwa srebrne medale drużynowych mistrzostw Polski. Następnie Zenon Plech przeniósł się do Gdańska. Tam w latach 1977–1987 startował dla Wybrzeża, z którym dwukrotnie sięgał po wicemistrzostwo Polski, co jest największym sukcesem w historii gdańskiego klubu. Jednocześnie Zenon Plech startował w Anglii dla zespołów Hackney Hawks i Sheffield Tigers. Imponująco przedstawia się także medalowy dorobek indywidualny Zenona Plecha, na który składają się dwa medale indywidualnych mistrzostw świata – brązowy z 1973 r. i srebrny z 1979 r., pięć tytułów indywidualnego mistrza Polski, trzy triumfy w turnieju o Złoty Kask i wiele, wiele innych laurów, których nie sposób tu wymienić. Po zakończeniu kariery zawodnika Zenon Plech z powodzeniem prowadził kilka klubów żużlowych w roli trenera, nie uciekając od trudnych wyzwań. Wreszcie poświęcił się pracy z młodzieżą, mocno angażując się w stworzenie szkółki miniżużla w Gdańsku. 1 września 2018 r. został włączony do Galerii Sław Żużlowej Reprezentacji Polski. Na mocy postanowienia prezydenta RP Aleksandra Kwaśniewskiego z 13 grudnia 2000 r. został odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, a na mocy postanowienia prezydenta RP Andrzeja Dudy z 27 marca 2019 r. został odznaczony Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski.

Artykuł sponsorowany | 35/0423/F

PARTNER DODATKU
ORLEN

eprasa.pl 70b0885833

ORLEN Synthos Green Energy bada lokalizacje pod reaktory SMR

Bezpieczne małe reaktory jądrowe zmienią polską energetykę

Transformacja energetyczna Polski jest z pewnością jednym z największych wyzwań z obszaru gospodarczego w historii naszego kraju. Skala przedsięwzięcia, która ma pozwolić na odejście od wysokoemisyjnej produkcji energii opartej na węglu w kierunku źródeł nisko i zeroemisyjnych, jest ogromna, ale kilka pierwszych ważnych kroków na tej drodze jest już za nami – znamy technologię, która będzie filarem transformacji, i wiemy, kto będzie odpowiedzialny za powstanie nowych, przyjaznych dla środowiska i wydajnych elektrowni

Podstawą tzw. nowoczesnego miksu energetycznego w naszym kraju będzie energetyka jądrowa – czysta środowiskowo, a jednocześnie gwarantująca stabilność dostaw prądu i ciepła. Oprócz dosyć trudnych w budowie dużych elektrowni jądrowych na terenie Polski powstanie kilkadziesiąt mniejszych obiektów.

MAŁY ATOM, WIELKA SPRAWA

Małe modułowe reaktory jądrowe SMR, bo o nich mowa (z angielskiego: small modular reactors) to jednostki, których niewielkie rozmiary zajmują 10-krotnie mniejszą powierzchnię niż wymagana do budowy tradycyjnej wielkoskalowej elektrowni jądrowej. Przykładowo, blok energetyczny SMR, składający się z budynku reaktora, maszynowni, nastawni oraz budynku zaplecza remontowego maszynowni, zajmuje jedynie powierzchnię porównywalną do boiska piłkarskiego. Ten niewielki obiekt jest jednak w stanie dostarczyć elektryczność i ciepło niezbędne dla miasta o populacji 150 tys. osób.

Co więcej, produkcja tej energii nie generuje dwutlenku węgla. Oznacza to, że w ciągu 60 lat pracy pojedynczy reaktor SMR pozwala zaoszczędzić emisję 175 mln ton CO_2, które inaczej zostałyby wyemitowane przez konwencjonalną elektrownię. Ogromną zaletą nowej technologii jest również bezpieczeństwo. SMR są wyposażone w tzw. pasywne systemy bezpieczeństwa, które zapewniają chłodzenie reaktora nawet w przypadku braku zasilania zewnętrznego. Wykorzystują one powszechne i niezawodne prawa fizyki, takie jak grawitacja lub różnica ciśnień. Oznacza to, że w przypadku awaryjnego wyłączenia jednostki może ona bezpiecznie funkcjonować przez wiele dni bez konieczności interwencji człowieka. Sam reaktor jest umieszczony głęboko, aż 35 m pod ziemią. Takie rozwiązania umożliwiają pełną bezpieczną eksploatację oraz ułatwiają znalezienie odpowiedniego miejsca na lokalizację SMR.

Korzyści z wdrożenia BWRX-300

- Stabilne, zeroemisyjne źródło energii elektrycznej i ciepła zapewni utrzymanie konkurencyjności polskiego przemysłu.
- Ponad 50 proc. elementów SMR można wyprodukować w Polsce w stworzonych fabrykach komponentów.
- BWRX-300 jest obecnie jedyną dostępną technologią mogącą zastąpić wyłączane bloki węglowe i zagwarantować stabilną produkcję energii elektrycznej.
- To również jedyne realne rozwiązanie dla transformacji i dekarbonizacji ciepłownictwa.
- W nowej branży zatrudnienie znajdzie ok. 30 tys. osób.

ZE ZGODĄ MIESZKAŃCÓW

W rozwój zeroemisyjnej energetyki jądrowej, mającej zapewnić Polkom i Polakom dostęp do bezpiecznej, taniej i czystej energii oraz stworzyć nowe atrakcyjne miejsca pracy, angażuje się ORLEN Synthos Green Energy. Spółka przeprowadziła już analizę kilkudziesięciu potencjalnych lokalizacji pod budowę małych bloków jądrowych. Na obecnym etapie wytypowano siedem optymalnych lokalizacji, w których będą prowadzone dalsze badania. Po potwierdzeniu ich potencjału priorytetem będzie nawiązanie dialogu z lokalnymi społecznościami w każdej z tych lokalizacji. Co istotne, decyzje dotyczące realizacji bezpiecznych i przyjaznych

Artykuł sponsorowany | 29/0423/F

eprasa.pl 70b088b833

środowisku inwestycji zostaną podjęte dopiero po osiągnięciu porozumienia z lokalnymi społecznościami.

NA 60 LAT CO NAJMNIEJ

Mała energetyka jądrowa oferuje dostęp do taniej energii. Szacuje się, że koszt produkcji 1 MWh energii elektrycznej z małego bloku będzie docelowo wielokrotnie niższy niż w przypadku energii pochodzącej z gazu. Jeden taki blok może zaspokoić potrzeby ok. 300–350 tys. gospodarstw domowych. Wykorzystanie nowoczesnej amerykańskiej technologii BWRX-300 gwarantuje również wysoką wydajność. SMR będzie w stanie nieprzerwanie wytwarzać energię przez 60 lat z możliwością przedłużenia produkcji nawet do 90 lat.

Inwestycje w małą energetykę jądrową umożliwiają szybką i skuteczną transformację energetyczną. Nowoczesne instalacje zapewniają w pełni bezpieczną produkcję czystej energii. Ze względu na ich neutralność dla środowiska wiele bloków jądrowych na świecie jest budowanych w pobliżu dużych miast lub ich centrów. Przykładem jest budowany obecnie SMR w Darlington w Kanadzie, który powstanie zaledwie 5 km od Oshawy, miasta o populacji liczącej 140 tys. mieszkańców. Do 2030 r. ORLEN Synthos Green Energy planuje wybudować co najmniej jeden blok oparty na technologii BWRX-300, który będzie drugim tego typu obiektem na świecie, po wspomnianym wcześniej kanadyjskim Darlington. Spółka posiada wyłączność na tę technologię w Polsce.

– Jestem przekonany, że przekształcenie polskiego miksu energetycznego z gospodarki opartej na węglu w kierunku bezemisyjnym, z wykorzystaniem energii jądrowej, a także wspieranie ciepłownictwa miejskiego i ciepłownictwa przemysłowego będzie wymagało w Polsce floty jednostek BWRX-300. Dzięki unowocześnionemu designowi są one najbezpieczniejszą technologią SMR dostępną obecnie na świecie – mówi Jay Wileman, prezes GE Hitachi Nuclear Energy, jednej z najbardziej doświadczonych firm w branży energetycznej na świecie, która jest dostawcą technologii dla ORLEN Synthos Green Energy.

Daniel Obajtek,
prezes zarządu PKN ORLEN

Kluczowe poparcie społeczne

Polska gospodarka potrzebuje taniej i czystej energii, by mogła być nowoczesna i konkurencyjna. Dlatego podejmujemy konkretne działania, które realnie przybliżają nas do tego celu. Mała energetyka jądrowa to nie jest już tylko wizja przyszłości. Do 2030 r. chcemy zbudować w Polsce co najmniej jeden nowoczesny i w pełni bezpieczny SMR. Wytypowaliśmy kilkadziesiąt potencjalnych lokalizacji, w których możliwa byłaby realizacja tej strategicznej inwestycji. Dostrzegamy duże zainteresowanie samorządów, świadomych płynących z niej korzyści. W pierwszym etapie wybraliśmy siedem najbardziej perspektywicznych miejsc. Kluczowe dla nas jest jednak poparcie społeczne, dlatego będziemy prowadzić otwarty dialog z mieszkańcami i to on zadecyduje o wyborze finalnych lokalizacji. A jest o co powalczyć, bo każdy blok to ok. 100 miejsc pracy w samej elektrowni i ok. 1 tys. w regionie, to także bezpieczna i tania energia oraz dodatkowe wpływy do lokalnych budżetów.

BOGATY ŁAŃCUCH DOSTAW, SETKI MIEJSC PRACY

Realizacja inwestycji przez spółkę ORLEN Synthos Green Energy wiąże się z zaangażowaniem co najmniej kilkudziesięciu polskich firm, które włączą się do łańcucha dostaw. Co więcej, inwestycja przyczyni się do powstania setek nowych miejsc pracy w różnych branżach. Oprócz stanowisk dla wysoko i średnio wykwalifikowanej kadry w samej elektrowni zatrudnienie znajdą również mieszkańcy miejscowości, w których będzie realizowany projekt, w ramach prac budowlanych czy transportowych. Dostępność taniej energii i pewność dostaw będą również zachętą dla inwestorów. Ponadto lokalne samorządy zyskają dodatkowe wpływy do budżetu, co umożliwi im dofinansowanie placówek służby zdrowia, przedszkoli, szkół, domów kultury i innych ważnych inicjatyw dla mieszkańców. W technologię SMR inwestuje kilkanaście państw z całego świata, w tym: USA, Wielka Brytania, Francja, Czechy, Estonia, Litwa, Finlandia i Rumunia.

Fot. Materiały prasowe

eprasa.pl 70b088b833

Nie podpisujmy się pod nierealnymi planami Brukseli

Na takie szaleństwo jak odpływ przemysłu z powodu wysokich cen energii na skutek polityki klimatycznej Europa nie może sobie pozwolić – mówi ***prof. Władysław Mielczarski*** *z Politechniki Łódzkiej w rozmowie z Agnieszką Łakomą*

Rząd proponuje pakt energetyczny. To jak próba pogodzenia niemożliwego, czyli skutecznej transformacji, utrzymania węgla w energetyce i zapewnienia taniej energii. Czy to więc realny program?

To rozsądny program, ale wiele zależy od realizacji. Musimy w Polsce skupić się na tym, by energia w ogóle była dostępna w kolejnych latach, czyli na bezpieczeństwie. Wbrew pozorom te wszystkie elementy są do pogodzenia. Dziś – nawet uwzględniając opłaty za emisję CO_2 – koszty produkcji energii z węgla są niskie, więc nie możemy z niej zrezygnować. Odnawialne źródła będziemy rozwijać, ale są kosztowne i niestabilne. Z kolei regulacja cen energii staje się czymś naturalnym, bo wolny rynek to niestety coraz bardziej fikcja.

Wicepremier, minister aktywów państwowych Jacek Sasin zapewnia, że energia w Polsce nie może stać się towarem luksusowym, a ludzi musi być stać na płacenie rachunków za prąd i ogrzewanie. Taka zapowiedź oznacza utrzymanie cen energii na poziomie dotychczasowym lub niewiele wyższym. Jak pan to ocenia?

To nie jest zły pomysł, bo reguły rynkowe już dawno zostały mocno ograniczone, i to głównie przez decyzje Komisji Europejskiej. Zaczęło się od ingerencji w rynek przez wprowadzenie systemu handlu emisjami CO_2, a ich koszty stały się jednym z elementów ceny energii. Potem Bruksela znów ingerowała, wprowadzając subsydiowanie zielonej energii, czyli z odnawialnych źródeł, bo są drogie i tylko przez system dopłat mogła zachęcić do tych inwestycji. Zatem rynku – w prawdziwym tego słowa znaczeniu – w europejskiej energetyce już nie ma. Mówię to z pełnym przekonaniem i żalem, ponieważ byłem jedną z osób, które w Polsce wprowadzały rynek energii elektrycznej. Obecnie ten „niby rynek" podlega różnym oddziaływaniom, przede wszystkim politycznym, tak że cena energii ma niewiele wspólnego z rzeczywistszymi kosztami.

Fot. Archiwum prywatne

Wszyscy, także w Brukseli, zdają sobie z tego sprawę. Ale nie sądzę, by któryś kraj UE powiedział: „To koniec rynku, więc ustalimy sami ceny prądu". I od tej pory będzie tanio.

A dlaczego nie? Uważam, że w Polsce należałoby zawiesić działanie rynku energii elektrycznej na kilka lat. Już tak się stało ze względu na spekulacje cenowe pod koniec 2022 r. Sytuacja jest nadal nadzwyczajna, związana z możliwością zagrożenia bezpieczeństwa. Nie chodzi o to, że rząd wyjdzie i powie: „Nie ma już rynku". Mógłby on działać w dwóch segmentach. W pierwszym – elektrownie konwencjonalne otrzymywałyby należności na pokrycie kosztów produkcji energii plus oczywiście marżę, np. 10 proc. W drugim – producenci zielonej energii sprzedawaliby ją na aukcjach w systemie taryfowym. Taki system gwarantowałby im zysk, ale na pewno nie tak wysoki jak obecnie. Teraz sprzedają energię OZE nawet trzy czy cztery razy drożej od ceny z aukcji, czyli trzy- i czterokrotnie powyżej kosztów produkcji. A płacimy za to wszyscy jako odbiorcy energii: i każda rodzina, i każda firma.

eprasa.pl 70b088b833

Jeśli rząd wprowadzi takie rozwiązanie, to natychmiast do Brukseli popłynie lawina skarg nie tylko od właścicieli farm wiatrowych i słonecznych. I zacznie się naliczanie Polsce kar.

Przypominam, że mamy wyjątkową sytuację geopolityczną. W ub.r. doprowadziła do na tyle kryzysowej sytuacji, że Komisja Europejska zgodziła się na zamrożenie cen energii i gazu w krajach unijnych. Ale wojna trwa, sytuacja jest niestabilna i nie wiadomo, jak długo jeszcze tak będzie. Jeśli nie chcemy, by od przyszłego roku ceny prądu wystrzeliły w górę, kiedy zostaną uwolnione, to trzeba wprowadzić mechanizm stabilizujący. I powinien obowiązywać przynajmniej do 2030 r. To rozwiązanie, o którym wcześniej mówiłem, jest właśnie takim mechanizmem. Wtedy faktycznie będzie można mówić, że jeden z głównych elementów paktu energetycznego i zapowiedź wicepremiera Sasina są realizowane.

Pakt energetyczny zapewne zostanie skrytykowany przez Komisję Europejską, która stawia na dekarbonizację, czyli likwidację energetyki węglowej i wzrost OZE. Jakie Polska jako państwo członkowskie UE ma szanse na to, by pójść „własną drogą" w energetyce?

Ważne, byśmy jako kraj nie byli bierni i nie podpisywali się pod nierealnymi planami. Weźmy pod uwagę oczekiwania Brukseli, a także przedstawmy rozsądne argumenty. Polska choćby ze względu na skalę koniecznych zmian powinna być inicjatorem dyskusji w UE o tym, czy te wszystkie plany transformacji energetycznej – Fit for 55, RePower EU – będą skuteczne i jak pokonać bariery z nimi związane. Powinniśmy proponować rozwiązania i stworzyć wspólny front z krajami, które podobnie jak my widzą problemy.

Jakich argumentów możemy zatem użyć?

Podstawowy jest taki, że nie ma technicznych możliwości przyłączenia do sieci tylu odnawialnych źródeł, ile zakładają unijne strategie. I to nawet przy najlepszych chęciach operatorów systemów do ich rozbudowy. Według raportu Urzędu Regulacji Energetyki tylko w 2022 r. operatorzy sieci ponad 7 tys. razy odmawiali przyłączenia źródeł odnawialnych do sieci. Już teraz widać, jak OZE nie tylko w Polsce mogą rozkołysać łódkę, czyli cały system. Od 40 lat zajmuję się bezpieczeństwem pracy systemu i wiem, że nadmiar OZE nie zapewni stabilnych dostaw energii, wręcz przeciwnie. Dlatego też mamy drugi argument w ręku, czyli konieczność utrzymania energetyki węglowej. Nie możemy pozwolić sobie na likwidację kopalń. Energia z węgla jest tania – ok. 300–400 zł za 1 MWh, do tej kwoty dochodzą oczywiście koszty emisji, czyli parapodatek – ok. 500 zł za 1 MWh. Ten parapodatek od emisji zostaje w budżecie państwa, i to 30 mld zł rocznie. A zyski z wysokich cen OZE czerpią tylko inwestorzy i ich właściciele, a my mamy wysokie rachunki. I także warto pamiętać, że najtańszy węgiel jest ten własny. Lepiej za tonę płacić 500 czy 700 zł niż 300 dol., bo tyle zażądają dostawcy zagraniczni, kiedy zamkniemy kopalnie.

> Nie ma technicznych możliwości przyłączenia do sieci tylu odnawialnych źródeł, ile zakładają unijne strategie

Co zrobić, by Komisja Europejska i europarlament dostrzegły problemy związane z produkcją OZE?

Jak poważnym problemem jest utrzymanie stabilnego systemu, może najlepiej zobrazuje konkretny przykład. Otóż dwa tygodnie temu Polskie Sieci Elektroenergetyczne musiały wyłączyć w naszym kraju część OZE, bo ich produkcja była nadmierna i groźna dla pracy systemu. Obecnie można przyłączyć do sieci maksymalnie 3 tys. MW mocy odnawialnych. Plany są kilka razy większe. Wniosek: destabilizacja systemu jest bardzo realna. Polska powinna być inicjatorem dyskusji na ten temat na forum UE, bo to problem ogólnoeuropejski, dotyczy także Niemiec czy Wielkiej Brytanii. Zanim – tak jak chce Komisja Europejska – postawimy wszystko na OZE, trzeba przeanalizować, czy uda się odpowiednio rozbudować sieci, by nie było katastrofy i blackoutu. Europy ani tym bardziej Polski nie stać na to, by zabrakło prądu albo by odłączać zakłady, bo system będzie przeciążony i nie wytrzyma.

Na razie zamiast analiz mamy obligatoryjny nakaz, by do 2030 r. udział OZE w unijnym miksie energetycznym wynosił niemal 43 proc. Czy dopiero gdy „stanie się ciemność", eurokraci zmienią podejście?

W Brukseli prędzej czy później nastąpi przebudzenie. OZE wymagają subsydiów i nie są wcale tanie, a koszty inwestycji to dziesiątki miliardów euro. Jeśli energia w Europie będzie droga i problemy z siecią spowodują wyłączenia prądu dla przemysłu, to te tzw. programy proklimatyczne trzeba będzie zrewidować. I co ciekawe, do tego mogą przyczynić się Stany Zjednoczone. Ze strategią dopłat i ulg podatkowych – IRA (Inflation Reduction Act) – mogą przyciągnąć wiele inwestycji z Europy, i powoli już to robią. Wiadomo, że wielka, europejska fabryka pomp ciepła przenosi się za ocean, a Niemcy o mały włos nie straciły budowy zakładu produkcji baterii do „elektryków". Unia ze swoim potencjałem przemysłowym nie może zostać zmarginalizowana. Na takie szaleństwo jak odpływ przemysłu z powodu wysokich cen energii na skutek polityki klimatycznej Europa nie może sobie pozwolić. To już nie byłaby tylko kwestia spadku czy słabego tempa rozwoju gospodarczego, lecz także zagrożenie stabilizacji gospodarczej w ogóle.

eprasa.pl 70b088b833

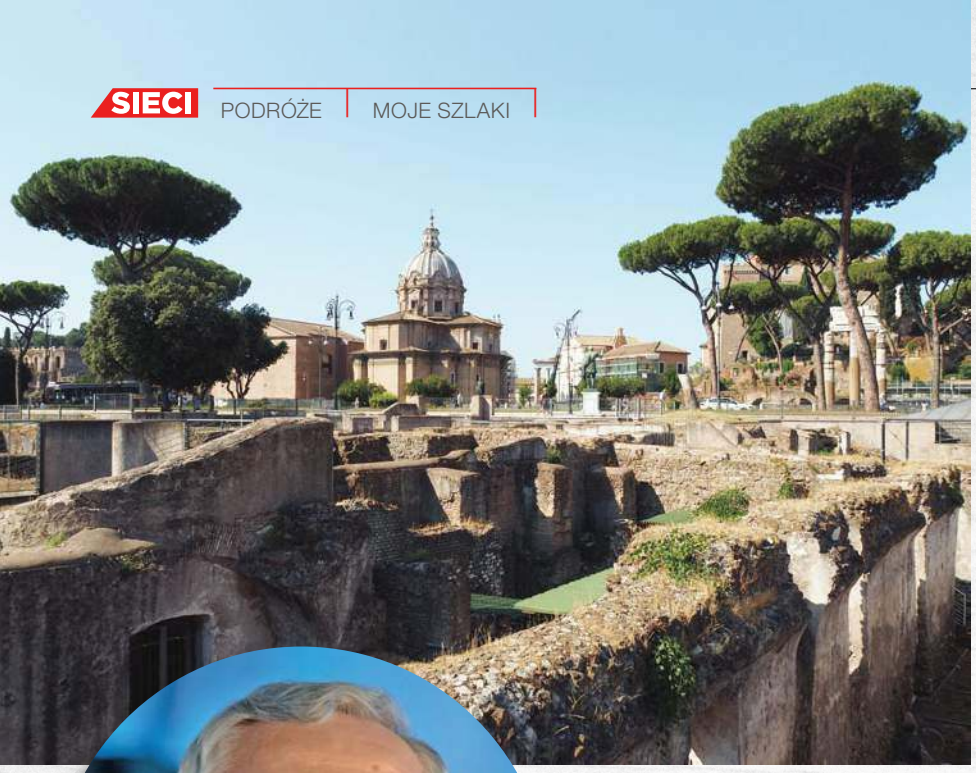

KS. WITOLD KAWECKI*

Rzym, moje miasto

Czy wszystkie drogi prowadzą do Rzymu? Dziś nie jest to pewne. Jednak zwłaszcza po takiej lekturze widać, jak wiele niezwykle ciekawych (nie zawsze oczywistych) szlaków prowadzi po Wiecznym Mieście. I do niego. Przemierzając je, można poznawać dziedzictwo i zanurzyć się w teraźniejszość. Nie ruszając się ze swojego fotela, a także planując własne trasy po Rzymie.

Książka jest imponująca. Nie tylko z racji objętości (ponad 450 stron) i pięknej edycji (w tym wspaniale wyeksponowanych zdjęć, z których ponad 100 – na 200 zamieszczonych – wykonał sam autor). Przede wszystkim jednak ma walory, które pozwalają czytelnikowi się przekonać, czy Roma stanie się i jego miastem.

To m.in. – widoczne przy każdym kroku – osobiste podejście autora do przestrzeni, przeszłości, arcydzieł i ludzi. Zarówno tych, którzy odcisnęli ślad w historii miasta (i światowej tradycji – Caravaggia, Michała Anioła, Rafaela, Berniniego, a także św. Piotra), jak i współczesnych, których autor prowadzi doskonale znanymi sobie ulicami, alejami, zaułkami, dziedzińcami, placami, galeriami...

Nie bez znaczenia są dwie inne perspektywy, za których sprawą „Rzym, moje miasto. Najpiękniejszy przewodnik" (wyd. Jedność) wyróżnia się na tle książek o Wiecznym Mieście. To perspektywy: duchowa i medialna.

Ks. prof. Witold Kawecki CSsR (redemptorysta) jest kierownikiem Katedry Dialogu Wiary z Kulturą UKSW, osobą duchowną, ale ma też temperament i talenty dziennikarza oraz umiejętność komunikowania się nie tylko z prasą, radiem i telewizją. Chociaż... to chyba wieloletni kontakt z mediami sprawia, że mimo naukowego zaplecza potrafi spojrzeć na materiał (tekstowy i zdjęciowy) jak na intrygującą całość. Formę i przekaz, które najlepiej dotrą do odbiorcy, zaciekawią go, pozwolą przejść przez ogrom informacji i bodźców w sposób, który zachęci do wielokrotnej lektury.

Autor ma koncept. To m.in. układ tematów-rozdziałów, który umożliwia podążanie różnymi drogami. Zaczynanie spotkania z Rzymem (i książką) z wielu miejsc (np. od Via Appia Antica czy Pola Marsowego) oraz czasowych przestrzeni (nie zabrakło krótkiej historii imperium). Czytelnik może zatrzymać się na dłużej w sercu starożytnej aglomeracji lub w mieście wczesnochrześcijańskim, podążyć śladami (także prywatnymi) wspomnianych wcześniej genialnych artystów albo spędzić czas w Muzeach Watykańskich. W każdym momencie ma szansę wejścia na inny spośród szlaków proponowanych przez autora.

Przemierzanych przez niego od ponad trzech dekad. Regularnie. Z doświadczeniem pięciu lat studiów w Rzymie w czasach Jana Pawła II.

W jak nieoczywisty, intrygujący czytelnika sposób ks. Kawecki potrafi spojrzeć na Rzym, niech świadczy choćby rozdział poświęcony największemu skarbowi Rzymu. To... woda. Zasilająca przepiękne fontanny, a także docierająca do ujęć czy term, płynąca w Tybrze – rzece, dzięki której wszystko, co ważne w Rzymie, powstało i na której można znaleźć np. najdłużej zamieszkaną mikroskopijną wyspę świata (Isola Tiberina). Podobny typ narracji powoduje, że czytelnik nabiera ochoty, by samemu skonfrontować się z Wiecznym Miastem, przefiltrować je przez siebie, znaleźć powody, by się nim zachwycić i móc powiedzieć: „Rzym, moje miasto".

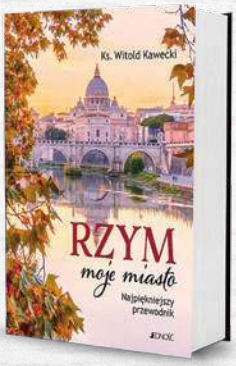

Jolanta Gajda-Zadworna

**Autor książki „Rzym, moje miasto. Najpiękniejszy przewodnik"*

Fot. Tomasz Urbanek/East News, materiały prasowe

eprasa.pl 70b088b833

SŁODKO-SŁONY

Nie tylko o pszczołach

ANNA MONICKA

Kiedy byłam mała, jeździłam na wakacje do swojej przyłatanej babci, która była leśniczyną we wsi Wiejkówko pod Wolinem. Poniemiecka leśniczówka stała na obrzeżu łąki, tak blisko lasu, że stare dęby dosłownie ogarniały ją ramionami. Stryszek, który dostałam we władanie, był straszliwą graciarnią, musiałam sobie sama oszklić okno, a wcześniej posprzątać ptasie i kunie kupy. Na dachu przesiadywała sowa, która z nami gadała, babcia kąpała barana, który wpadł do bagna, we własnej wannie...

To tam dziadek zabierał mnie na wielogodzinne włóczęgi po lesie – uczył, jak odróżniać żmije od zaskrońców oraz prawdziwki od szatanów, nie gubić się w lesie, chodzić na azymut. U dziadków nauczyłam się czytać ze zrozumieniem książki i dyskutować o nich godzinami, bo starsi państwo, chociaż żyli zdecydowanie na uboczu cywilizacji, mieli ogromny księgozbiór (poszarpany, bo często w tym samym czasie sięgali po to samo, więc darli tomy na kawałki). Graliśmy nieraz pół nocy w brydża, śmiejąc się z własnych błędów i opowiadając sobie niestworzone historie. Tam jadłam leśne maliny z jednego krzaczka z niedźwiedziem, jeździłam po lesie na skuterze i tam napadły mnie dzikie pszczoły, dzięki czemu dowiedziałam się, że nie jestem uczulona na ich jad. Chociaż bolało, a nogę miałam jak bania, wspominam tę przygodę z rozrzewnieniem, bo tylu dzikich pszczół nie widziałam już nigdy potem. To były czasy, kiedy nie stosowano jeszcze na potęgę pestycydów, a nikt z nas, dzieciaków, nie podejrzewał, że za naszego życia zacznie się wielkie wymieranie owadów. Jedliśmy wonny leśny miód w kolorze bursztynów prosto z plastra, oglądaliśmy chmury i żuki na łące, myliśmy się w zimnej wodzie i byliśmy szczęśliwi.

Teraz, gdy mam własny ogródek, pilnuję, żeby panował w nim taki sam artystyczny nieład jak u babci. Większość roślin sadzę i sieję z myślą o owadach, mam nawet kilka zagonków dorodnych pokrzyw. Nie pryskam chemią. Tyle mogę zrobić dla pszczół, które na moich kilkuset metrach mają święto każdego dnia, a nie tylko 20 maja.

Fot. Shutterstock

WILCZYM OKIEM

Dziki, smardze i żołędzie

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Zaczęło się od smardzów. Wyrosły w liczbie kilkudziesięciu osobników na osiedlowym trawniku pod krzewami kaliny. Smardz jadalny (*Morchella esculenta*) to rzadki gatunek grzyba. Jego owocniki o intrygującej strukturze pojawiają się wiosną, często już w kwietniu. Na naturalnych stanowiskach smardz jest chroniony. Można zbierać grzyby z hodowli i z terenów zieleni właśnie.

Rzadkie w naturze smardze pojawiają się w różnych miejscach, gdy wraz z korą rozsypywaną na rabatach i pod krzewami przeniesie się ich grzybnię – jeżeli trafi ona na odpowiednie warunki rozwoju. Takich stanowisk niezamierzenie stworzonych przez człowieka jest więcej niż tych naturalnych.

Zbieraniem smardzów z trawnika zajęły się dziki. Wędrują wzdłuż rzeczki i wchodzą na interesujące je tereny. Jeżeli trzeba, podnoszą lub rozrywają siatkę – mogłoby powstrzymać je tylko solidne ogrodzenie. Z siatką radzą sobie bez problemu.

Smardza można pomylić z piestrzenicą kasztanowatą (*Gyromitra esculenta*). Drugi człon jej nazwy gatunkowej jest mylący. Znaczy on „jadalna", podczas gdy piestrzenica jest silnie, często śmiertelnie trująca. Nie wiem, co dziki zrobiłyby z piestrzenicą, ale smardze zjadły.

Po krótkiej przerwie dziki wróciły. Znów można obserwować je co noc: duża locha i kilka przelatków, czyli podrośniętych dziczków w drugim roku życia. Teraz nie ma smardzów. Dziki przychodzą więc pod dęba czerwonego i zjadają zeszłoroczne żołędzie.

Dąb czerwony to osobna historia. Gatunek pochodzi z Ameryki Północnej. Sprowadzono go do Europy w celu sadzenia na terenach poprzemysłowych, by je zrekultywować. Przyjął się zbyt dobrze i obecnie jest gatunkiem inwazyjnym, który w lasach trzeba zwalczać. Inwazji dokonał również na nasze monety – np. na pięciogroszówce widnieją liście nie naszych rodzimych gatunków, tylko dęba czerwonego właśnie.

Dziki przychodzą więc teraz na żołędzie. Sąsiedzi trochę się boją, a trochę mają atrakcję. Można by wzmocnić ogrodzenie – to na pewno by pomogło – trochę się jednak obawiam, że zrobiono by je za szczelnie i stałoby się barierą dla chociażby jeży. Poza tym mnie osobiście dziki nie przeszkadzają, wręcz przeciwnie.

eprasa.pl 70b088b833

Polski maj

Alina Czerniakowska

Jedyny taki miesiąc w roku, rozśpiewany, opiewany w pieśniach, wierszach, pełny natchnień, westchnień, uczuć, przeróżnych drgnień serca do ludzi i Boga. Wszędzie świeża zieleń, żółte mlecze, kolorowe tulipany, kwitnące najróżniejsze krzewy, krzaki, czeremchy, głogi, bzy, kasztany, już przy drogach nie widać kurzu i brudu. Miejsca nawet te najbardziej zniszczone przez człowieka, zaśmiecone lasy, trawy ratują się jak mogą, przykrywają wszystko świeżymi listkami, polnymi kwiatami. Pomagają ptaki, radosne, głośne, krzyczące wieloma głosami, jakby chciały zagłuszyć hałas, głos obecnej cywilizacji. Przyroda, jej piękno, zatrzymują nawet najbardziej zajętych sobą, obojętnych i odpornych na wzruszenia.

Wtedy przychodzą refleksje nad sensem własnego życia, łagodnieją obyczaje. Rodzi się pokora przed Stwórcą, świadomość granic, których człowiek nie może przekroczyć, a kiedy obecnie zaczyna wyręczać Boga i stawiać siebie w Jego miejsce, wcześniej czy później przegrywa. Jan Paweł II pisał na początku trzeciego tysiąclecia: „Przyroda jest dana człowiekowi jako wielkie zwierciadło świata, odbija się w nim Przymierze Stwórcy ze swoim stworzeniem, którego centrum od początku znajduje się w człowieku, stworzonym wprost na obraz swego Stwórcy". A na zakończenie rozważań pytał: „Dlaczego tak wielki, nieporównywalny z żadną przedtem epoką historii postęp ludzkości w zakresie techniki, nauki, postęp w opanowaniu przez człowieka materii, obraca się przeciw człowiekowi? Setki tysięcy ludzi żyją w skrajnej nędzy, wręcz umierają z głodu, gdy równocześnie zawrotne sumy idą na produkcję broni nuklearnej, której arsenały już w chwili obecnej zdolne są doprowadzić do samozniszczenia ludzkości. Czy ten stan rzeczy jest odwracalny?".

Dzisiaj, gdy doszły sprawy gender, in vitro i okrutna agresja Rosji Putina na Ukrainę, te treści i pytania wielkiego papieża Polaka brzmią jeszcze bardziej dramatycznie. Może trzeba wrócić pod figurki Maryi rozsiane wśród polskich pól, odświeżyć po zimie, przybrać kwiatami i rozradować się wiosennym „Ave Maria", powtarzając za wielkim rodakiem: „Totus Tuus Maria!".

Pamiętam, jak babcia stroiła mnie w ładną sukienkę, szykowała bukiet z kwiatami, których w dużym pięknym ogrodzie nie brakowało, i prowadziła do figurki na rozstaju polnych dróg. A wcześniej uczyła pieśni, które zawsze mnie wzruszają i zatrzymują w biegu: „Chwalcie łąki umajone / góry doliny zielone, Chwalcie cieniste gaiki / źródła i kręte strumyki / Chwalcie z nami panią świata / Jej dłoń nasza wieniec splata....". Właśnie te odwieczne pieśni mają trudną do pojęcia wewnętrzną siłę, której nikt nigdy nie pokona.

Warto powrócić do 3 maja – wielkiego święta narodowego i kościelnego, 232 lata temu Sejm Czteroletni ukoronował swoje obrady uchwaleniem, pierwszej w Europie konstytucji! To dzieło szczupłego grona postępowych i światłych patriotów kładło podwaliny pod nowy ustrój polityczny i społeczny Najjaśniejszej Rzeczypospolitej. Pięknie o tym wszystkim mówił ks. Jacek Kuziel w bazylice św. Krzyża w Warszawie 3 maja. „Już wtedy ci, co kochali ojczyznę, wiedzieli, jakie przed nią stoją zagrożenia, wyciągnęli dobre wnioski z historii. Widzieli twórcy konstytucji, że miarą wielkości Kazimierza Wielkiego było jego królewskie serce dla najuboższych, twarde prawodawstwo, które wprowadził, troska o rozwój obronności kraju i wykształcenie obywateli. Nasi ojcowie zrobili nam rachunek sumienia z miłości ojczyzny".

Ks. Jacek Kuziel zadał pytania każdemu z nas: „Jak ja respektuję prawo i cudzą własność, przymykając oko na to, co można sobie wykombinować, czy miłością Polski jest dbałość tylko o własne interesy, jak czynili przywódcy Targowicy? Czy sarmackie *liberum veto* nie jest i moim udziałem, gdy korzystam ze swej rzekomej wolności, która raczej jest samowolą? Czy nie idą na marne wychowawcze zabiegi Kazimierza Wielkiego i Komisji Edukacji Narodowej, gdy ty, nauczycielu, nie przygotowujesz się do zajęć, gdy ty, uczniu, nie odrabiasz lekcji, gdy ty, rodzicu, nie zainteresujesz się nie tylko ocenami, ale i duchową postawą i kulturą dziecka wobec współuczniów i nauczycieli? [...] Przy tej okazji musimy zdać sobie sprawę z tego, jaką rolę Maryja odegrała w naszym narodzie, musimy uświadomić sobie, jak nasza ziemia usłana jest kościołami i figurami Maryi i dziękować za te dobrodziejstwa, które nam wyjednywała u swego syna. Ale musimy także pamiętać o naszej odpowiedzialności za tę ziemię, na której dziś żyjemy, ziemię zbroczoną krwią Cedyni, Grunwaldu, Racławic, bitew I i II wojny światowej, ta nasza ziemia to błogosławiona ręką Dzieciątka Jezus z jasnogórskiego obrazu najświętsza relikwia, którą z takim pietyzmem zawsze całował największy z rodu Polaków, św. Jan Paweł II, papież. Dla ciebie i dla mnie ten kraj, ta ziemia wyzłacana pszenicą i posrebrzana żytem, to matka, jak matką i królową jest nam ta, co Jasnej broni Częstochowy i w Ostrej świeci Bramie, matka Boga i człowieka, Maryja. Zbliżmy zatem w tych niełatwych czasach nasze życie do Maryi przez miłosierdzie i życzliwość do bliźnich, przez zdobywanie cnót, przez życie codzienne w łasce Bożej, przez starania o dobro Kościoła i ojczyzny naszej, powierzajmy się tej, która patrzy na nas zatroskanym wzrokiem, abyśmy potrafili pokonać wszystkie trudności w naszej ojczyźnie, a na jesieni tego roku dokonać mądrego wyboru. Maryjo, prowadź nas!"

Przypomniałam te słowa z homilii świętokrzyskiej ks. Jacka Kuziela, bo warto się nad nimi zatrzymać i zapamiętać. Dowodzą, jak od wieków na polskiej ziemi splatają się nierozłącznie sprawy Kościoła, narodu i państwa.

Autorka jest reżyserem filmowym, scenarzystką i dziennikarką

eprasa.pl 70b088b833

Krew i brokat

Piotr Cywiński

My, Polacy, to jednak jesteśmy niewdzięczni. Niemcy stają niemal na uszach, by nas ucywilizować, a z naszej strony żadnej wdzięczności. Od wieków się starają, parokrotnie próbowali nas nawet wcielić do swojego państwa, niestety, nasz krnąbrny, polski ród nie pojął tej ich łaskawości. To z kijem, to z marchewką się starają, a i dobrą radą służą, a wszystko jak grochem o ścianę – po niemiecku: in den Wind schreien, znaczy, jak krzyczenie pod wiatr. Ale że są oczytani ci Niemcy i maksymę Owidiusza o kropli drążącej skałę znają, więc nie ustają i drążą.

„Die Welt" zajął się ostatnio naszą eurowizyjną reprezentantką Blanką i towarzyszącą jej podstarzałą grupą aerobiku w wygibasach: że to seksistowska formuła, dziś już niespotykana nawet na wiejskiej dyskotece pod Katowicami, że rozebrana do połowy, prowincjonalna, głupiutka polska wokalistka kręciła nogą do monotonnej piosneczki, nic to jednak nie dało i smakowało co najwyżej jak wódka Chopin – wszystkie te określenia i porównania padły w tekście owego dziennika. Za przykład mogliby nam posłużyć niemieccy wysłannicy na konkurs w Liverpoolu, których – jak zaznaczył „Die Welt" – Niemcy nie muszą się wstydzić.

Bo Niemcy znają swoją wartość, wiedzą, co mają. Gdyby im to wcielenie naszego kraju kiedyś wyszło, też nie musielibyśmy się wstydzić. Niemiecki Pan Zagubionych (tak z angielska nazywa się hamburski zespół Lord of the Lost) z utworem pt. „Krew i brokat" („Blood & Glitter") byłby i naszym reprezentantem. A my wysłaliśmy na festiwal fałszującą lichym głosem podróbkę „Britney dla ubogich z Polski" – jak to ujął równie zatroskany „Bild".

A mogłoby być tak cudnie, nie tylko na Eurowizji. Po co nam tunel do Świnoujścia, przecież Swinemünde ma połączenie lądowe z Niemcami, na cholerę regulacja Odry, skoro za Odrą wszystko jest uregulowane, jakiś Centralny Port Komunikacyjny, gdy mamy już lotnisko w Berlinie, po co LOT jak jest Lufthansa albo własny gazoport czy elektrownie atomowe, które rozumni Niemcy likwidują. Po co nam własne media, skoro poniekąd już mamy wspólne, podobnie jak sieci sklepów Kaufland, Aldi, Lidl itd. Po diabła własna armia i kupowanie poza wspólną Europą drogiego uzbrojenia, gdy Niemcy dali nam za pół darmo swoje leopardy i mogą do nas przysłać rakietowe wyrzutnie z własną obsługą. I pracę mielibyśmy przy szparagach, na budowach, przy opiece nad niemieckimi emerytami. Po co nam w ogóle ten rząd narodowców, który nic, tylko nas skłóca?

My, Polacy, to jednak jesteśmy niewdzięczni...

Amadeus z Mozartem na Zamku Królewskim

Adam Ciesielski

Jedną z głównych atrakcji 32. Festiwalu Mozartowskiego, imprezy zainicjowanej w 1991 r. przez niezapomnianego twórcę Warszawskiej Opery Kameralnej Stefana Sutkowskiego (1931–2017), będzie koncert Orkiestry Kameralnej Polskiego Radia „Amadeus", świeżo wyróżnionej prestiżowym trofeum BBC Music Magazine Award 2023.

W wielotygodniowym programie stołecznego festiwalu są sztandarowe spektakle mozartowskie: „Wesele Figara", „Czarodziejski flet", „Don Giovanni", a także nowa inscenizacja „Uprowadzenia z seraju" w reż. Michała Znanieckiego. Także koncerty specjalne z udziałem solistów i zespołów stale związanych z WOK oraz gości z kraju i zagranicy, takich np. jak koreańska sopranistka Sumi Jo czy brytyjsko-hinduski tenor Caspar Singh.

Olbrzymim zainteresowaniem publiczności cieszy się zawsze „Requiem" Mozarta. Usłyszeliśmy je 19 maja o godz. 20.30 w kościele św. Krzyża w wykonaniu solistów: Ewy Tracz, Aleksandry Opały, Szymona Rony, Artura Jandy, Zespołu Wokalnego WOK pod kierownictwem Krzysztofa Kusiel-Moroza oraz Orkiestry Instrumentów Dawnych WOK pod dyrekcją Antoniego Wita.

11 czerwca magnesem będzie Zamek Królewski, gdzie zagra Orkiestra Kameralna Polskiego Radia „Amadeus". Ten podziwiany na całym świecie zespół, wykonujący muzykę od baroku do współczesności, w 1968 r. założyła w Poznaniu Agnieszka Duczmal, jedna z najbardziej cenionych dyrygentek. Pod jej kierownictwem „Amadeus" dał setki koncertów i nagrał kilkadziesiąt płyt. Jedna z najnowszych – album wytwórni DUX „Grażyna Bacewicz: Music for chamber orchestra vol. III" został wyróżniony trofeum BBC Music Magazine Award 2023.

Teraz w Warszawie poznaniacy – pod batutą córki Agnieszki Duczmal, Anny Duczmal-Mróz, dyrygentki o dużym, samodzielnym dorobku – obok divertimenta B-dur Wolfganga Amadeusza Mozarta zagrają kompozycje Respighiego, Mendelssohna-Bartholdy'ego i Debussy'ego. Szczęśliwców, którzy dostaną się na salę, czeka wieczór marzeń.

32. Festiwal Mozartowski, Warszawska Opera Kameralna 14 maja – 2 lipca 2023 r., różne lokalizacje w stolicy. Szczegóły i bilety na operakameralna.pl. 11 czerwca 2023 r. godz. 18.00, Zamek Królewski. Koncert Orkiestry Kameralnej Polskiego Radia „Amadeus" pod dyr. Anny Duczmal-Mróz

eprasa.pl 70b088b833

PRZEZ ŚWIETLIK

Nóż w bańce

Wiktor Świetlik

Fantastyczna sprawa te bańki informacyjne. Kiedyś trzeba było kombinować, manipulować, kręcić. Teraz można kłamać tak centralnie, w żywe oczy. Byleby z odpowiednią dozą nadęcia moralnego i kierując swoje kłamstwa przeciwko tym, co trzeba.

Weźmy taką panią Applebaum: „Każdy polski rząd od czasu uzyskania przez Ukrainę niepodległości w 1991 r. był niezwykle proukraiński. Jedynym wyjątkiem jest rząd PiS z lat 2015–2022, oni nie byli specjalnie blisko Ukrainy" – stwierdziła w rozmowie z tygodnikiem „Polityka". Dla przypomnienia, jej mąż podczas wizyty w Kijowie w 2014 r.... a także podczas rozmów z Siergiejem Ławrowem... zresztą, co będę przypominał. Wszystko państwo wiecie, a czytelnicy „Polityki" ani o tym słyszeli, ani się dowiedzą. Można łgać, ile się chce, i odwracać kota ogonem.

Albo inna historia. Niedawno w Warszawie znany menedżer, kiedyś związany z tzw. środowiskiem pampersów, potem z Polsatem, a w międzyczasie z katolicką fundacją, został zaatakowany nożem. Z Radia Zet dowiedziałem się, że doszło do „ataku nożownika w Warszawie. W tle Kościół i PiS". Niejaki Portal Warszawski z kolei odkrył, że doszło do „kolejnego ataku na polityka pro-life". Dodajmy, że równowagi tu nie ma żadnej. Portal Warszawski to była grupka facebookowa, inaczej niż ogólnopolska stacja, która odkryła, jak to pisowcy i katolicy tną się nożami. Wystarczyło krótko wczytać się w pojawiające się informacje, by pojąć, nawet będąc najbardziej nagrzanym redaktorem, że tragedia, do której doszło, nie ma nic wspólnego ani z PiS, ani z Kościołem, ani z życiem poczętym.

Mógłbym tak mnożyć. Jeden sposób to centralne, otwarte odwracanie faktów, jak robi to pan Tusk i jego medialna kamaryla w osobie pani Radkowej i innych. Druga metoda to taka portalowa. Jak ktoś złamał nogę i w pobliżu była przydrożna kapliczka, to się pisze „okaleczenie człowieka, w tle Kościół katolicki". Do tego oczywiście obowiązkowe moralizatorstwo, wzmożenie i brak wątpliwości. W bańce one szkodzą najbardziej.

UE – Utopia Europejska

Lech Makowiecki

Żyjąc pół wieku pod sowieckim butem, musieliśmy być racjonalni i twardzi. Gdy pozbawieni zagrożeń, objęci planem Marshalla mieszkańcy Europy Zachodniej bogacili się na potęgę – my walczyliśmy o przetrwanie. Europejczykom z dobrobytu przewracało się w głowach, u nas sukcesem było zdobycie kilku rolek papieru toaletowego. Świat zza żelaznej kurtyny, znany tylko z kolorowych pocztówek i filmów, kusił nas i dołował zarazem. Nieliczni szczęśliwcy, którym było dane ujrzeć ten raj, jeszcze te tęsknoty podsycali. Gdy więc znienacka pojawiła się szansa na otwarcie granic – entuzjazm nuworysza przysłonił nam zdrowy rozsądek.

Zachłyśnięci możliwością legalnej pracy na Zachodzie, wyjazdami turystycznymi czy wyborem dowolnego kraju zamieszkania – nie zauważyliśmy pierwszych symptomów kolonizacji. Zmasowany desant na Polskę nieopodatkowanych sieci handlowych, likwidowanie polskiej konkurencji (vide: „sprywatyzowanie" przez Janusza Lewandowskiego 512 dużych firm, zwijanie stoczni, kopalni, cukrowni, fabryk samochodów, traktorów, przemysłu ciężkiego itp.) osładzały nam rosnące jak grzyby po deszczu restauracje McDonald's i KFC czy sushi bary. Polsce narzucono rolę brzydkiej panny na wydaniu, co już na starcie stawiało nas na przegranej pozycji. Jeśli nasze rolnictwo czy transport zagrażały interesom Francji czy Niemiec, byliśmy rugowani bez skrupułów i wbrew prawu.

Mentalnie zamienialiśmy nasze „być" na zachodnie „mieć". Oddawanie polskiej tradycji, tożsamości, świata wartości i zdrowego rozsądku za „skórę, furę i komórę" (i w pakiecie gender) – to był jeszcze jakiś deal. A tu nagle szok! Niespodzianka! Polska – mając samowystarczalność energetyczną (węgiel), żywnościową (rolnictwo, hodowla) i całkiem znośny standard życia – cofa się do PRL! Adieu, podróże lotnicze, powszechne samochody, spożycie mięsa. W obowiązkowym menu robaki i LGBT+. Oraz bezwarunkowe podporządkowanie się UE – Utopii Europejskiej.

eprasa.pl 70b088b833

Michał Korsun prezentuje:
Nigel Farage – smak rozczarowania brexitem

Wycinki z przeszłości

Kalendarz „Rocznik Gebethnera i Wolffa na rok 1914" podjął temat samobójstw i nieszczęśliwych wypadków śmiertelnych wśród młodzieży szkolnej, bo nie jest prawdą, że to zjawisko jest obecne tylko w naszych czasach. Dane za 1910 r. dotyczyły ówczesnego Cesarstwa Rosyjskiego. Podkreślano, że najwięcej tego typu wypadków zdarza się w szkołach średnich, czyli w trudnym emocjonalnie wieku dojrzewania, zwłaszcza między 16. a 18. rokiem życia. Najbardziej niebezpieczne pod tym względem miesiące to styczeń, marzec i kwiecień. Najmniej samobójstw notowano w lipcu, co zrozumiałe jest ze względu na „kanikuły". „Przyczyny samobójstw określone są w porządku następującym: neurastenia i zmęczenie; przykrości rodzinne w związku z postępami niedostatecznymi; egzaminy; miłość zawiedziona; stopnie niezadowalające i stosunki materialne".

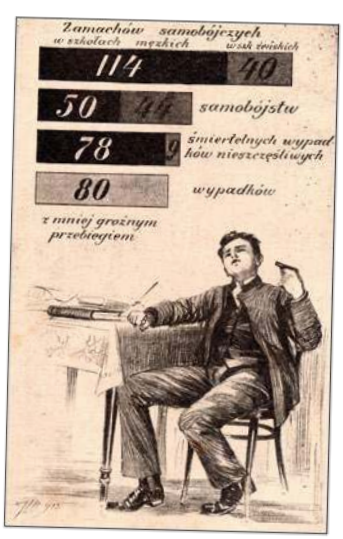

Niezgodności płci nie odnotowano.

(mk)

Majowa opowieść

Leszek Długosz

Kwitną pobożnie jabłonie w Jabłonnej
I gdzie tam jeszcze akurat po świecie
– Pnie się wysoko topola – wykrzyknik
W mowie zieleni
(Jak kiedyś dziecku podpowiedziała
Staruszka
Jeszcze dziewiętnastowieczna
– Najszczersza poetka jaka chodziła na świecie)

Opadają modlitewnie z gałęzi płatki
Gaśnie, zanika u moich powiek
Obraz świata
– Na który patrzę
– Którego doznaję
I ten mi opowiedziany...
Tak się nawija w maju
Majowa opowieść
Opadają kornie płatki w Jabłonnej
I gdzie tam jeszcze po świecie
Z prośbą o błogosławieństwo
Dla jabłek
Przyszłych tych jabłoni dzieci

Tempora mutantur
Wczoraj i dziś
W Jabłonnej i na świecie
I komu tam kiedy jeszcze

Zamów Prenumeratę! Według nowego cennika

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	**82** zł	**149** zł	**265** zł
wSIECI HISTORII	–	**34** zł (3 wydania)	**59** zł (6 wydań)
pakiet **SIECI** i **wSIECI HISTORII**	–	**169** zł (w tym 3 wydania wSIECI HISTORII)	**295** zł (w tym 6 wydań wSIECI HISTORII)

**dane do przelewu w stopce redakcyjnej*

eprasa.pl 70b088b833

OD A DO ZYBERTOWICZ

O Śląsku, czyli o życiu

„Kajś" to nie jest pierwsze dzieło tego autora. Jak na swój wiek (ur. 1989 r.) wiele problemów ujmuje zadziwiająco przenikliwie, z wyczuciem socjologicznym

„Kajś. Opowieść o Górnym Śląsku" – tę książkę Zbigniewa Rokity (Wydawnictwo Czarne 2020) czytałam trochę za długo. Z przerwami. Tak niefortunnie dla lektury czas się układał.

Jednak czy można się zmierzyć ze Śląskiem Rokity na raz? Oto pierwsze zdanie książki: „Moi przodkowie użyźniali sobą dzieje. Dzieje się na nich pasły i rosły tłuste i obłe". Już „obłe dzieje" wywołują niemiły dreszcz. Chwilę później serwuje spostrzeżenie za Zbigniewem Kadłubkiem, profesorem Uniwersytetu Śląskiego, że Ślązacy to „osiadli nomadowie", „tkwią w jednym miejscu tysiąc lat, zmieniają się tylko kraje, w których przychodzi im tkwić". Śląskie *kajś* – to odpowiednik polskiego *gdzieś*. Sam autor nie kryje, że do śląskości dojrzewał latami.

Książka w 2021 r. dostała Nagrodę Literacką Nike, a w I edycji Międzynarodowej Nagrody im. Witolda Pileckiego (też 2021 r.) otrzymała nominację w kategorii „Reportaż historyczny".

Nigdy głębiej nie studiowałam problematyki śląskiej, choć rozmaitym kwestiom śląskim poświęcono cały kawał socjologii.

Autora „Kajś" wcześniej nie kojarzyłam. Ten specjalista – jak podaje wydawca – od Europy Wschodniej i Górnego Śląska jest niewątpliwie utalentowanym reporterem. Opowiada ze swadą. „Kajś" to nie jest pierwsze jego dzieło. Jak na swój wiek (ur. 1989 r.) wiele problemów ujmuje zadziwiająco przenikliwie, z wyczuciem socjologicznym. Uwzględnia liczne konteksty historyczne i polityczne. Ale tam, gdzie przebija tło dzisiejszej polityki, próżno szukać tej *czułości*, z którą autor wyświetla wątki rodzinne, sąsiedzkie oraz dylematy tożsamościowe. Przykładowo, nieraz napotkamy Jarosława Kaczyńskiego jako przerysowaną omnipotężną postać.

ZAWIŁA UKŁADANKA

Podtytuł książki mówi, że jest o Górnym Śląsku. Ale co to dokładnie znaczy? Oczywiście to specyficzny region historyczny – miasta i wsie uwięzione w granicach wyznaczanych rozgwarem burzliwej polityki i dziejów. Oto polsko-niemieckie pogranicze z początku lat 30. ub.w.: „linia podziału idzie przez środek studni" lub przez środek posesji – po niemieckiej stronie został dom, a po polskiej stoi wygódka. „W Niemczech się je, w Polsce wysrywa". A przyłączenie Śląska do Polski trzykrotnie podniosło, mówią eksperci, nasz potencjał przemysłowy. Bez Górnego Śląska kluczowe dla odradzającej się Rzeczypospolitej projekty gospodarcze nie miałyby szansy na powodzenie.

Ten region to pokazowe laboratorium procesów specyficznych dla polskiego komunizmu i centralnie sterowanej gospodarki. Procesów, których koszty płacimy do dziś. Śląsk to polityka i interesy. Kopalnie, które „odwiecznie" przynoszą zysk, ale trują i zabijają.

Wreszcie Górny Śląsk to ludzie i ich historie. Poplątane i często okrutne losy. Brutalne gwałty dokonane przez Sowietów po II wojnie światowej. Choroby i kalectwa. Życie na hałdach. Specyficzna gwara, przez niektórych traktowana jako odrębny język. Zryw tożsamościowy podczas narodowego spisu powszechnego w 2011 r. – blisko 850 tys. osób deklarowało narodowość śląską.

„Pokręcić się po okolicy i spróbować złożyć to w całość". Proste? Bynajmniej, autor dobrze to wie.

POTRZEBA ZAKORZENIENIA

Rokita opowiada swój Śląsk intymnie, czasem z rozbrajającą szczerością. Osnową opowieści jest drzewo genealogiczne przodków autora. Można się w tych koligacjach pogubić. Opisuje ich perypetie; czasem prawdziwe dramaty. Myślę, że dylematem nie jest tytułowe „gdzieś", bo to wcale nie o jakieś zdefiniowane terytorium albo konkretne miejsce chodzi.

Może to perspektywa konkretnych ludzkich losów jest jedyną, która daje szanse zrozumienia specyfiki Górnego Śląska? Książka jest zadedykowana Marii Błażejowskiej. To babcia Zbigniewa Rokity. Bardzo ważna postać w życiu autora. Dla mnie to właśnie jej osoba jest kluczem do zrozumienia potrzeby uporządkowania śląskości jako źródła tożsamości. Ale nie chcę zdradzać ostatniej, przejmującej historii. Może ktoś z czytelników „Sieci" w tej książce sam się rozsmakuje.

Katarzyna Zybertowicz

Autopromocja | Reklama 38/0423/F

eprasa.pl 70b088b833

TYLKO DLA PRENUMERATORÓW WERSJI PAPIEROWEJ

SIECI | wSIECI HISTORII

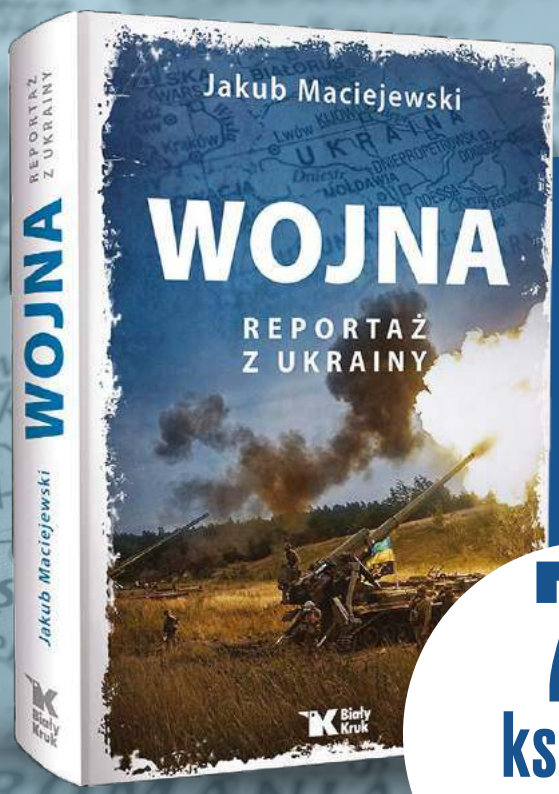

Książka naszego reportera Jakuba Maciejewskiego, który na froncie spędził ponad 140 dni:

- przeżył koszmar donbaskiego frontu
- trwał z mieszkańcami Kijowa podczas bombardowań
- widział ślady rosyjskiego ludobójstwa dokonanego w Iziumie

312 STR. | TWARDA OPRAWA | BRUTALNY OPIS ROSYJSKIEJ INWAZJI | PRZEJMUJĄCE ZDJĘCIA

75 książek w prezencie

Książkę **„Wojna. Reportaż z Ukrainy”** otrzymasz **GRATIS**, zamawiając roczną prenumeratę pakietu: tygodnik SIECI i magazyn wSIECI HISTORII za **295 zł**.

Fot. Shutterstock

Zamów już dziś na: **www.sieciprawdy.pl/prenumerata**

Przed zamówieniem prenumeraty upewnij się, że książka jest nadal dostępna:
prenumerata@fratria.pl | tel. 22 616 36 00 w godz. 9-16

Wpłat za prenumeratę prosimy dokonywać na konto: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290, Fratria sp. z o.o., ul. Legionów 126-128, 81-472 Gdynia, w tytule wpłaty wpisując pełne dane adresowe do wysyłki.

eprasa.pl 70b088b833

TOTALIZATOR
SPORTOWY
II EDYCJA
WYGRYWAMY
ZACZYNA SIĘ OD WY
Grajcie w LOTTO i zgłaszajcie
pomysły na obiekty
sportowe i kulturalne
w Waszej okolicy.
Szczegóły akcji na gramywygrywamy.pl